



Rebecca Hagan Lee

Księżniczka

Marii Isobel Fernandez Marrero. Oto twoja historia, Mari. Ciesz się nią!

Kodycył do testamentu George'a Ramseya, piętnastego markiza Templeston

Pragnąłbym umrzeć w podeszłym wieku w otoczeniu najbliższej rodziny, lecz człowiek nie zawsze może sobie wybrać porę odejścia z tego świata, dlatego też trzeciego dnia sierpnia roku pańskiego 1818 obarczam mojego prawowitego syna i spadkobiercę Andrew Ramseya, dwudziestego ósmego hrabiego Ramsey, wicehrabiego Birmingham i barona Selby, odpowiedzialnością za moje kochanki i dzieci urodzone w ciągu dziewięciu miesięcy od mojej śmierci.

Ponieważ dżentelmen jest dyskretny, nie podam nazwisk tych kobiet, które po śmierci mojej ukochanej żony okazały mi troskę i miłość, ale zobowiązuję mojego syna, żeby każdej damie, która jemu, jego legalnemu spadkobiercy albo pełnomocnikowi pokaże złoty medalion z wygrawerowaną moją pieczęcią oraz podobizną, identyczny z medalionem dołączonym do niniejszego listu, przekazywał rocznie sumę nieprzekraczającą dwudziestu tysięcy funtów na utrzymanie jej oraz dzieci urodzonych przez nią w ciągu dziewięciu miesięcy od mojej śmierci.

Każda z dam otrzymała ten drobiazg jako obietnicę, że nie będzie cierpieć biedy, oraz podziękowanie za okazaną mi troskę i miłość, Osoba, która zgłosi się z takim medalionem i wykaże, że otrzymała go w spadku po matce, zostanie uznana za potomka

piętnastego markiza Templeston i będzie miała prawo do części
mojego majątku, zapisanej jej matce.

George Ramsey,
piętnasty markiz Templeston

Scandalous

Prolog

„Najważniejszym obowiązkiem księżniczki jest służyć rodowi Saxe-Wallerstein-Karolya”.

- Pierwsza zasada protokołu i etykiety dworskiej rodu Saxe-Wallerstein-Karolya, zatwierdzonych przez jaśnie oświeconego księcia KAROLA I, 1432.

18 kwietnia 1874 Pałac Laken

Bałtyckie księstwo Saxe-Wallerstein-Karolya

- Proszę się obudzić, wasza wysokość!

Księżniczka Georgiana Victoria Elizabeth May usłyszała nagłą szepc i od razu rozpoznała głos. Położyła dłoń na miękkim futrze Wagnera, ogromnego wilczura alzackiego, uciszając ciche, groźne warczenie. Otworzyła oczy i zobaczyła lorda Maximilliana Gudruna. Prywatny sekretarz jej ojca stał obok łóżka w nikłym blasku lampy.

- Dzięki Bogu! - wyszeptał sekretarz. - Dotarłem w samą porę.

Zaalarmowana jego słowami księżniczka Giana usiadła i oparła się o stos puchowych poduszek, ułożonych

wzdłuż wezgłowia staromodnego łóża z baldachimem.

- O co chodzi, Max? Co tutaj robisz? Miałeś być w Christianbergu z moimi rodzicami.

W oczach lorda Gudruna zabłyśły łzy i spłynęły po pobrużdżonych policzkach. Sekretarz chwycił się za bok i opadł na kolana obok łóżka. Skłonił głowę.

- W pałacu stało się coś strasznego, wasza wysokość. Giane ogarnęły złe przeczucia. Włoski zjeżyły się jej na karku.

- Max?

Lord Gudrun sięgnął po dłoń księżniczki. Jego ręka zostawiła ciemnoczerwone plamy na śnieżnobiałej pościeli. Giana gwałtownie zaczerpnęła powietrza, gdy sekretarz wsunął na jej prawy kciuk ciężki złoty sygnet.

- Jego wysokość książę Christian Frederick Randolph George Saxe-Wallerstein-Karolya kazał mi go przekazać waszej wysokości.

- Nie. - Giana zaczęła drzeć, patrząc na królewską pieczęć, noszoną przez kolejnych władców z dynastii Saxe-Wallerstein-Karolya od czasu powstania księstwa w roku 1448. Złoto było poplamione krwią. - Mój ojciec...? To niemożliwe...

Lord Gudrun przygryzł wargę, po czym twierdząco skinął głową.

- Niestety tak, wasza wysokość.

Choć Giana zawsze wiedziała, że dzień przekazania królewskiego sygnetu kiedyś nadejdzie, teraz nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Potwierdziłaby to, czego nie chciało przyjąć jej serce i rozum. Ukochany ojciec nie żył. Ona została władczynią księstwa.

Do jej oczu napłynęły gorące łzy. Giana odrzuciła kołdrę i wstała. Wilczur zeskoczył z łóżka i stanął obok niej.

- Musimy natychmiast jechać do Christianbergu. Moja matka będzie...

Księżna będzie wiedziała, co robić. Stłumi bolesną rozpacz i pomoże córce przejść przez ciężką próbę, która ją czeka. Obie zrobią to, co do nich należy.

Lord Gudrun dźwignął się z wysiłkiem, po czym chwycił Gianę za rękę i ścisnął ją mocno.

- Przykro mi, wasza wysokość, ale księżna... Giana zabrała dłoń i potrząsnęła głową.

- Nie, Max, proszę... Nie mama...

- Przykro mi, wasza wysokość: -Jak?

Giana była gotowa uwierzyć, że zdrowy, krzepki mężczyzna w sile wieku zmarł przedwcześnie, ale żeby w tym samym czasie jego żona również...

- To zdrada, wasza wysokość. Księcia i księżną zasztylowali dziś wieczorem płatni zabójcy.

-Dlaczego? - wykrztusiła Giana. - Kto?

- Książę Victor od dawna podburzał młodzieńców z klasy rządzącej, strasząc ich, że twój ojciec popiera konstytucję i Deklarację Praw dla Mas. Obiecywał nadania ziemi, tytuły i pieniądze młodszym synom z arystokratycznych rodów, żeby zyskać ich poparcie. Przekonał tych zdrajców, że twój ojciec zamierza obdarować biedaków posiadłościami bogatych.

- Victor? Mój kuzyn zabił moich rodziców?

- Tak, wasza wysokość. Zostali zamordowani w swojej sypialni po oficjalnej kolacji wydanej z okazji otwarcia sesji parlamentu.

Ludzie Victora napadli na pałac, zabili wierne sługi księcia, a teraz szukają ciebie.

- Jak uciekłeś? - Giana zadała pytanie, choć bała się odpowiedzi.

- Akurat niosłem twojemu ojcu wieczorną pocztę, gdy usłyszałem jego ostrzegawczy krzyk. Wszedłem do buduaru księżnej przez garderobę i ukryłem listy w jednym z pudeł na kapelusze. Następnie dobyłem szabli i ruszyłem do pokoju księcia. - Lord Gudrun zaczerpnął oddechu. - Twój ojciec leżał zakrwawiony na podłodze, obok niego żona. Jeden ze zdrajców próbował zdjąć sygnet z ręki księcia. Kiedy tam wpadłem, odwrócił się i strzelił do mnie.

Giana dopiero teraz zauważyła, że Max krwawi. To on zostawił ślady na pieczęci. - Jesteś ciężko ranny? Sekretarz wzruszył ramionami.

- To tylko draśnięcie, wasza wysokość. Kula otarła się o żebra. Uniósł koszulę.

Giana zbladła na widok powiększającej się czerwonej plamy. Tylko nie zemdlej, przykazała sobie w duchu. Rób, co należy. Żołądek podszedł jej do gardła, w głowie się zakręciło, ale opanowała słabość, zdecydowanym gestem sięgnęła po najbliższą poduszkę, ściągnęła z niej poszewkę i przycisnęła ją do boku Maxa, żeby zatamować krwawienie. Ku swojemu zdumieniu stwierdziła, że już czuje się lepiej.

- Może trzeba będzie zeszyć ranę. - Przygryzła wargę. - Na razie ją zabandażujemy.

- Tak, wasza królewska wysokość.

Giana spojrzała Maxowi w oczy, ciemne i zamglone z bólu. Wytarła zakrwawione ręce w prześcieradło i wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. Ściągnęła poszewkę z następnej poduszki, chwyciła ją zębami na szwie i podarła na pasy. To samo zrobiła z trzecią, a następnie pomogła Maxowi zdjąć surdut i kamizelkę. Potem rozpięła mu koszulę, przyłożyła prowizoryczny bandaż do rany i owiązała nim pierś sekretarza.

- Co ze zdrajcą, który do ciebie strzelał? - Mówiła królewskim tonem, starając się naśladować ojca. Miała nadzieję, że jej pytania odwrócą uwagę rannego od bólu.

- Zabiłem go, wasza wysokość.

Giana zawiązała węzeł i odsunęła się, żeby sprawdzić rezultat.

- A tata? Cierpiał?

Domyślała się prawdy, ale chciała usłyszeć kojące kłamstwo.

- Nie, księżniczko - odparł Max łagodnym głosem, używając bardziej poufalej formy. - Twoja matka również. Umarła od razu. Ojciec próbował ją ratować, niestety bezskutecznie. Wtedy polecił mi oddać tobie pieczęć i strzec cię za cenę własnego życia. Tak brzmiał jego ostatni rozkaz.

Księżę Christian poprosił go jeszcze o coś przed śmiercią, ale Max nie miał teraz siły przekazać córce jego słów. „Powiedz Gianie, żeby nie bała się iść za głosem serca. Obiecuj, że pomożesz jej znaleźć drogę”. -I tym razem cię nie zawiodę, wasza wysokość. - Jego głos przeszedł w szloch, przygarbione plecy zadrżała.

Po chwili sekretarz wyprostował się, zapiął koszulę, z trudem włożył brokatową kamizelkę i wełniany Surdut. Popatrzył na księżniczkę. Dla niego nadal była dziewczynką, bosą, w skromnej koszuli nocnej z białego batystu, z długimi jasnymi włosami zaplecionymi w warkocz. Za młodą na władczynię bogatego księstwa. Za młodą, żeby udźwignąć ciężar odpowiedzialności za państwo. Jej niebieskie oczy pociemniały od smutku i łez, którym nie pozwalała popłynąć. Patrzyła mu w oczy bez mrugnięcia, jakby już wzięła na siebie odpowiedzialność za kraj i poddanych. Była dziewczyną na progu kobiecości, księżniczką i prawowitą następczynią tronu, pełną siły, odwagi i współczucia.

Jej wysokość księżniczka Georgiana Victoria Elizabeth May z rodu Saxe-Wallerstein-Karolya.

Max ukląkł przed nią, pocałował pierścień i przysiągł jej służyć, tak jak służył jej ojcu, a jego ojciec i dziadkowie - kolejnym władcom Saxe-Wallerstein-Karolya od czterystu lat.

Zdjęta wielkim żalem Giana zanurzyła palce w miękkiej sierści na moregowatym grzbiecie wilczura. Była suwerenną władczynią kraju, ale czuła się samotna i przerażona. Miała ochotę paść w ramiona Maxa i zapłakać tak jak w dzieciństwie, ale się opanowała. Władczyni Saxe-Wallerstein-Karolya nie może ulegać emocjom. Powinna brać przykład z ojca, tak więc królewskim skinieniem głowy przyjęła należny hołd i pomogła sekretarzowi wstać.

- Obudź wszystkich - poleciła. - Musimy przygotować się do podróży do Christianberga.

- Nie możesz wrócić do stolicy, Wasza wysokość -zaprotestował Max. - Kuzyn cię zabije.

- Przecież Victor wie, że jestem na wakacjach w Laken.

Wszyscy to wiedzą. Mój rozkład zajęć jest publikowany co miesiąc.

- Nie. Tym razem zmieniono go przed opublikowaniem.

- Kto to zrobił?

- Twój ojciec, księżniczko.

- Dlaczego?

- Książę Christian od dawna podejrzewał, że za niezadowolaniem młodych arystokratów stoi twój kuzyn. Dowiedział się o jego zdradzieckich knowaniach wkrótce po tym, jak odmówił mu twojej ręki.

- Victor się oświadczył? Max pokiwał głową.

- Twój ojciec wiedział, że Victor knuje przeciwko niemu. Bał się, że kuzyn cię wykorzysta, żeby zdobyć tron. Odmowa rozwścieczyła Victora, więc ojciec zaproponował wyjazd do Laken, żeby uchronić cię przed niebezpieczeństwem.

Oczy Giany się rozszerzyły.

- Tata celowo wyprawił mnie ze stolicy?

- Tak. Podejrzewał, że Victor może wykorzystać otwarcie sesji parlamentu, żeby wszcząć bunt.

- Mnie odesłał, ale mamie pozwolił... - Giana nie dokończyła myśli.

-Byłaś następczynią tronu, księżniczko - przypomniał Max. - Ale...

- Książę Christian błagał żonę, żeby ci towarzyszyła, ale księżna May stanowczo odmówiła wyjazdu. Nie chciała, żeby sam stawiał czoło zdrajcom.

- Och, mammo!

Giana usiłowała odpędzić łzy, ale jedna spłynęła z jej rzes i stoczyła się po policzku. Podczas gdy ojciec rządził krajem, matka dbała o poddanych jak o rodzinę.

Książę Christian był dziedzicznym władcą z rodu Saxe-Wallerstein-Karolya, uosobieniem dobra, sprawiedliwości i siły, natomiast księżna May - sercem i duszą kraju, matką następczyni tronu, obrończynią prostych ludzi, strażniczką wielowiekowej tradycji, wyrocznią towarzyską. Bez niej Giana czuła się zagubiona. Przytłoczona. Przerażona. Nieprzygotowana do rządzenia. Nie znała się na negocjowaniu traktatów, na sprawach zagranicznych. Nigdy nie widziała siebie na tronie, zawsze uważała rolę następczyni za tymczasową, póki nie pojawi się brat. Nie potrafiła wykonywać obowiązków monarchini. Umiała jedynie być księżniczką. Spojrzała na Maxa. Od ponad dwudziestu lat służył jej ojcu jako powiernik i doradca. Z pewnością wiedział, co robić. Będzie znał wszystkie odpowiedzi.

- Ilu mamy ludzi, Max?

- Tylko mnie, wasza wysokość, i tutejszą służbę.

Giana zmarszczyła brwi. W Laken na stałe przebywał jedynie kamerdyner Langstrom, jego żona Isobel i zarazem ochmistrzyni,

koniuszy Josef i pokojówka Brenna. Wszyscy pozostali mieszkali w wiosce i przychodzili codziennie do pracy.

- Razem czworo - stwierdziła Giana. - Z tobą i ze mną sześcioro. I Wagner siódmy. - Zerknęła na ukochanego psa. - Siedmioro przeciwko zdrajcom Victora.

-Wielu właścicieli ziemskich oraz ludzi w rządzie i armii pozostanie lojalnych wobec twojego ojca - zapewnił ją sekretarz.

- W takim razie musimy wrócić do Christianbergu, żeby ich skrzyknąć.

- Nie, księżniczko. Złożyłem księciu uroczystą przysięgę, że zadbam o twoje bezpieczeństwo. Pałac nie jest bezpieczny, podobnie jak stolica.

- Ale nie możemy pozwolić, żeby Victor zwyciężył -oświadczyła Giana. - Nie możemy stać bezczynnie i pozwolić, żeby objął tron mojego ojca. Żeby uszło mu bezkarnie zabójstwo władcy.

- Na razie musimy powstrzymać się od działania -stwierdził Max. - Fala rebelii wzbiera. Victor nie przepuści okazji zdobycia tronu. Nie wolno nam ryzykować życia prawowitej dziedziczki korony.

- Korony - powtórzyła Giana cicho, z szacunkiem. -Jeśli Victor chce włożyć koronę Saxe-Wallerstein-Karolya, musi przestrzegać prawa sukcesji. Nie może się ożenić, póki nie minie tradycyjny okres żałoby po ostatnim władcy. A póki się nie ożeni, nie zostanie koronowany. Do tego czasu będzie mógł rządzić księstwem, ale nie jako prawowity władca.

Gudrun zdobył się na uśmiech.

- Ponieważ to ty jesteś sukcesorką, a nie on, parlament Karolyi zażąda, żeby Victor ożenił się z księżniczką karolyańskiej krwi.

- A nie ma na wydaniu księżniczek karolyańskiej krwi. Oprócz mnie. Chyba że Victor ożeni się z jedną ze swoich sióstr.

- Czego nie uzna żaden z europejskich rodów panujących. - Max potrząsnął głową. - Nie, wasza wysokość, żeby zostać koronowanym i uzyskać tytuł księcia Victora IV Saxe-Wallerstein-Karolya, twój kuzyn musi ożenić się z tobą.

- Albo pokazać światu moje martwe ciało - przypomniała Giana.
- I królewską pieczęć.

- Zatem nie mamy czasu do stracenia.

- Tak. Musimy wyjechać z kraju, nim Victor zamknie granice.
Potem przyczaimy się jak lisy i odczekamy rok.

Max przyjrzał się księżniczce, zaskoczony siłą i determinacją, które usłyszał w jej głosie. Wiedział, że przez najbliższy rok nigdzie nie znajdą całkowicie bezpiecznego schronienia, że życie następczyni tronu będzie zagrożone, bo Giana nigdy się nie zgodzi poślubić mordercy rodziców. Był również pewien, że Victor przeczesze cały kraj, wyśle szpiegów do wszystkich monarchii w Europie, żeby ją odnaleźć.

- Dokąd pojedziemy? - zapytał. Giana zacisnęła usta.

- Nie wiem. Ale musi być jakieś miejsce, w którym nikomu nie przyjdzie do głowy szukać księżniczki.

„Szlachetny Baron nigdy nie odmawia kobiecie w potrzebie”.

- *„Pierwsza część prawdziwych przygód Szlachetnego Barona, dobroczyńcy pięknych, zdradzonych blondynek”, spisanych przez Johna J. Bookmana, 1874.*

18 czerwca 1874 „Yankee Bell”

Rejs z Nowego Jorku do Londynu

Adam McKendrick przez chwilę studiował karty, które trzymał w ręce, po czym rozłożył je na stoliku.

- Ful, trzy panie i dwóch panów.

Ignorując jęki i dobroduszne zaczepki, wyjął z kieszeni kamizelki złoty zegarek, otworzył wieczko i spojrzął na cyferblat. Mrużąc oczy w niebieskim dymie, który wisiał nad stołami i krążył wokół kryształowych żyrandoli, odczytał godzinę. Za dziesięć czwarta. Za dwie godziny na horyzoncie pojawi się pierwszy brzask, ale nie zobaczy go żaden z mężczyzn obecnych w salonie gier.

Człowiek siedzący naprzeciwko niego wziął do ręki talię.

- Gra pan dalej?

- Wychodzę.

Adam zdjął kapelusz z wieszaka i zgarnął do niego wygraną. Następnie wstał i wyciągnął ramiona nad głowę, żeby zmniejszyć napięcie w karku. Głowa bolała go od dymu, który wdychał przez pół nocy, oraz wypitej whisky, ciało miał zeszywniałe od wielogodzinnego siedzenia przy karcianym stoliku.

- Już późno, panowie. Idę spać.

- A pan? - zapytał rozdający, patrząc na Murphy'ego O'Briena, przyjaciela McKendricka i jego towarzysza podróży.

Murphy zerknął na Adama i mrugnął do niego.

- Muszę się odegrać. Jeszcze ze dwa rozdania i też idę.

- Jak chcesz.

Adam włożył surdut i sięgnął po kapelusz. Nikt nawet nie podniósł na niego wzroku, kiedy przecinał salę w drodze do kasy.

Czekając, aż kasjer zamieni żetony na gotówkę, poczęstował się droгим cygarem, odgryzł jego koniec i zapalił. Ze stosu odliczonych pieniędzy wziął jeden banknot i wręczył go kasjerowi, po czym przeliczył pozostałe i schował zwitek do kieszeni.

Opuściwszy salon, ruszył do biura skarbnika. Tam włożył pieniądze do sejfów i otrzymawszy pokwitowanie, wyszedł na pokład. Okrążył go dwa razy, po czym oparł się o reling, żeby pooddychać chłodnym powietrzem i popatrzeć na gwiazdy.

Pół godziny później wrócił do swojej kabiny.

Steward uśmiechnął się szeroko, otwierając mu drzwi.

- Miłego wieczoru, panie McKendrick.

- Dziękuję.

- Zapalić lampę, sir? Adam potrząsnął głową.

- Nie trzeba. Sam sobie poradzę. - Zamknął drzwi za stewardem i odszukał zapałki. Uniósł klosz lampy i podpalił knot, a następnie odwrócił się do koi. - Do diabła! Nie! Znowu!

Na koi leżała blondynka o zaokrąglonych kształtach, naga, okryta jedynie prześcieradłem.

- Cześć, przystojniaku - powiedziała matowym głosem. -

Czekałam na ciebie.

- Do diaska! - McKendrick pokonał kajutę czterema krokami. -

To już trzeci raz w tym tygodniu. Jak się pani tu dostała?

- Przekupiłam stewarda. Adam pokiwał głową.

- Nic dziwnego, że się uśmiechał. Jeśli tak dalej pójdzie, zostanie bogatym człowiekiem.

Kobieta przeciągnęła się jak kot i pozwoliła, żeby prześcieradło odrobinę zsunęło się z piersi.

- Proszę się ubrać i wyjść. Nieproszony gość wydał usta.

- Myślałam, że pomaga pan kobietom w potrzebie.

- Nie potrzebuje pani mojej pomocy. Inaczej nie mogłaby pani sobie pozwolić na przekupienie stewarda.

- Nie trzeba być biedną, żeby szukać pomocy. - Nieznajoma uśmiechnęła się znacząco. - Innego rodzaju.

Adam zmierzył ją wzrokiem.

- Wybrała pani niewłaściwego mężczyznę.

- Przecież pan jest Adamem McKendrickiem.

- Powiem wprost: nie jestem zainteresowany.

- Helena - powiedziała kobieta, zupełnie niezrażona, - Helena Compton.

- Pani Samuelowa Compton?

-Tak. - Zwilżyła wargi koniuszkiem języka. - Na pewno pan nie pożałuje.

Compton. Adam przeczesał włosy palcami. Przez pół nocy grał w pokera z Samuelem Comptonem, potentatem kolejowym z Chicago, niemal dwa razy starszym od żony.

- Niczego od pani nie oczekuję. I nie chcę więcej zastać pani w moim łóżku. Rozumie pani?

- Nie. - Helena ślicznie odęła usta.

- Szkoda. Nie mam nic przeciwko wygrywaniu pieniędzy od współpasażera, ale nie zamierzam chodzić do łóżka z jego żoną. Gdzie pani ubranie?

- Nie w tej kabinie. Adam uniósł brew.

- Więc jak pani tutaj przyszła?

- Miałam współpracowniczkę. Poczekała na korytarzu, aż się rozbiore, i zabrała moje ubranie.

- To kobieta, która była tu przedwczoraj? - domyślił się McKendrick.

- Moja kuzynka. - Pani Compton wzruszyła ramionami. - Uznałyśmy, że którejś z nas w końcu się poszczęści. Chętnie się wszystkim dzielimy.

Adam bez słowa zadzwonił po stewarda, po czym nachylił się i wziął Helenę na ręce razem z prześcieradłem. Pani Compton otoczyła ramionami jego szyję.

- Nie da mi pan chociaż nadziei? -Nie.

W tym momencie rozległo się pukanie.

-Proszę!

- Wzywał mnie pan?

McKendrick zaniósł panią Compton do drzwi i przekazał ją w objęcia stewarda.

- Ta dama pomyliła kabiny - powiedział, wyjmując z kieszeni nowiutki pięciodolarowy banknot. - Proszę dopilnować, żeby trafiła do właściwej.

- Ale, sir, pani zapewniła mnie, że pan i ona...

- Proszę mi przynieść nowe prześcieradło. - Adam złożył banknot i wsunął go do kieszeni stewarda. -Wiem, że mogę liczyć na pańską dyskrecję. A mąż tej damy na pewno będzie wdzięczny, jeśli nie dopuści pan w przyszłości do podobnej pomyłki.

Adam wypchnął stewarda na korytarz i zamknął za nim drzwi.

Jak, do diabła, będzie mógł znowu zasiąść do gry z Samuelem Comptonem? I jak wytłumaczy się starszemu mężczyźnie, jeśli dotrze do niego wieść o eskapadzie żony?

Adam zdjął surdut i koszulę, cisnął je na najbliższe krzesło i usiadł na brzegu koi. Jego niechciana sława zaczynała być kłopotliwa. Wziął głęboki oddech i pomasaował pulsujące skronie. W niektóre dni oddałby ostatniego centa, żeby znaleźć się w miejscu, gdzie nikt go nie zna.

Dziś był jeden z tych dni.

2

„Szlachetny Baron broni słabych i pomaga biednym”.

- *„Druga część prawdziwych przygód Szlachetnego Barona, dobroczyńcy pięknych, zdradzonych blondynek”, spisanych przez Johna J. Bookmana, 1874.*

Później tego samego ranka „Yankee Bell”

Rejs z Nowego Jorku do Londynu

Adam drgnął, kiedy nad jego ramieniem przeleciała jakaś książka, potrafiła filiżankę i wylądowała na blacie. Podniósł wzrok znad gazety, którą właśnie otworzył, i zmarszczył brwi.

- Co, do diaska...

- Jesteś sławny, przyjacielu - przerwał mu O'Brien. - Twoja reputacja cię poprzedza.

McKendrick siedział przy swoim zwykłym stoliku w okrętowej jadalni, popijał gorącą, mocną kawę i obserwował, jak współpasażerowie schodzą się na śniadanie. Zamknął i odłożył gazetę, po czym wziął do ręki groszową powieść i zerknął na tytuł. *„Druga część prawdziwych przygód Szlachetnego Barona, dobroczyńcy pięknych, zdradzonych blondynek”.*

- I co o tym sądzisz? - zapytał Murphy. Chryste! Jeszcze jedna! Adam otworzył książkę, przejrzał kilka stron i prychnął pogardliwie. Raptem jeden dobry uczynek, pomyślał. Szczerze mówiąc, do tej pory jeszcze żadnego nie zrobił z wyłącznie altruistycznych pobudek. Przeczesał włosy dłonią. Wtedy też po prostu był wściekły na męża swojej siostry Kirstin, bo drań pobił ją za wzięcie udziału w wiecu

sufrażystek. Nie zamordował szwagra, tylko wyładował gniew na kowboju, który spoliczkował dziewczynę z baru. Potrząsnął głową. Dał nauczkę nieokrzesanemu typowi, i oto rezultat. Przekartkował powieść. W pierwszej części rysunki przedstawiały go jako dżentelmena broniącego kelnerki przed napastliwym klientem. W drugiej pojawiły się ryciny kobiet, biednych i bogatych, które zwracają się do niego o pomoc, uciekając przed tyranią i zaniedbaniem.

Adam jęknął. W tej części opisano go jako anioła zemsty, stojącego w obronie wszystkich blondynek. Cóż, przynajmniej wiadomo, skąd obecność Heleny Comp-ton w jego łóżku. Najwyraźniej przeczytała książkę i zapragnęła osobiście poznać Szlachetnego Barona.

Dobrze, że nie zdążyłem zjeść śniadania - rzucił burkliwie.

Murphy roześmiał się i sięgnął po dzbanek z kawą. Adam uniósł brew.

- Może chcesz moją filiżankę i spodek?

- Nie, dzięki. - O'Brien pokazał mu kubek. - Przyniosłem własne naczynie, licząc na wspałałomyślność Szlachetnego Barona.

Odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko przyjaciela.

- Bardzo zabawne. - Adam spiorunował go wzrokiem i odsunął książkę. - Skąd ją masz?

- Od jednego z wczorajszych graczy.

- Którego?

- Tego z obcym akcentem, w haftowanej kamizelce.

McKendrick zmarszczył czoło.

- Nie wysilaj pamięci. Przyszedł do salonu z trzema towarzyszami po tym, jak zgarnąłeś wygraną i sobie poszedłeś.

- Była prawie czwarta - przypomniał Adam. - Myślałem, że ty też się zbierasz.

O'Brien się zaśmiał.

- Musiałem jeszcze trochę zostać, żeby odrobić straty. Nie mogłem znieść myśli, że ktoś inny ogra tych cudzoziemców z wypchanymi portfelami. - Uśmiechnął się szeroko i sięgnął po książkę. - A kiedy jeden z nich puścił ją wokół stolika i zapytał, czy któryś z nas słyszał o Szlachetnym Baronie, wzbudził moją ciekawość.

Adam potarł czoło, bezskutecznie walcząc z bólem głowy. -I co? Murphy potrząsnął głową.

- Na szczęście nikt przy stoliku nie czytał wcześniej „Prawdziwych przygód”, a cudzoziemiec mówił o tobie „baron”. Ale twoje nazwisko jest na liście pasażerów i jeśli zechcą cię znaleźć, nie zajmie im to dużo czasu.

- Jezu, Józefie, Maryjo! Kupiłem tyle egzemplarzy pierwszej części, ile zdołałem. Czyżbym musiał wykupić wydawnictwo, żeby odzyskać spokój? Dlaczego John J. Bookman wydrukował moje nazwisko? Sam używa pseudonimu. - Adam zaklął pod nosem. - W dodatku teraz są dwie części. - Jego reputacja obrońcy skrzywdzonych kobiet rozprzestrzeniła się od osad górniczych po Virginia City,

Sacramento i San Francisco jeszcze przed wydaniem pierwszej powieści, ale w niej przynajmniej tkwiło ziarno prawdy. Druga była czystą fikcją. - Jesteś agentem Pinkertona. Zrób coś. Dowiedz się, skąd pochodzą te bzdury. - Wziął do ręki książkę i uderzył nią w stół. - Chyba wolałbym reputację rewolwerowca. Nie mogę się obrócić, żeby nie natknąć się na kogoś, kto o mnie czytał...

Murphy zrobił współczującą minę.

- Tak, co krok piękne blondynki, wszystkie w rozpaczliwej sytuacji. Naprawdę pieskie szczęście.

- Nie mów mi o szczęściu i urodzie - zaprotestował Adam. - Moje życie stanie się piekłem, gdy wrócę do domu. Kobiety w wieku od szesnastu do sześćdziesięciu lat, szukające u mnie ratunku...

McKendrick mieszkał w Nevadzie, w Queen City, które powstało dzięki fortunom wyrosłym na eksploatacji rud srebra ze złoża Comstock Lode. Adam był właścicielem największego hotelu w mieście i opery, a w rzeczywistości baru i domu gry, ponieważ rada miejska uznała, że szumna nazwa przyciągnie bogatych gości. Adam uważał, że przyjezdnych kuszą raczej wciąż nowe pokłady srebra znajdujące wokół Queen City oraz położenie na trasie dyliżansu do Virginia City i San Francisco. Rajcowie mieli natomiast rację co do jednego: interesy kwitły.

- Jeśli wrócisz - powiedział Murphy i łyknął kawy.

- Co masz na myśli? Przyjaciel wzruszył ramionami.

- Jedziesz do Szkocji, żeby obejrzeć dom myśliwski, który odziedziczyłeś. Może postanowisz zostać właścicielem ziemskim.

Adam prychnął.

- Domu nie odziedziczyłem, tylko wygrałem go w pokera. I dlaczego miałbym zostawać w Szkocji, gdy u siebie prowadzę kilka kwitnących interesów?

- Szkocja słynie z dzikiego piękna. A McKendrick to szkockie imię. Może polubisz stary kraj.

- Nie obchodzi mnie piękno Szkocji. Jestem Amerykaninem. A jeśli spodoba mi się posiadłość, to dlatego, że można na niej zarobić.

- Więc nie ma obawy. - Murphy się roześmiał. - Nie przywiążesz się do szkockiej ziemi. Może i jest piękna, ale są tam jedynie biedni ludzie, chude bydło, wrzosowiska i owce. Gdyby istniał jakiś sposób, żeby na niej zarobić, na pewno już dawno ktoś by go znalazł.

- Może nie szukali jak należy. - Adam trącił O'Briena w ramię. - Świat się zmienia, przyjacielu. Bogactwo już nie jest przypisane wyłącznie do arystokracji. Ludzie robią majątki na wydobyciu srebra i złota, na kolejach i stalowniach. Powstała nowa klasa milionerów szukających nowych sposobów wydawania pieniędzy i nowych rozrywek - McKendrick uśmiechnął się szeroko. - Pierwsze dolary zarobiłem, kopiąc srebro w Comstock, i mogę cię zapewnić, że w porównaniu z tamtą harówką hotel i dom gry to lekki chleb. Dlatego postanowiłem sprawdzić, czy domek myśliwski kryje w sobie jakieś możliwości.

- Możliwości?

- Rekreacji. Polowanie, łowienie ryb, picie whisky, karty, polo, golf.

- Golf? - Murphy uniósł brwi. - Znam się na polowaniu, łowieniu ryb, kartach i picciu whisky. Słyszałem o polo. Ale co to, do diabła, jest golf?

Adam się uśmiechnął.

- Gra, którą lubią Szkoci.

- Gdzie się o niej dowiedziałeś?

- Od starego Szkota, który kopał na działce obok mojej. Zawsze opowiadał, że wróci do Szkocji i zbuduje klub dla dżentelmenów, gdzie będą mogli pograć w golfa.

- Gra się w pomieszczeniu czy na dworze? - zapytał Murphy.

- Na dworze.

O'Brien odrzucił głowę do tyłu i zaczął się śmiać tak serdecznie, że do oczu napłynęły mu łzy.

- W Szkocji jest tak cholernie zimno i wietrznie, że człowiek musiałby być głupcem, żeby płacić za grę na powietrzu.

- McTavish przysięgał, że jego rodacy ją uwielbiają. Przyjaciel znowu parsknął śmiechem.

- Jesteś pewien, że ten Szkot miał dobrze w głowie?

- Oczywiście.

- Chciałbym to zobaczyć.

- Dlatego właśnie cię poprosiłem, żebyś jechał ze mną. O'Brien dolał sobie kawy.

- Nie prosiłeś, tylko mi zapłaciłeś, bo chciałeś, żeby w czasie rejsu ktoś zabawiał twoją siostrę.

Adam się skrzywił.

- To prawda. Kocham ją, ale działa mi na nerwy. Rzeczywiście nikogo na świecie nie kochał bardziej

od matki i czterech starszych sióstr, choć bez wątpienia potrafiłyby wystawić na próbę cierpliwość wszystkich świętych. A Adam nie uważał się za świętego. Wiedział, czego się spodziewać. Wszystkie były pewne siebie i uparte, więc rozmowy z nimi nie należały do łatwych, w dodatku z Kirstin nie dało się pogawędzić o czymś ważnym albo naprawdę ciekawym. Matka i trzy siostry, początkujące sufrażystki, nie potrafiły przekabacić Kirstin. Dziewczyna nie rozumiała, o co całe zamieszanie. Choć równie piękna jak one, nie dorównywała im bystrością umysłu. Nauka czytania okazała się dla niej trudna, szkoła była mordęgą. Umiała jednak, zgodnie z radami matki, wykorzystać swoje atuty: urodę, wytrwałość i determinację, żeby osiągnąć w życiu to, czego pragnęła.

Niestety zapragnęła angielskiego lorda za męża. I go zdobyła.

Nie zamierzała prawić londyńskim damom o równości płci. Nie zależało jej na równych prawach, tylko na prestiżu, którym cieszyła się jako żona para. Nie rozmawiała o polityce, jej zainteresowania zaczynały się i kończyły na plotkach i modzie. Niestety. Adam bowiem odkrył, że nawet mężczyzna tak kochający siostrę i pobłażliwy jak on nie jest w stanie długo wysłuchiwać zachwyków nad falbankami i wstążkami. I gdyby nie plany związane z domem myśliwskim, zupełnie nie obchodziłaby go londyńska śmietanka. Choć w ciągu dnia udawało mu się unikać Kirstin, wieczorami musiał zapewnić jej stosowną eskortę.

Westchnął ciężko. Dwunastodaniowe kolacje, w czasie których musiał zmagać się z tuzinami sztućców, talerzy i kieliszków, tak go męczyły, że co wieczór grał z Murphym w karty o kłopotliwy zaszczyt towarzyszenia Kirstin. Do tej pory częściej wygrywał niż przegrywał, więc to przyjaciel musiał znosić jej paplaninę. McKendrick płacił mu jednak za fatygę oraz dbał o drobne przyjemności, takie jak cygara i dobre trunki. Prawda była taka, że lubił O'Briena i umarłby z nudów w czasie rejsu, gdyby Murphy nie przyjął jego propozycji. Adam sięgnął po kawę i spojrzał na przyjaciela znad filiżanki.

- Dziś twoja kolej iść z nią na kolację - przypomniał.

- Jeśli tak bardzo tego nie lubisz, dlaczego dałeś się namówić na odwiezienie jej do męża?

- Nie znasz powiedzenia, że każdy dobry uczynek musi zostać ukarany?

- Jak to?

- Wszystko zaczęło się od przyjęcia, które moja najstarsza siostra Astrid wydała z okazji sześćdziesiątych urodzin matki.

Przyjechała również Kirstin ze swoim angielskim mężem...

- Jaka matka, taka córka - skomentował O'Brien.

- Niezupełnie. - Adam przeszył go spojrzeniem, które mówiło, że obejdzie się bez uwag. - Różnica polega na tym, że Kirstin marzyła o lordzie, nawet jeśli ten był bez centa przy duszy i zależało mu na ślubie z bogatą dziewczyną. Niestety okazał się człowiekiem, któremu jest wciąż mało. Mój ojciec był zupełnie inny. Miał mnóstwo

pieniędzy i zniknął niedługo po ślubie, bo moja matka sama zachęciła go do wyjazdu. Twierdzi, że od początku wiedziała, że ich małżeństwo jest błędem, bo bardzo się różnili. Osobiście uważam, że wyjechał, zanim się urodziłem, ponieważ przerażała go perspektywa kolejnej pary bliźniąt. - Adam się roześmiał. Jego dwie najstarsze siostry były bliźniaczkami, dwie kolejne, również. I wszystkie do siebie podobne, blondynki o niebieskich oczach, jak matka. On był najmłodszym dzieckiem w rodzinie i jedynym mężczyzną, w dodatku ciemnowłosym. A jego ojciec wolał wrócić do Londynu niż zostać z wdową obarczoną czterema córkami.

- W każdym razie Kirstin i jego lordowska mość wybrali się do Denver, żeby uczcić urodziny mojej matki.

- Miły rodzinny zjazd - zauważył Murphy.

- Raczej piekło. Matka jest uparta i niezależna jak zawsze. Nadal prowadzi farmę w Kansas, martwi się o pogodę i ceny zboża, jest przewodniczącą ruchu sufrażystek.

- Uśmiechnął się na myśl o starszej pani rozlepiającej plakaty. - Zawsze byłem z niej dumny. Popieram sufrażystki, ale czasami chciałbym, żeby mama... - Już miał powiedzieć, że wolałby, by mama nie była taka niezależna i nie wybrała spadku po pierwszym mężu zamiast miłości drugiego, ale odpędził tę myśl. Kochał ją, choć nie należała do osób okazujących uczucia. Nie lubiła chwalić ani rozpieszczać. Ceniła ciężką pracę i nakłaniała do niej dzieci, żeby odniosły sukces. - Moja siostra Astrid pomaga mężowi w praktyce medycznej, mimo że jest w ciąży z siódmym dzieckiem. A Erika

zatrudniła w swojej szkole trzy nowe nauczycielki, same sufrażystki. Jej mąż jest inżynierem na kolei. Dużo podróżuje, a Erika wyzywa się w pracy. - Adam wzruszył ramionami. - Greta kupiła razem z mężem farmę obok naszej rodzinnej. Zrezygnowała z posady w miejskiej gazecie, ale wydaje cotygodniowy biuletyn dla farmerek. Ostatnio mama, Astrid, Erika i Greta utworzyły Towarzystwo Antyalkoholowe wspólnie z miejscowymi sufrażystkami. Moi trzej szwagrowie nie uważają ich politykowania za groźne, ale jego lordowska mość... - Adam potrząsnął głową i zaklął. - Jego cholerna lordowska mość okazał się prawdziwym draniem. Pobił Kirstin za to, że ośmieliła się wybrać na wiec razem z matką i siostrami. Jego lordowska mość boi się, że żona zacznie narzucać niebezpieczne poglądy małżonkom i córkom jego przyjaciół z Izby Lordów. Ironia polega na tym, że Kirstin poszła na wiec tylko dlatego, że miały w nim wziąć udział wszystkie kobiety z miasteczka. Nie obchodzi jej propagowanie abstynencji ani ruch sufrażystek. Po prostu nie chciała się wyróżniać. Ale drogi mężu-lek i tak ją zbił.

- Łotr! - Murphy przeczesał palcami gęste brązowe włosy, wstrząśnięty na myśl o siniakach na wspaniałym ciele Kirstin Marshfield. - Nienawidzę angielskich lordów. Cholerne aroganckie dranie. - Zerknął na przyjaciela. - Z jednym wyjątkiem.

- Nie musisz robić żadnych zastrzeżeń - powiedział Adam. - Zgadzam się z tobą całkowicie.

- Ale ty jesteś...

McKendrick potrząsnął głową.

- Mój ojciec jest młodszym synem angielskiego lorda. Zamiast tytułu miał odziedziczyć majątek, ale go nie przyjął. Mama twierdzi, że nie potrzebował pieniędzy. Był obdarzony mnóstwem uroku osobistego i talentem Midasa. Wychodziło mu wszystko, czego się tknął, ale kiedy go poznała, żył dla przygody. Pragnął zobaczyć świat, a matka, choć go kochała, nie chciała zrezygnować z farmy, którą odziedziczyła po pierwszym mężu. Tak więc się rozstali. W końcu ojciec unieważnił małżeństwo, żeby ożenić się z inną kobietą, a ja formalnie zostałem bękartem. - Adam umilkł na chwilę. - Gdy mama napisała mu, że się urodziłem, przysłał pieniądze dla wszystkich i złoty medalion dla mnie. - McKendrick wyjął zegarek i pokazał O'Brienowi dewizkę. - Mama zatrzymała medalion, a zwróciła pieniądze. Oto całe moje dziedzictwo. Kiedy małżeństwo zostało unieważnione, nie miałem prawa nosić nazwiska McKendrick, ale mama się uparła, żebym je zatrzymał. Powiedziała, że to nazwisko, z którym się urodziłem, i ani prawo, ani kościół nie mogą mi go odebrać. - Schował zegarek z powrotem do kieszonki. - Mąż Kirstin jest prawdziwym angielskim lordem. Próbowałem ją przekonać, żeby go zostawiła, ale nie chciała nawet o tym słyszeć. - Adam przesunął palcem po krawędzi filiżanki. - Mogłem jedynie zapowiedzieć jego lordowskiej mości, że go zabiję, jeśli jeszcze raz tknie moją siostrę. Ostrzegłem, że od tej pory będę go obserwował.

- Uwierzył ci? - zapytał O'Brien.

- Chyba tak, bo pozwolił Kirstin zostać u mamy na farmie. Sam wsiadł w następny pociąg jadący na wschód, a potem na statek.

Podobnie jak facet, który później tej samej nocy spoliczkował jedną z dziewcząt z baru „Gold Nugget”.

- I stąd pierwsza część prawdziwych przygód Szlachetnego Barona...

Adam pokiwał głową.

- W barze musiał być jakiś dziennikarz, który usłyszał, jak proponuję dziewczynie pracę i mieszkanie. Odrzuciła propozycję, ale wzięła bilet na pociąg, żeby wrócić na rodzinną farmę w Indianie.

- Może to ona sprzedała tę historię.

- Możliwe. - Adam dał znak kelnerowi, żeby przyniósł świeży dzbanek kawy. - Albo Kirstin postanowiła napisać powieść, żeby zarobić na drobne wydatki. Tak czy inaczej, teraz ja mam kłopot.

- A skoro już o tym mowa, gdzie jest milady? - spytał O'Brien.

- Je śniadanie w swojej kabinie. Mówi, że nie wypada, żeby wicehrabinę widziano przed drugą po południa

- Co robi przez całe ranki? - zainteresował się Murphy. - Chyba się nie stroi. Już wygląda jak królowa.

- Nie wiem i nie obchodzi mnie to, póki nie muszę wysłuchiwać opisów nowych sukien, które zamówiła na ten sezon. - Adam poczekał, aż kelner zamieni dzbanki, napełnił filiżankę i wypił łyk kawy. - Dzięki Bogu, za kilka dni dobijamy do portu. Teraz niech zajmie się nią mąż. - Zerknął na przyjaciela. - Nie zrozum mnie źle. Gardzę tym człowiekiem. Myślę, że Kirstin popełniła wielki błąd, wychodząc za jego lordowską mość, i popełnia kolejny, wracając do niego. Ale to jej życie i jej decyzje. Martwię się o nią, lecz mam

związane ręce. - Zamyślił się na chwilę. - Jeśli moja siostra postanowi, że już nie chce być wicehrabiną, będę niedaleko, w Szkocji.

Murphy tylko mruknął coś niewyraźnie. Dostatecznie dużo czasu spędził w towarzystwie Kirstin, by wiedzieć, że lady Marshfeld nigdy nie zrezygnuje z prestiżowego tytułu... nawet gdyby musiała znosić złe traktowanie. Adama też dobrze znał i rozumiał, że przyjaciel czuje się w obowiązku bronić siostry... choćby przed jej własnymi ambicjami.

- Spójrz na dobre strony sytuacji. - Wziął do ręki powieść. - Nikt w Szkocji nie wie o Szlachetnym Baronie.

- Przynajmniej nie będę musiał oglądać tych bzdur na każdym kroku.

- Albo starać się dorównać swojej reputacji - dodał Murphy z szerokim uśmiechem.

Adam też się uśmiechnął.

- Właśnie. Mam dość niebieskookich i jasnowłosych ślicznotek. Jeśli w Szkocji są jakieś, nie chcę o tym wiedzieć.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie. Możesz je sobie wszystkie wziąć.

„Księżniczka z rodu Saxe-Wallerstein-Karolya powinna dbać o wszystkich lojalnych poddanych”.

- Zasada 5 protokołu i etykiety dworskiej rodu Saxe-Wallerstein-Karolya, zatwierdzonych przez jaśnie oświeconego księcia Karola I, 1432.

- Jest kłopot, wasza królewska mość. Giana westchnęła.

- Max...

Setki razy przypominała sekretarzowi, że jeśli chcą podróżować incognito, udając rodzinę, i skutecznie się ukrywać, nie wolno mu mówić po karolyańsku ani używać jej tytułu za każdym razem, kiedy się do niej zwraca. Teraz była córką ochmistrzyni i kamerdynera, Gudrun jej stryjem, a Josef i Brenna kuzynami. Pracowali w Szkocji u niedawno zmarłej hrabiny i teraz jechali w odwiedziny do Gordona, brata Isobel. Przez cały czas powinni rozmawiać po angielsku, ale Giana dopuszczała odstępstwa od tej reguły, kiedy była sama z Maxem.

Sekretarz odruchowo zerknął przez ramię, by się upewnić, że nikt nie podsłuchuje. Trudno mu było zerwać ze starymi nawykami.

- Nikogo tu nie ma, wasza... Giano.

Dziewczyna wrzuciła suknię, którą zaczęła cerować, do koszyka stojącego na kamiennej posadzce. Zrobiło się za ciemno na szycie. Światło dzienne zgasło wraz ze zmierzchem, na świat opadła delikatna mgła, ogień palący się w ogromnym kominku z trudem rozpraszał mrok. Salon stał się ulubionym pomieszczeniem Giany w szkockim

domu. Kamienne ściany, belki i wysokie sufity przypominały jej letni pałac w Laken. Rozprostowała plecy, czekając spokojnie na wyjaśnienie Maxa. Po prawdzie, nie musiał nic mówić. Z wyrazu jego twarzy odczytała, że wieść, którą przyniósł, nie jest dobra.

-Jakieś nowiny o Victorze?

Max potrząsnął głową.

- Nie, wasza królewska mość.

- Więc co?

- Musimy znaleźć sobie inną kryjówkę. Właściciel zmierza właśnie do domu.

Giana zmarszczyła brwi. Po sześciu tygodniach spędzonych na bocznych drogach Europy, podróżując z Karolyi przez Francję i Hiszpanię, mała grupka uciekinierów poczuła się dość bezpiecznie, żeby pojechać do niezamieszkanego domu myśliwskiego, ukrytego głęboko w górach Szkocji Brat Isobel, Gordon, był tam łowczym i dozorcą. Larchmont Lodge stało się ich wybawieniem. Langstromowie mieszkali i pracowali w Karolyi przez ponad dwadzieścia lat, w dodatku w Laken, z dala od stolicy, więc wydawało się mało prawdopodobne, by ludzie Victora odkryli, że zbiegła ochmistrzyni ma brata w dalekiej Szkocji.

- Ale Gordon mówił, że lord Bascombe nie przyjeżdża tutaj od lat. Podobno nienawidzi tego miejsca.

- Istotnie - odparł Max. - Nienawidził Larchmont tak bardzo, że w końcu je sprzedał. W wiosce czekał na Gordona telegram, że nowy

właściciel zamierza obejrzeć posiadłość. Polecił mu przygotować dom.

- Kiedy? - wykrztusiła Giana.

-Lada dzień. Listonosz czekał, aż Gordon przyjedzie do wioski po pocztę, zamiast osobiście ją dostarczyć. Obawiam się, że nie zostało nam dużo czasu na znalezienie innego schronienia, wasza wysokość.

Giana przygryzła dolną wargę.

- Czy człowiek, który kupił dom, może nas rozpoznać?

-Nosi szkockie nazwisko, ale z telegramu wynika, że pochodzi z Ameryki. Giana się uśmiechnęła.

- Więc nie musimy się martwić o nową kryjówkę.

- Dlaczego?

- Będziemy tu bezpieczni aż do powrotu do Karolyi. - Starła się mówić z pewnością siebie, której wcale nie czuła.

- Skąd to przeświadczenie, księżniczko?

- Powszechnie wiadomo, że Amerykanów nie obchodzą nasze sprawy.

- Ale nie możemy zostać w domu, do którego przyjeżdża nowy właściciel - zaprotestował Max,

Giana zastanawiała się przez chwilę.

- Możemy udawać służbę.

Gudrun jęknął, dostrzegłszy determinację w jej oczach.

- Służbę? Wasza wysokość, błagam...

- Ależ to doskonały pomysł. - Giana się uśmiechnęła. -
Będziemy służącymi.

Max stłumił jęk. Księżniczka omal nie spaliła kuchni w Christianbergu, usiłując opanować tajniki francuskiej kuchni. Zamieniła gęś w popiół, osmalila suknię i piec. Porywczy kucharz odmówił udzielania następczyni tronu kolejnych lekcji i zabronił jej wstępu do swojego królestwa. Nawet wielkoduszna i pobłażliwa Isobel nie pozwoliła dziewczynie pomagać w gotowaniu posiłków z obawy o jedyny piec w Larchmont Lodge.

Max spróbował jeszcze raz.

- Błagam, księżniczko, żebyś sobie przypomniała swoje szesnaste urodziny.

Uśmiech zniknął z twarzy Giany. Zgodnie z karolyańską tradycją dziewczęta z gminu nie mogły wyjść za mąż, póki nie skończyły szesnastu lat. Szykując się do ważnego rytuału wejścia w dorosłość, przez cały piętnasty rok życia uczyły się prac domowych. Choć zwyczaj nie dotyczył kobiet szlacheckie urodzonych, które często zaręczano, zanim osiągnęły wymagany wiek, Giana była wyjątkiem. Jako następczyni tronu miała dawać przykład i zachęcać rówieśnice do nauki gotowania, szycia i sprzątanía. Książę Christian i księżna May wydali stosowne polecenia pałacowemu kucharzowi oraz pozostałej służbie.

- To był wypadek.

- Oczywiście, księżniczko, pozostaje jednak faktem, że nie masz doświadczenia w prowadzeniu domu.

- Ale wychowałam się w pałacu.

- Wychowanie a praca to dwie różne rzeczy. Giana zmarszczyła brwi.

- Wiem. Ale obserwowałam personel i szykując się do szesnastych urodzin, nauczyłam się paru rzeczy, z wyjątkiem gotowania. Zamiatalam, szorowałam podłogi, odkurzałam meble, pomagałam trzepać dywany, zmywałam naczynia, prałam.

Nie wspomniała, że te lekcje się skończyły, kiedy namoczyła swoje batystowe koszule nocne i delikatną bieliznę w ługu, a po umyciu podłogi w przedsionku sali recepcyjnej zapomniała ją wytrzeć. Pałacowa szwaczka musiała ślęczeć całą dobę, żeby uszyć jej nową bieliznę, a niemiecki ambasador pośliznął się i runął na twardą marmurową posadzkę, podcinając przy okazji dwóch papieskich wysłanników. Obaj z impetem wylądowali u stóp ministra skarbu. Ojciec śmiał się później z tej historii, ale oznajmił, że koniec z nauką prania i szorowania podłóg.

Inne lekcje trwały nadal i dwa dni później Giana niechcący zniszczyła kilka bezcennych weneckich kryształów swojej matki, wrzucając je do gorącej wody przygotowanej do mycia naczyń.

Tydzień później, odkurzając fortepian w pokoju muzycznym, przytrzasnęła klapą palce rosyjskiego doradcy, a trzepiąc fotel, strąciła z postumentu rzeźbę konia z czasów dynastii Ming. Następnego dnia ojciec wydał polecenie, żeby ograniczyła się do nauki szycia, ale zastrzegł, żeby nie zbliżała się do maszyny. Ponadto miała zdobywać tradycyjne kobiece umiejętności, takie jak: planowanie menu,

układanie kwiatów, haftowanie i ogrodnictwo. Pałacowe rabaty trochę przez nią ucierpiały, złote rybki były karmione za często, kilka krzaków róż zostało przyciętych zbyt mocno, ale imię Giany odczytano razem z imionami innych szesnastolatek z Christianbergu. Z okazji urodzin każda dostała bukiet białych kwiatów oraz srebrną spinę z wygrawerowanym rokiem i karolyańskim motto: „miłość, obowiązek, rodzina”. Pomysłodawczynią tego rodzaju pamiątki była księżna May.

Giana zawsze nosiła srebrny drobiazg przy sobie i ceniła go bardziej niż królewskie klejnoty. Oprócz niego i medalionika, który matka dała jej na dwunaste urodziny, wszystko inne otrzymała z racji urodzenia: bogactwo, tytuły, pozycję. Ale na spinę zasłużyła własną pracą. Na-macała teraz znajomy kształt przez materiał sukni. Bała się nosić miłą sercu pamiątkę na widoku, dlatego przypinała ją do halki obok medalionu zawieszzonego na delikatnym złotym łańcuszku. Królewski sygnet przechowywała ukryty przy pasku.

- Zapracowałam na spinę.
- Tak, wasza wysokość, ale...

Patrząc w błyszczące niebieskie oczy księżniczki, Gudrun nie potrafił jej odmówić ani z czystym sumieniem zgodzić się na ryzykowną maskaradę.

- Możemy to zrobić, Max.
- A czy wzięłaś pod uwagę, księżniczko, że podejmując się pracy przeznaczanej dla miejscowych, pozbawiasz ich pensji, a tym samym środków do życia?

Giana się zawahała. Rzeczywiście o tym nie pomyślała. Nie chciała ograbiać okolicznych wieśniaków z zarobków, których bardzo potrzebowali. Wcześniej nie miała pojęcia, że Szkocja jest biedna, a jej matka chrzestna, królowa Wiktorja, nie zapewniła poddanym środków utrzymania. Popatrzyła na doradcę.

- My... ja... - Nadal uczyła się używania liczby pojedynczej zamiast królewskiego "my", do którego przywykła. - Nie będę brać pensji.

- Musisz, wasza wysokość - rzekł Max. - Inaczej wzbudzisz podejrzenia. W dzisiejszych czasach służącym zostaje się wyłącznie dla pieniędzy.

- Więc przekażę moją pensję na cele dobroczynne. Ty i Gordon zadbacie o to, żeby dotarła do potrzebujących.

- Dobrze, wasza wysokość. - Gudrun nie miał serca uświadomić dziewczynie, że jej skromne dochody nie ulżą losowi biednych.

- Pozostali oczywiście zatrzymają wszystko, co zarobią. Isobel i Albert podejmą role ochmistrzyni i kamerdynera. Josef zajmie się stajniami, Brenna i ja będziemy pokojówkami, a ty zarządcą.

Max odchrząknął.

- Zdaje się, że tę funkcję obecnie pełni Gordon.

- Och. W takim razie będziesz... - Giana zmarszczyła brwi, szukając w myślach odpowiednika szambelana. - Nadzorcą.

- Przepraszam, wasza wysokość, ale płatni pracownicy nie wymagają nadzorcy. Sądzę, że po angielsku tego określenia używa się wobec człowieka pilnującego niewolników i skazańców.

Giana poczuła, że na jej policzki wypływa rumieniec.

- Nie chcieliśmy cię obrazić, Max. My... ja miałam na myśli stanowisko marszałka dworu, odpowiedzialnego za całą królewską rezydencję i personel, zarówno na wygnaniu, jak i po powrocie do Karolij.

Jej słowa wzruszyły Maxa do głębi. Przez prawie czterysta lat mężczyźni z rodu Gudruna służyli księżetom Saxe-Wallerstein-Karolya, ale żaden nie zaszedł wyżej niż do stanowiska prywatnego sekretarza. Księżniczka Giana awansowała go na najwyższy urząd, jaki

kiedykolwiek osiągnął członek jego rodziny. Sam nawet o nim nie marzył. Marszałek był najwyższym rangą urzędnikiem na królewskim dworze, odpowiedzialnym tylko przed władcą. Gudrun skłonił głowę.

- To dla mnie ogromny honor, księżniczko. Giana uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Zasłużyłeś na dużo więcej - powiedziała. - Stanowisko marszałka dworu nie jest w tym momencie wielkim zaszczytem, zważywszy na to, że królewska siedziba jest pożyczona, a cała świta składa się z sześciu osób. Mamy jednak nadzieję, że wszystko ci wynagrodzimy, kiedy wrócimy do pałacu w Christianbergu.

- Nie musisz niczego mi wynagradzać, księżniczko. Jestem zaszczycony, że mogę ci służyć.

- A ja jestem zaszczycona twoją wierną służbą. Będę potrzebowała pomocy. Wprawdzie zasłużyłam na spinkę, ale istotnie

brakuje mi praktyki w wypełnianiu domowych obowiązków. Dobrze zamiatać i odkurzać, ale nie umiem gotować ani prać. Trzeba zatrudnić dodatkowych ludzi z okolicy.

Max się skrzywił.

- Oczywiście będzie, jak rozkażesz, wasza wysokość, ale czy mogę zaproponować, żebyś lepiej wykorzystała swoje umiejętności, nadzorując innych, księżniczko?

Giana potrząsnęła głową.

-Nie mogę zająć w domu wyższej pozycji niż Albert i Isobel, skoro mają być moimi rodzicami. Obawiam się, że córka nadzorująca ich pracę mogłaby wzbudzić podejrzenia.

Gudrun się uklonił.

- Masz rację, księżniczko. Giana dotknęła jego policzka.

- Zbierz resztę gości i poinformuj ich o przybyciu właściciela.

- Gości? - Max uniósł brwi.

- Gości przez jeszcze jedną noc - wyjaśniła Giana. -Od jutra będziemy służbą. - Posłała doradcy figlarny uśmiech. - Może jestem księżniczką, ale nawet ja zauważyłam, że służący raczej nie zajmują sypialni na tym samym piętrze co rodzina.

Podejrzewała, że pokoje, które zajmują pozostali członkowie jej małej świty, niewiele przypominają ten, który sama wybrała: z dużym marmurowym kominkiem i wielkim łóżem z baldachimem oraz grubym puchowym matercem.

- Jest jeszcze czas, żeby zmienić zdanie, wasza wysokość. - Max mrugnął do niej. - Ze stanowiskiem ochmistrzyni wiąże się własny pokój.

- Czuję pokusę, bo niechętnie zrezygnuję z tego wspaniałego łoża - przyznała Giana uczciwie: - Ale Isobel będzie lepszą ochmistrzynią niż ja.

- Isobel nie potrzebuje osobnej kwatery, ponieważ dzieli sypialnię z mężem.

- A ja będę dzieliła pokój na strychu z Brenną. Max potrząsnął głową.

- Skoro sobie tego życzysz, wasza wysokość.

- Życzę. - Giana się roześmiała. - Ale dopiero od jutra.

„Księżniczka z królewskiego rodu nigdy nie sprzeciwia się wyższym rangą ani nie wygłasza odmiennej opinii wobec niższych rangą”.

- Zasada 202 protokołu i etykiety dworskiej rodu Saxe-Wallerstein-Karolya, zatwierdzonych przez jaśnie oświeconego księcia Karola I, 1432.

- Otwierać! - Adam zabębnił pięściami w solidne dębowe drzwi, a następnie z całej siły zastukał mosiężną kołatką. - Otwierać!

Zanim dotarł do Larchmont Lodge, lekka mgła, która powitała go na stacji kolejowej w Glasgow, przeszła w gwałtowną ulewę z silnymi podmuchami wiatru, które niemal zwiewały go ze schodów. Trzymając się jedną ręką za kołatkę, drugą zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu klucza. Bascombe nie miał go przy sobie, kiedy w trakcie podróży przez Nevadę i amerykański zachód przegrał dom w pokera. McKendrick nie chciał z początku przyjąć od niego prawa własności. Lubił wygrywać, póki wiedział, że przeciwnicy mogą sobie pozwolić na stratę nawet sporych sum, ale na myśl o odebraniu rodzinnej posiadłości czuł się nieswojo. Próby anulowania długu zostały odrzucone. Lord Bascombe uparł się, żeby Adam wziął dom jako zapłatę. McKendrick schował akt własności w sejfie i prawie o nim zapomniał, ale trzy miesiące później przyszedł pocztą klucz wraz z listem, w którym były szczegółowo wymienione wszystkie zabudowania oraz meble. Poprzedni właściciel napisał również, że

całą służbę zwolniono, a posiadłości obecnie dogląda zarządca Gordon Ross.

Kiedy Adam dotarł do celu, w pierwszej chwili pomyślał, że dom jest pusty. Wprawdzie z Londynu wysłał do zarządcy telegram z poleceniem, żeby zatrudnił personel i przygotował pokoje, ale nie wiedział, czy Ross to zrobił. Kiedy wysiedli na stacji w Glasgow, Murphy zaproponował, żeby spędzili noc w hotelu i wysłali jeszcze jeden telegram przed podróżą w góry, ale Adam nie chciał o tym słyszeć. Miał dość bezczynności, najpierw na statku, potem w Londynie i wreszcie w pociągu. Palił się do tego, żeby obejrzeć kraj, zobaczyć Larchmont Lodge i ocenić jego walory.

Nie chciał zostać zastrzelony za naruszenie cudzego terenu, więc postanowił najpierw zawiadomić Gordona Rossa o swoim przybyciu. Zamierzał pojechać konno do jego domu, który, jak wiedział, stoi w głębi posiadłości, ale jego uwagę zwrócił błysk światła w oknie. Było późno i chociaż nikt nie spieszył na jego powitanie z parasolem i lampą, blask w oknie i zapach dymu z komina świadczyły, że dom jest zamieszkały. Wyglądało na to, że Gordon Ross jednak dostał jego telegram. Służba prawdopodobnie udała się już na spoczynek, ale przecież mógł sam wejść. Ostatecznie był właścicielem.

Postawił kołnierz płaszcza, żeby uchronić kark przed stałym strumieniem deszczu, i zadrzał, kiedy wiatr dmuchnął w niego z całą siłą. W końcu udało mu się włożyć klucz w dziurkę. Był przemoczony, zziębnięty i zmęczony podróżą. Przez ostatnie mile nie mógł się doczekać huczącego ognia, gorącego posiłku i łóżka.

Możliwe, że dzisiaj będzie musiał się bez nich obejść, ale nie podda się bez walki.

- Wiem, że ktoś tam jest! - Zabębnił jeszcze raz. -Otwierać!

Przekreślił klucz w zamku i pchnął drzwi. Otworzyły się szeroko i uderzyły w ścianę z hukiem, który wstrząsnął framugą. Klucz wypadł z zamka i zaczął sunąć po marmurowej posadzce. Mężczyzna i kobieta w koszulach nocnych uskoczyli przed zimnym deszczem. Adam przekroczył próg i zatrzasnął drzwi. Oparł się o nie plecami, zdjął kapelusz i przeczesał włosy palcami.

- Jestem Adam McKendrick. - Cisnął kapelusz na marmurowy stolik i wyciągnął rękę do mężczyzny. -Gordon Ross, prawda?

Mężczyzna cofnął się, potrząsając głową. Adam zabrał dłoń i zmarszczył brwi.

- Więc kim pan jest?

W tym momencie do przodu wystąpiła kobieta.

- Ja jestem Isobel Langstrom, a to mój mąż Albert -powiedziała z twardym szkockim akcentem. - Należymy do służby.

McKendrick odetchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu.

Zdjął płaszcz, otrząsnął go z wody i rozejrzał się za wieszakiem. Albert wziął od niego okrycie.

- Dziękuję. - Adam ruszył w górę po schodach. - Podróżowałem cały dzień. Jestem przemoknięty, zziębnięty i zmęczony, Chciałbym jak najszybciej ogrzać się przy ogniu i wyciągnąć na miękkim łóżku.

Proszę również zająć się moim koniem. - Zatrzymał się na podeście i spytał: - Gdzie apartament pana domu?

- Ostatni po lewej - odparła Isobel i zaraz się zreflektowała. - Ale... milordzie... proszę zaczekać...

Popędziła za nim po schodach.

- Nie musi pani mnie odprowadzać - powiedział Adam, niedbale machając ręką. - Sam trafię. - Otwierając drzwi, usłyszał ciche, ostrzegawcze warczenie. - Co, do diabła...

Powietrze gwałtownie uciekło mu z płuc, przed oczami ukazały się gwiazdy, kiedy uderzył tyłem głowy w twardą podłogę.

Napastnika zobaczył dopiero wtedy, gdy już leżał na plecach. Na jego piersi stała potężna bestia o zmierzwionej sierści, brakujące ogniwo między psem a kucem szetlandzkim. Słaby blask lampy oświetlał futro, moregowate na łapach, białe na brzuchu. Na szyi lśniła czarna aksamitna obroża oblamowana złotym warkoczem i wysadzana imitacjami drogich kamieni. Gdy Adam uniósł głowę, żeby się rozejrzeć, psisko znowu zawarczało groźnie.

- Wagner! Spokój!

Bestia posłuchała natychmiast, ale niestety w ten sposób, że się położyła. Adam ponownie uderzył głową w podłogę i aż jęknął.

Wielkie łapska nacisnęły jego brzuch, pozbawiając go tchu.

- Wagner, zabiłeś go!

Zwierzę zaskomliło i schyliło łeb, dotykając nosem lewego ucha Adama. Łapy wbiły się głębiej w jego żebra.

- Niezupełnie - wykrztusił McKendrick.

- Żyje pan. To dobrze.

Mrugając, żeby odpędzić gwiazdy sprzed oczu, Adam spojrział w górę i zobaczył swoją wybawicielkę stojącą pośrodku łóżka. Jęknął znowu, tym razem z rozczarowania. Jego wybawicielka okazała się blondynką, piękną i długonogą. Ciało przeświecające przez białą koszulę nocną było smukłe, ale zaokrąglone we właściwych miejscach. Gruby, ciasno spleciony warkocz sięgał poniżej bioder, delikatne, klasyczne rysy twarzy przywodziły na myśl płótna wielkich malarzy. Adam nie widział stóp, zagrzebanych w pościeli, przypuszczał jednak, że są równie kształtne jak cała reszta.

- Co to ma znaczyć, do diabła? Kim pani jest? I co pani robi w moim łóżku?

Oczy dziewczyny się rozszerzyły.

- Wagner to jeden z najpiękniejszych wilczurów alzackich na świecie - oświadczyła nieznajoma tonem, od którego Adamowi ścierpły zęby. - A ja jestem jej wy...

- Naszą córką! - dobiegł od drzwi zdyszany głos. Do pokoju wpadła pani Langstrom. McKendrick przeniósł wzrok z przysadzistej kobiety na Amazonkę stojącą na łóżku. Isobel sięgała mu głową kilka cali poniżej brody, Albert był zaledwie cal wyższy od żony.

- Córką? - W głosie Adama brzmiało niedowierzenie.

- Tak. - Małżonkowie zgodnie pokiwali głowami. -Georgiano, poznaj pana Adama McKendricka z Ameryki, nowego właściciela Larchmont Lodge.

- Miło mi, panie McKendrick. Jak się pan miewa? Wyciągnęła do niego rękę z wdziękiem baletnicy i czekała cierpliwie. Adam przewrócił oczami. Uroda widać miała swoje prawa. Jego siostra Kirstin zareagowałaby dokładnie tak samo. Świat był sceną zaludnioną przez blondynki aspirujące do roli wielkich tragiczek. McKendrick nie wiedział, czy się roześmiać, uścisnąć dłoń dziewczyny czy paść na kolana i złożyć jej hołd. Zdecydował się na oburzenie.

- Jak się miewam? - wybuchnął. - Leżę na podłodze, przygnieciony przez stufuntowe bydło. Jak pani myśli, jak się czuję? Georgiana zmrużyła oczy.

- Nie ma powodu być niegrzecznym, panie McKendrick.

- Naprawdę? - Próbował odpędzić psa, ale bestia nie chciała się ruszyć. - Potrafię wymyślić tuzin powodów, zaczynając od niego. - Łypnął na wilczura.

- Wagner, chodź tutaj! - Dziewczyna poklepała się po udzie.

Pies wstał, opierając łapy o pierś Adama, a następnie go przeskoczył i popędził do pani. McKendrick dźwignął się z podłogi. Wagner zawarczał. Adam odpowiedział mu tym samym. Georgiana cmoknęła z dezaprobatą.

- „Maniery czynią człowieka” - zacytowała. - William z Wykeham.

- „Ona się odzywa, ale nic nie mówi” - odparował Adam. - William Szekspir. Jeśli zakończyliśmy wojnę na cytaty, skorzystam z okazji i przypomnę, że nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

- Jakie pytanie, panie McKendrick?

- Co pani robi w moim łóżku?

- Nie wiedzieliśmy, kiedy się pana spodziewać - wtrąciła pospiesznie Isobel. - Pokoje na strychu wymagają sprzątnięcia, łóżka są tam krótkie i wąskie... - Westchnęła. - Jak pan widzi, Giana jest tak wysoka, że nie mieści się na zwykłym materacu, więc pozwoliliśmy jej spać w apartamencie do pana przyjazdu. Jeśli to panu przeszkadza, bardzo przepraszamy.

- Nie można winić rodziców, że chcą dla mnie tego, co najlepsze - oświadczyła Giana.

- Dlaczego? - Adam pytająco uniósł brew. Dziewczyna uśmiechnęła się anielsko i zatrzepotała rzęsami.

- Inne postępowanie byłoby wbrew ich naturze. Uśmiech i trzepotanie mogły zrobić wrażenie, ale

Adam wychował się w domu pełnym urodzonych aktorek i kobiece sztuczki już na niego nie działały. Zwłaszcza kiedy wyczuł, że nie leżą w charakterze Amazonki. Podobała mu się bardziej, kiedy rzucała wyzwania.

- Czy wzrost to jedyny powód, dla którego znajduje się pani w moim łóżku?

Giana zamrugwała.

- A jaki mógłby być inny?

- Jestem bardzo bogatym człowiekiem.

- To miłe - odparła panna Langstrom uprzejmie. McKendrick gwałtownie nabrał powietrza, zakrztusił się i zaczął kaszleć. Giana patrzyła na niego ze spokojnym wyczekiwaniem na twarzy.

- Jestem młody i bogaty.

- Gratulacje, panie McKendrick, bo Szkocja to surowy kraj. Ma pan szczęście. Te cechy bez wątpienia pomogą panu w przewycięzeniu trudności, które każdy tutaj napotyka.

Adam słuchał jej zafascynowany. Dobrze znała angielski, ale jego najwyraźniej nie zrozumiała. Może dlatego, że był Amerykaninem, a ona... cóż, cudzoziemką. W każdym razie aluzje do niej nie dotarły.

- Powszechnie uważa się mnie za dość atrakcyjnego -dorzucił.

Dziewczyna przekrzywiła głowę i zmierzyła go wzrokiem.

- Nie zgadzam się z tą opinią. -Nie?

- Nie. Ludzie, którzy komentowali pański wygląd, byli, moim zdaniem, zbyt powściągliwi.

Adam uśmiechnął się szeroko.

- Czyżby?

- Tak - odparła Giana rzeczowym tonem. - Dopiero pana poznałam i nie wiem nic o pańskim charakterze, ale powierzchowność wydaje mi się bardzo atrakcyjna.

- Doprawdy? - Adam popatrzył na nią uważnie.

- Tak, panie McKendrick.

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Nie wiedziała, dlaczego ten człowiek wciąż kwestionuje jej odpowiedzi i dlaczego ma trudności

ze zrozumieniem jej angielszczyzny. Choć nie był to jej rodzinny język, posługiwała się nim doskonale dzięki matce, kuzynce królowej Wiktorii.

- Zapewne pani wie, że jestem kawalerem.

- Nie, panie McKendrick, nie znam szczegółów pańskiego prywatnego życia. - Giana znowu ściągnęła brwi. - Dlaczego miałyby mnie interesować?

- Zastanówmy się - powiedział Adam sarkastycznym tonem. - Dlaczego miałyby panią interesować szczegóły mojego prywatnego życia? - Umilkł dla efektu, a potem zaczął odliczać na palcach. - Młody, zdrowy, bogaty i dość... no, dobrze, niech będzie, że bardzo atrakcyjny, niezonaty, a ponadto właściciel domu i łóżka, które pani teraz zajmuje. Musiałbym być całkowicie ślepy, żeby nie zdawać sobie sprawy, że w większości kręgów jestem uważany za niezłą partię.

- W większości kręgów może - zgodziła się Giana. - Ale nie w moim.

McKendrick uniósł brew.

- Naprawdę?

Córka jego nowej ochmistrzyni i kamerdynera właśnie zasugerowała, że dorównuje mu pozycją. Sam ją sprowokował, ale odpowiedź go ubodła. Nie wiedział, czy uznać ją za zabawną, czy obraźliwą.

Tymczasem Isobel wystąpiła do przodu.

- Chodź, Giano, zostawmy pana McKendricka, żeby odpoczął po podróży. Poszukamy ci innego łóżka.

- Chwileczkę. Proszę mi powiedzieć, czy słyszały panie o Szlachetnym Baronie.

Isobel była wyraźnie zaskoczona jego pytaniem.

- Nie rozumiem.

Adam zwrócił się do Giany.

- A pani?

Dziewczyna uniosła podbródek.

- Ten baron nie należy do moich znajomych.

- Więc może pani tu zostać. Na tę jedną noc. Jutro pani i pies znajdziecie sobie inne legowisko. - McKendrick posłał jej zwycięski uśmiech. - Pani może spać w domu, ale bestia zostanie na dworze.

Giana spiorunowała go wzrokiem. Jej nozdrza się rozdeły z gniewu.

- Nie może pan-Adam uśmiechnął się szerzej.

- Przykro mi, ale to ja jestem właścicielem domu. Odwrócił się do niej plecami i ruszył do drzwi. Obecni głośno wciągnęli powietrze.

- O co chodzi?

McKendrick zatrzymał się w progu i obejrzał się przez ramię. Amazonka stała jak słup pośrodku łóżka. Usta miała otwarte. Adam dopiero teraz zauważył, że wstążki na dekolcie jej koszuli nocnej są czarne i rozwiązane.

Giana nie mogła powiedzieć Amerykaninowi, że nie należy odwracać się plecami do członka rodu królewskiego, ale postanowiła zbesztać go za brak wychowania.

- Maniery, panie McKendrick! - zawołała przesadnie słodkim głosem. - Zdaje się, że znowu pan o nich Zapomniał.

- Bynajmniej. - Adam podniósł rękę do czoła i udał, że uchyla kapelusza. - Miło było panią poznać, George.

Scandalous

„Księżniczka z królewskiego rodu zawsze wysłuchuje żalów swoich lojalnych poddanych”.

- Zasada 104 protokołu i etykiety dworskiej rodu Saxe-Wallerstein-Karolya, zatwierdzonych przez jaśnie oświeconego księcia Karola I, 1432.

- George!

Isobel oparła pięści na biodrach i prychnęła z dezaprobatą. Siedzieli w szóstkę przy kuchennym stole i rozmawiali o wydarzeniach tej nocy.

Nowy właściciel Larchmont Lodge został nakarmiony i zaprowadzony do pokoju znajdującego się w przeciwległym skrzydle domu. Zaraz potem Isobel i Albert obudzili Maxa, a ten z kolei kazał im wezwać resztę służby, żeby wspólnie ustalić, co dalej.

Giana zakryła usta dłonią i ziewnęła dyskretnie. Jej zdaniem powinni działać zgodnie z planem. Nie widziała powodu, żeby urządzać nocne spotkania i pozbawiać się kilku godzin snu. Ale Max chciał powiadomić wszystkich o przyjeździe McKendricka i upewnić się, że rozumieją swoje role. Zawsze był ostrożny i skrupulatny. Giana stłumiła kolejne ziewnięcie. Jeśli narada miała go uspokoić, była gotowa pogodzić się z niewyspaniem, choć uważała, że kryzys, jeśli można użyć takiego określenia, już został zażegnany. McKendrick przyjął ich wyjaśnienia, a póki wierzył, że są służbą, nic im nie groziło. A nie miał powodu im nie wierzyć. Isobel i Albert przygotowali mu jedzenie i pokój, Josef zajął się koniem.

Mimo to domownicy byli zaskoczeni i zdenerwowani niespodziewanym przyjazdem właściciela, a ona, jako ich przywódczyni, mogła przynajmniej ich wysłuchać i dodać im otuchy.

- McKendrick nazwał waszą wysokość „George” - obruszyła się Isobel.

- Istotnie.

Po ustach Giany przemknął uśmiech. Matka nazywała ją Fleur, bo dla niej córka była najpiękniejszym kwiatem w całym księstwie. Ojciec nazywał ją mniej elegancko. Dla niego zawsze była „Małpką”. Mówił, że urodziła się pomarszczona, miała chudziutkie rączki i nóżki, zaciśnięte piąstki. Wcale nie wyglądała jak księżniczka, bardziej przypominała małpki z christianbergskiego zoo.

Dziewczyna westchnęła. Od tamtej nocy, kiedy jej ojciec został za... umarł, nazywano ją Dianą albo jej wysokością. Brakowało jej znajomych kroków odbijających się echem w marmurowych korytarzach pałacu W Christianbergu, brzęku ostróg i szabli, kiedy książę spieszył powitać gości albo zająć się ważnymi sprawami. Jej królewska wysokość księżniczka Małpka. Tylko ojciec tak do niej mówił, a ona uwielbiała to pieszczotliwe przezwisko, bo czuła się wyjątkowa. Wszyscy używali jej imion i tytułów należnych następczyni tronu. Aż do tej pory...

- Obraził waszą wysokość - dorzucił Albert.

Giana zmarszczyła brwi. Słowa McKendricka mogły wydawać się obraźliwe Isobel albo Josefowi, ale ona uważała je raczej za wyzwanie niż zniewagę. Oprócz rodziców tylko Max ośmielał się

czasami kwestionować jej decyzje, pomysły czy opinie. Nikt się z nią nie drażnił, nie karcił jej za królewską wyniosłość ani nie przypominał, że to ona powinna służyć innym, a nie oczekiwać posług.

-Kiedy?

- Odwrócił się plecami do waszej wysokości - przypomniał Albert.

- Ach, o to chodzi. - Giana uznała zachowanie McKendricka za nieświadome. Amerykanin nie wiedział, że znajduje się w obecności członka rodziny królewskiej i że odwrócenie się do niego plecami jest największą zniewagą, więc widok całej trójki stojącej w osłupieniu, z otwartymi ustami, musiał wydać mu się bardzo dziwny. Giana uśmiechnęła się teraz na to wspomnienie. - Wątpię, czy pan McKendrick zna zasady protokołu i etykiety dworskiej.

- Odwrócenie się plecami nie było jedyną zniewagą -dodała Isobel. - Amerykanin gapił się na waszą wysokość w bardzo niegrzeczny sposób.

- Naprawdę?

Ochmistrzyni pokiwała głową.

- Gapił się jak na wystawę sklepu. Jak to możliwe że nic nie zauważyłaś, księżniczko?

Giana uśmiechnęła się tajemniczo.

- Zastanówmy się - powiedziała, naśladowując akcent Amerykanina. - Może dlatego, że większość ludzi, z którymi się stykam, patrzy na mnie jak na dziwowisko od dnia moich narodzin?

Zawsze byłam niczym towar na wystawie. Przez lata uodporniałam się na natarczywe spojrzenia. - Poklepała Isobel po ręce.

- Masz tylko nas, moje dziecko. - Ochmistrzyńni rozejrzała się wokół stołu, przy którym zebrali się słudzy lojalni wobec ukochanej księżniczki i jej nieżyjących rodziców. - Max musi porozmawiać z McKendrickiem o jego nieokrzesanym zachowaniu.

- Nie - rzekła Giana. - Chciałabyś, żeby Max lub Albert rozmawiali z moim ojcem o jego zachowaniu wobec kobiecego personelu?

- Oczywiście, że nie. Ale księżę Christian był suwerennym władcą Karolyi.

- Adam McKendrick jest suwerennym władcą Larchmont Lodge. Nie mamy dokąd pójść. Nie możemy ryzykować zdemaskowania.

Isobel niechętnie przyznała jej rację.

- To prawda, wasza wysokość, ale nie powinnaś mu pozwolić na taką poufałość.

- Nie mogłam nic zrobić. Sama mu powiedziałaś, że mam na imię Georgiana i że jestem twoją córką. - Złagodziła ton głosu. - On jest Amerykaninem, nieprzyzwyczajonym do monarchii. - Wzruszyła ramionami, choć jej matka uważała ten gest za wysoce niestosowny u księżniczki. - Póki sądzi, że jestem jego służącą, nie można oczekiwać, że będzie się zwracał do mnie we właściwy sposób, ani mieć mu za złe, że nie wie o moim królewskim pochodzeniu.

- To prawda - przyznała Isobel. - Ale na pewno możemy mieć mu za złe zbyt dużą poufałość.

- Już skarciłam go za brak manier - przypomniała Giana.
- Rozumiem, wasza wysokość. To Amerykanin nie znający naszych zwyczajów. - Ochmistrzyni powiodła wzrokiem po obecnych.
- Ale dla nas, karolyańskich obywateli, najważniejszym obowiązkiem jest chronić naszą księżniczkę i służyć przede wszystkim jej. Dlatego od tej pory będziemy baczyć na każdy ruch pana McKendricka.

Scandalous

„Mężczyźni i kobiety zatrudnieni przez Szlachetnego Barona wychwalają go pod niebiosami”.

- „Pierwsza część prawdziwych przygód Szlachetnego Barona, dobroczyńcy pięknych, zdradzonych blondynek”, spisanych przez Johna J. Bookmana, 1874.

- Dzień dobry, sir.

Adam odruchowo chwycił kołdrę i podciągnął ją pod brodę. Dobry Boże! Ochmistrzyni była gorsza od jego matki: wpadała do pokoju bez pukania i budziła go bezceremonialnie. Przytrzymując pościel jedną ręką, drugą wygładził sterczące włosy.

Isobel pohamowała uśmiech.

- Przyniosłam panu śniadanie. I ubranie.

Postawiła tacę na jego kolanach i wskazała na starannie wyprasowany strój wiszący na otwartych drzwiach mahoniowej szafy,

Adam zmarszczył brwi.

- Jest pani ostatnią osobą, którą spodziewałbym się ujrzeć tego ranka. Gdzie pani mąż? Dlaczego to nie on przyniósł mi ubranie?

- Albert omawia z Maxem przemeblowanie kwater dla służby i zatrudnienie dodatkowych ludzi z wioski.

- Kto to jest Max?

- Prywatny sekretarz jej... - Isobel ugryzła się w język. - Pański prywatny sekretarz.

McKendrick potrząsnął głową.

- Nie mam prywatnego sekretarza.

- Oczywiście, że pan ma, sir. Wszyscy właściciele domów myśliwskich mają prywatnych sekretarzy, którzy zajmują się ich korespondencją.

-Ja sam się nią zajmuję - oświadczył Adam. - To zapewnia mi większą prywatność niż zatrudnianie sekretarza. Jego odpowiedź zaskoczyła ochmistrzynię.

- A co z pańskimi gośćmi? Adam wzruszył ramionami.

- Jeśli chcą korespondować, muszą sami pisać swoje listy - odparł. - Ja nie będę tego robił za nich.

- Oczywiście, że nie, sir. To byłoby naruszenie protokołu, zwłaszcza że prowadzenie korespondencji należy do obowiązków Maxa.

- Max nie ma wobec mnie żadnych obowiązków -rzekł McKendrick. - Nie mam osobistego sekretarza.

Isobel wskazała na porcelanowy dzbanek stojący na tacy.

- Jaką herbatę pan pije, sir?

- Nie pijam herbaty. Ochmistrzyni zmarszczyła brwi.

-Mogę przynieść panu trochę gorącej czekolady, którą przygotowałam dla Giany.

- Giany - powtórzył Adam, rozkoszując się brzmieniem tego imienia.

- Nasza córka - przypomniała Isobel. - Poznał ją pan w nocy.

George. Jakby mógł zapomnieć? Uśmiechnął się na wspomnienie młodej kobiety stojącej pośrodku łóżka. Nazywał ją w myślach Amazonką, bo była wysoka i piękna.

- Sądziłem, że ma na imię...

- Georgiana.

- George.

Pani Langstrom zmrużyła oczy i ściągnęła brwi.

- Nazywamy ją Giana. Adam uniósł brew.

- I codziennie rano szykuje pani dla niej gorącą czekoladę?

- Oczywiście, sir. Gorącą i pianistą, taką, jaką lubi. McKendrick prychnął.

- I znosi ją pani córce do łóżka. Kobieta skinęła głową.

- Tak jak panu.

- Mała księżniczka, co? Isobel zamarła.

- Sir? - Jej głos zabrzmiał piskliwie.

- Uważałem, że matka psuje moje siostry, ale pani... - Adam pokręcił głową. - Traktuje córkę jak królową.

Ochmistrzyni zrobiła zdziwioną minę.

- To obowiązek matki, czyż nie?

- Ale pani córka... - Adam umilkł na chwilę. - Georgiana dostaje apartament pana domu, największe łóżko i codziennie rano czekoladę taką, jaką lubi, gorącą i z pianką.

- Zgadza się, sir. Przynieść panu filiżankę? McKendrick potrząsnął głową.

- Wolę kawę.

- Przykro mi, sir, ale nie zaparzyłam kawy, tylko herbatę.

- W takim razie napiję się herbaty - powiedział Adam, krzywiąc się lekko.

- Dobrze, sir.

- Bez mleka i cukru.

Isobel napełniła filiżankę parującym płynem i podała ją Amerykaninowi.

Adam spróbował łyk mocnego naparu. To nie była kawa, ale wypił gorący napój, żeby nie szczerkać zębami z zimna.

- Dziękuję.

- Proszę.

- Czy to pani zawsze przynosi ubranie?

- Nie, sir. Zrobiłam dziś wyjątek, bo Albert jest zajęty. Ale skoro przyjechał pański człowiek, zapewne on przejmie ten obowiązek.

Ochmistrzyni znowu go zaskoczyła.

- Mój człowiek?

- Pański lokaj, sir.

- Nie mam lokaja.

- Oczywiście, że pan ma. Wszyscy dżentelmeni mają lokajów, którzy zajmują się ich garderobą. Choć nigdy wcześniej nie spotkałam w tej roli Irlandczyka. - Isobel z dezaprobatą zacisnęła wargi, a po chwili dorzuciła: - O'Brien, zdaje się. Tak powiedział. Murphy O'Brien. Przyjechał wcześniej rano powozem z pańskimi bagażami.

Adam się roześmiał.

- O'Brien nie jest moim lokajem, tylko przyjacielem - wyjaśnił.

Dolał sobie herbaty i sięgnął po talerz z bekonem i jajecznicą.

Isobel prychnęła.

- Chyba pan ze mnie żartuje.
- Dlaczego tak pani mówi?
- Bo jedyni mężczyźni zajmujący się bagażem, jakich, znam, to lokaje.

McKendrick parsknął śmiechem.

- O'Brien ma powody, żeby troszczyć się o bagaż, bo połowa należy do niego, a przed podróżą wydał na nie fortunę.

- Więc jest dżentelmenem tak jak pan.

- Nie wiem, czy którykolwiek z nas zasługuje na miano dżentelmena - powiedział Adam. - Ale Murphy na pewno jest moim przyjacielem. Najbliższym.

W jego głosie brzmiało ostrzeżenie. Isobel je zrozumiała.

- Dobrze, sir. Przygotuję pokój dla pana O'Briena.

- Dziękuję.

- Służba będzie czekała na pana w bibliotece, kiedy zje pan śniadanie i dokona porannych ablucji.

Adam uniósł brew.

- Oczekują, że zostaną panu przedstawieni, sir.

- W takim razie niech wszyscy zbiorą się w bibliotece za pół godziny - polecił McKendrick. - I proszę przysłać do mnie pana O'Briena.

- Dobrze, sir.

Adam odczekał, aż umilkną kroki gospodyni, a wtedy zdjął tacę z kolan i postawił ją na stoliku obok łóżka. Odrzucił kołdrę i wstał z

łóżka. Ściągnął z niego kapę i owinał się nią w pasie. Przytrzymując ją jedną ręką, poszedł na bosaka za parawan stojący w rogu sypialni.

Potem zajrzał do otwartej szuflady komody. Leżała w niej jego sucha i starannie złożona koszula oraz bielizna. Obok szafy stały buty, skórzana torba wisiała na mosiężnym haku na jej drzwiach. W duchu podziękował dzielnej osobie, która odważyła się wyjść na lodowaty deszcz, żeby zadbać o jego konia i rzeczy.

Adam zdjął spodnie z wieszaka i ubrał się szybko, nadal drżąc z zimna. Następnie wziął buty i skacząc to na jednej nodze, to na drugiej, zaniósł je do kominka i postawił przy ogniu, żeby się ogrzały. Pogrzebał w żarze i podsycił płomień, po czym ruszył do umywalki. Chryste! Zimno jak w psiarni! Nic dziwnego, że Bascombe sprzedał dom. Reszta świata cieszyła się umiarkowanie ciepłym latem, ale w Larchmont Lodge człowiek mógł zamarznąć na śmierć, jeśli nie przebywał blisko ognia. Niestety Adam już się przekonał, że kominek bardziej dymi, niż grzeje.

Zaciskając zęby, rozkruszył cienką warstewkę lodu w porcelanowym dzbanku stojącym na umywalce. Nalał przeraźliwie zimnej wody do miski, wyjął z torby pędzel i mydło do golenia. Zmusił się do uśmiechu. Sądził, że tego rodzaju niewygody ma już za sobą. Kiedy dorobił się na kopaniu srebra, przysiągł sobie, że do końca życia codziennie rano będzie się mył ciepłą wodą. Nie przewidział jednak, że wygra dom myśliwski położony w górach Szkocji. Opłukał twarz i skrzywił się do swojego odbicia w lustrze.

Na co służba, skoro nikt nie pomyślał o tym, żeby przynieść mu wrzątku? Chyba że był to obowiązek lokaja...

- Gdzie jesteś, McKendrick?

Adam usłyszał wesoły głos O'Briena dobiegający z korytarza. Zanurzył pędzel w wodzie i potarł nim mydło do golenia.

-Stój!

Adam znieruchomiał.

- Twoja przystojna twarz będzie wyglądać jak surowe mięso, jeśli ogolisz się tym lodem. - Murphy wskazał skinieniem głowy na miskę. - Jakaś mała, okrągła kobieta powiedziała mi na dole, że mam wypełnić swój obowiązek i przynieść ci to. - O'Brien podał przyjacielowi czajnik z rączką owiniętą ścierką. - Ostrożnie, jest wrząca.

- Dzięki Bogu - mruknął Adam. Nalał gorącej wody do miski, sprawdził temperaturę, dolał jeszcze trochę. -Naprawdę byłem gotów sprzedać duszę za wrzątek.

Murphy uśmiechnął się szeroko.

- Odwdzięczysz mi się później.

McKendrick też posłał mu uśmiech. Wiedział, że Murphy nie omieszka zażądać zapłaty. Spojrzał w lustro i zaczął się golić.

- I co o tym sądzisz? - spytał O'Brien. - Nie wiem, jaka jest wartość Larchmont Lodge, ale widzi mi się, że masz tu niezłą chatę. - Zagwizdał z podziwem i wziął z tacy rogalik. Posmarował go masłem i marmoladą, pochłonął w trzech kęsach, a następnie wyciągnął się na

łóżku. Wsadził ręce pod głowę i zaczął obserwować przyjaciela. -
Obejrzałeś już wszystko?

- Przyjechałem w czasie burzy. Widziałem huraganową wicherę,
lodowaty deszcz, frontową ścianę domu i zarys stajni.

- Nie wiem, jak przekazać ci tę wieść, ale nie wygrałeś domu
myśliwskiego, tylko posiadłość zajmującą połowę tego cholernego
kraju. - Murphy podrapał się po czole. - Chciałbym być takim
szczęściarzem.

- A nie jesteś? Myślałem, że Irlandczycy słyną z tego, że mają
szczęście.

O'Brien się zaśmiał.

- Reguła nie dotyczy zwykłych Irlandczyków, tylko bogatych
właścicieli ziemskich.

Adam skończył się golić, wytarł twarz ręcznikiem i wskazał na
ubranie wiszące w szafie.

- Możesz podać mi kamizelkę?

O'Brien wstał z łóżka, zdjął kamizelkę z wieszaka i cisnął ją
przyjacielowi.

- Dzięki.

- Do usług waszej lordowskiej mości - odparł Murphy,
przesadnie naśladowując brytyjski akcent.

- Nie jestem lordowską mością.

- W takim razie, panie McKendrick, może osiodłamy konie i
spędzimy ranek na oglądaniu posiadłości?

- Nie mogę.

-Jesteś zbyt obolały na jazdę? - domyślił się Murphy. Adam potrząsnął głową.

- Muszę poznać służbę - wyjaśnił, niemal dokładnie imitując angielski przyjaciela.

- Poznać służbę? - O'Brien parsknął śmiechem.

- W takim domu musi być personel - oświadczył Adam. - Poinformowano mnie, że wszyscy już na mnie czekają.

- Cóż, zatem prowadź. Za nic w świecie nie przegapiłbym takiej okazji.

- Oczywiście, że nie, bo zostałeś jednym z nich.

- Co?! - Murphy spoważniał w jednej chwili.

- Okrągła, mała kobietka, która cię tutaj przysłała z gorącą wodą, to ochmistrzyni - wyjaśnił Adam. - Ona sądzi, że jesteś moim garderobianym.

-Kim?

- Lokajem.

O'Brien łypnął na przyjaciela podejrzliwie.

- A skąd jej to przyszło do głowy? Adam uniósł ręce.

- Nie patrz na mnie. To ty podsunąłeś jej tę myśl.

- Niemożliwe! - obruszył się Murphy.

- Zacytuje: „Jedyni mężczyźni zajmujący się bagażem, jakich znam, to lokaje”.

- Do diaska! - zaklął O'Brien. - Ten bagaż kosztował mnie majątek!

- Próbowałem wyjaśnić nieporozumienie, powiedziałem, że jesteś moim przyjacielem i towarzyszem podróży, ale najwyraźniej mi nie uwierzyła. - Adam cmoknął językiem. - Naprawdę zdumiewające. Myślałem, że wystarczy jedno spojrzenie na ciebie i wszystko będzie jasne.

- Dlaczego? Co jest złego w moim wyglądzie?

- Nic. Z wyjątkiem ubrania, włosów i manier.

Strój O'Briena był zgodny z najnowszą modą, uszyty z doskonałego materiału, a on sam zbyt duży, muskularny i przystojny jak na lokaja.

- Co z nimi?

- Nie ma mowy, żeby ktoś dał się oszukać.

„Księżniczka z królewskiego rodu ma obowiązek uczestniczyć we wszystkich dworskich uroczystościach”.

- Zasada 8 protokołu i etykiety dworskiej rodu Saxe-Wallerstein-Karolya, zatwierdzonych przez jaśnie oświeconego księcia Karola I, 1432.

„I we wszystkich nudnych audiencjach”.

- Uzupełnienie zasady 8. Jej wysokość księżna May, 1850.

Nie tylko personel Larchmont Lodge miał być poddany inspekcji. Idąc długim korytarzem, Adam czuł, że jeżą mu się włoski na karku. Ze ścian, obwieszonych dużymi portretami dawno nieżyjących przodków poprzednich właścicieli domu, zdawały się go śledzić dziesiątki par oczu.

Wrażenie nasiliło się, kiedy wszedł do przestronnej biblioteki, urządzonej mahoniowymi i skórzanymi meblami. Rozejrzawszy się, naliczył osiem... nie, dziewięć par oczu, które rzeczywiście się w niego wpatrywały.

Albert Langstrom wystąpił do przodu, złożył ukłon McKendrickowi, po czym zwrócił się do starszego mężczyzny o kruczoczarnych włosach przetykanych siwizną i prostej sylwetce. Szkocki sługa mówił w języku, którego Adam nie zrozumiał. Dziwne. Po chwili kamerdyner umilkł, cofnął się i stanął w szeregu u boku żony. Starszy mężczyzna zwrócił się do McKendricka.

- Nazywam się Maximillian... eee... Langstrom. Jestem prywatnym sekretarzem waszej lordowskiej mości. Może pan mówić

do mnie Max. Mój brat... Albert przeprasza, że nie wypełni należycie obowiązku prezentacji, ale jego znajomość angielskiego jest ograniczona. Prosi, żeby pan mi pozwolił go zastąpić. - Max mówił z twardym akcentem, ale Adam nie miał trudności ze zrozumieniem jego słów. - Czy mogę przedstawić panu resztę personelu Larchmont Lodge?

Wszyscy stali w szeregu na środku pokoju, najwyraźniej według stanowiska i rangi.

- Nie jest pan Szkotem? Sekretarz potrząsnął głową.

- Isobel i jej brat Gordon są Szkotami. Reszta z nas pochodzi z kontynentu. Ostatnio pracowaliśmy u nieżyjącej już hrabiny Brocavii,

- Jest was tylko ośmioro? - W głosie Adama słychać było zdziwienie.

- Obecnie tak, milordzie... McKendrick uniósł rękę.

- Wiem, że jesteście przyzwyczajeni zwracać się do lorda Bascombe „milordzie”, ale ja jestem Amerykaninem, a nie angielskim lordem.

- Ale, milordzie...

- McKendrick. Adam McKendrick.

Max spojrzał na wyciągniętą rękę swego chlebodawcy, po chwili wahania krótko ją uścisnął, po czym szybko cofnął się o krok, wyraźnie zmieszany.

- Jezu! - mruknął Adam pod nosem. - Można by pomyśleć, że jestem zarażony. Czy oni nie słyszeli, że wszyscy ludzie są równi?

- Spokojnie - szepnął O'Brien, kładąc mu dłoń na ramieniu. -
Jesteś teraz w starym świecie.

-Wiem.

- Tylko w Ameryce wszyscy ludzie są równi. Tutaj jest inaczej.
Zachowuj się jak cholerny lord, to będą cię szanować. Zachowuj się
jak Amerykanin, zaczną patrzeć na ciebie z góry.

Adam przeniósł wzrok na Maximilliana Langstroma.

- „Sir”, nie „milordzie” - powiedział zdecydowanym tonem. -
Wolę, by zwracano się do mnie „sir”.

- Tak, sir.

Wszyscy mężczyźni ukłonili się, kobiety dygnęły... z jednym
wyjątkiem.

George stała prosto, z głową uniesioną po królewsku, co było
niezwykłą postawą u tak wysokiej dziewczyny. Siostry Adama miały
tendencję do garbienia się, żeby nie górować nad chłopcami, których
znały ze szkoły i kościoła. Ich nawyk przysparzał matce zmartwienia.
McKendrick pamiętała, że nakazywała córkom patrzeć sympatiom
prosto w oczy, zmuszała je do chodzenia po domu z książkami na
głowach. Niestety z patrzeniem mężczyznom w oczy miały kłopot, bo
podobnie jak George większość z nich przerastały.

Z tym że pannie Langstrom stanie z prostymi plecami nie
sprawiało najmniejszej trudności. Nawet kiedy powinna okazać więcej
pokory. Adam przygryzł policzek, żeby się nie uśmiechnąć, kiedy
młodsza i niższa dziewczyna trąciła ją łokciem w żebra, ukradkiem
dając znak, żeby dygnęła.

Sekretarz odchrząknął i pospieszył zatuszować gafę.

- Gzy mógłby pan przedstawić nam swojego lokaja i powiedzieć mu, żeby do nas dołączył?

Chyba nie sądził, że O'Brien naprawdę jest lokajem. A może tak? Adam zmierzył Maximilliana wzrokiem i stwierdził, że ten mówi całkiem poważnie. Najwyraźniej Isobel nie uwierzyła w jego zapewnienia, bo nie wyprowadziła z błędu męża i szwagra.

- O'Brien jest moim przyjacielem, a nie...

- Będę zaszczycony, sir - przerwał mu gładko Murphy i ustawił się obok reszty służby, po czym rzekł do sekretarza: - Nazywam się Murphy O'Brien i jestem dumny, że mogę służyć panu McKendrickowi jako lokaj.

Adam uniósł brew, ale nic się nie odezwał.

Parę cali niższy od niego Irlandczyk przewyższał co najmniej o głowę pozostałe osoby, z wyjątkiem George, która stała na końcu szeregu. Przy jej nodze siedział wilczur. O'Brien zajął miejsce po jego drugiej stronie, ostrożnie poklepał bestię po łbie i mrugnął do dziewczyny, która wyglądała zza George, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

Adam spiorunował go wzrokiem i dał znak sekretarzowi, żeby kontynuował ceremonię. Maximillian krótko skinął głową O'Brienowi; należało przestrzegać hierarchii i protokołu. Następnie uklonił się po raz kolejny, odchrząknął i wskazał na brata.

- Sir, przedstawiam panu Alberta Langstroma, kamerdynera Larchmont Lodge, ostatnio w służbie nieżyjącej hrabiny Brocavii.

- Albercie - powiedział McKendrick.

- Sir - odparł sługa z ukłonem.

Max ruszył do następnej Osoby w szeregu.

- Sir, przedstawiam panu Isobel Langstrom, ochmistrzynię Larchmont Lodge, ostatnio w służbie nieżyjącej hrabiny Brocavii.

- Pani Langstrom.

- Sir. - Gospodyni dygnęła.

W ten sam sposób sekretarz dokonał prezentacji brata Isobel i zarazem dozorca Gordona Rossa. Jego oficjalny tytuł brzmiał „łowczy”, ale Ross opiekował się również posiadłością w czasie nieobecności poprzedniego właściciela, lorda Bascombe. To do niego Adam wysłał telegram z prośbą o przygotowanie domu. Nie zdziwiło go więc, że mając tak mało czasu, łowczy zwrócił się o pomoc do rodziny. Zaskoczyło go natomiast, że doświadczony personel o takich kwalifikacjach i referencjach okazał się akurat wolny.

Niestety dawnych służących hrabiny Brocavii była tylko garstka. Ziemią i stajniami zajmowali się dwaj ludzie: Gordon Ross i koniuszy Josef Langstrom, syn Maxa.

Adam zwrócił się do Rossa.

- Chciałbym obejrzeć majątek najszybciej, jak to możliwe. Jeśli stwierdzę, że Larchmont jest odpowiednie dla moich celów, będzie pan musiał zatrudnić więcej ludzi. -Zerknął na Josefa. - Nie dacie sobie rady we dwóch.

- Oczywiście, sir.

Adam skinął głową i zbliżył się do ostatnich służących: Brenny i Georgiany Langstrom, córek Alberta i Isobel, które pracowały jako pokojówki.

Młodsza Brenna zupełnie nie przypominała siostry: niska, drobnokoścista, o brązowych włosach i oczach. Wyglądała na nieśmiałą i przywiązaną bardziej do matki niż do ojca.

McKendrick wiedział, że siostry nie muszą być podobne, ale ponieważ dorastał z dwiema parami identycznych bliźniaczek, taka możliwość wydawała mu się dziwna. Oboje, Adam i George, wyróżniali się w swoich rodzinach, co stwarzało między nimi nieoczekiwaną więź.

W dodatku więź obejmującą również Wagnera, który nie należał do żadnej znanej McKendrickowi rasy. Adam zerknął na zwierzę siedzące spokojnie obok swojej pani. Piękna i bestia.

- A co z psem? - zapytał sekretarza, ale patrzył na George.

Dziewczyna otworzyła usta, ale Max ją uprzedził:

- To wilczur alzacki. Hrabina Brocavii była wielką miłośniczką psów. Jednego podarowała mojej bratanicy, kiedy został osierocony w szczenięctwie. Giana go wychowała i jak pan widzi, pies jest do niej przywiązany tak samo jak ona do niego.

- Nie licząc bestii, czuję wdzięczność dla hrabiny Brocavii - skomentował Adam.

- To nie jest bestia, tylko pies. Ma na imię Wagner. -George zignorowała ostrzegawcze spojrzenie stryja. -I wszędzie mi towarzyszy.

- Ufam, że nie będzie pan miał obiekcji - wtrącił Max tonem twierdzącym, a nie pytającym.

McKendrick skupił całą uwagę na dziewczynie.

- To zależy.

- Od czego? - spytała.

- Od tego, czy zamierzacie dzisiaj znowu okupować moje łóżko.

Scandalous

„Księżniczka królewskiego rodu nie pozwala na pospolite flirty, nie zachęca do nich, nie angażuje się w żadne”.

- Zasada 71 protokołu i etykiety dworskiej rodu Saxe-Wallerstein-Karolya, zatwierdzonych przez jaśnie oświeconego księcia Karola I, 1432.

Adam zlekceważył głośne chóralne westchnienie, które rozbrzmiało w ogromnej bibliotece. Wpił wzrok w George.

- Chyba bardzo się tam pani podobało.

- Nam obojgu się podobało. - Giana zanurzyła palce w futrze Wagnera, uniosła brodę jeszcze cal wyżej niż zwykle i spojrzała McKendrickowi w oczy.

- Sir - przypomniał jej Adam. Giana zmarszczyła brwi.

- Bardzo się nam podobało, sir. - McKendrick położył nacisk na ostatnim słowie.

- Sir - rzuciła dziewczyna przez zaciśnięte zęby. Adam uśmiechnął się szeroko.

- Nie było to takie trudne, prawda? Giana spiorunowała go wzrokiem.

- Nie rozumiem.

- Jest pani bystrą dziewczyną. Domyśli się pani. Napięcie między nimi było niczym cisza przed burzą. Wyczuli je wszyscy obecni w pokoju.

Adam wiedział, że to pożądanie. Końcówki jego nerwów iskrzyły się, ciało reagowało na bliskość George w sposób, który

niszczył spokój ducha. Zdawał sobie sprawę z tego, że igra z ogniem i może się sparzyć. Nigdy nie pozwalał sobie na takie prowokujące i niedzentełmeńskie zachowanie w stosunku do żadnej ze swoich pracownic. Ale też nigdy żadna go nie pociągała. Jedyne wyjście, jakie przychodziło mu do głowy, to wyjawić rodzinie George swoje niechciane uczucia i mieć nadzieję, że krewni uchronią ją przed niebezpieczeństwem.

Był dostatecznie uczciwy wobec siebie, by przyznać, że nie ma pełnej władzy nad swoimi emocjami.

Nie pojmował, jak Langstromowie mogą stać obok i pozwalać mu na flirtowanie z George. Rzucało się w oczy, że choć dziewczyna potrafi się obronić, jest niewinna i nie rozumie podtekstów kryjących się za jego słowami. Nic nie tłumaczyło zachowania jej rodziców. Albert i Isobel na pewno dostrzegali, co się dzieje. Dlaczego więc ani ojciec, ani kuzyn, ani stryj nie położyli kresu tej sytuacji? Dlaczego nie bronili George, nie zdzielili go pięścią w nos? Dlaczego jej nie pilnowali?

Giana drżała. Póki nie poznała Adama McKendricka, nikt oprócz matki i ojca nie mówił do niej tonem pozbawionym unizoności. Podobała się jej ta odmiana. Podobało się pulsowanie krwi i napięcie nerwów, gdy on był w pobliżu. Przygryzła wargę, żeby nie roześmiać się na głos z czystej radości, że wciągnęła go w pojedynek na słowa. Lubiała sposób, w jaki z nią rozmawiał, sprawiało jej przyjemność, że traktuje ją jak godną przeciwniczkę. I cieszyła ją świadomość, że może rzucić mu wyzwanie bez strachu przed naganą.

Dobrze pamiętała dowcipne, kokieteryjne przekomarzania się rodziców, które niemal zawsze prowadziły do namiętnych uścisków i zamykania się w sypialni. Tak przypadła jej do gustu wymiana zdań z McKendrickiem, że postanowiła sprowokować go do następnej-
Zerknęła na niego spod rzęs.

- A pozwoli nam pan znowu okupować pańskie łóżko? - spytała.

- Pani obecność w moim łóżku jest mile widziana - odparł Adam

- Ale wolałbym, żeby pies spał gdzie indziej.

W tym momencie rozległo się kolejne grupowe westchnienie. Adam przygotował się na wybuch gniewu ojca, stryja albo kuzyna, ale nic się nie wydarzyło. Langstromowie nie stanęli w obronie czci George.

Z drugiej strony, panna Georgiana Langstorm doskonale potrafiła sama bronić swojego honoru.

- To niemożliwe - oświadczyła. - Wagner śpi tam gdzie ja.

Adam wzruszył ramionami.

- Chyba, mogę zrobić dla pani wyjątek.

- Nie ma potrzeby, żeby pan się tak poświęcał, sir. -Giana zaszczycała go wielkodusznym uśmiechem. -Wagner i ja już znaleźliśmy sobie inne łóżko.

McKendrick pokręcił głową i cmoknął z udawanym rozczarowaniem.

- Nie powiem, żebym tęsknił za Wagnerem, ale pa ni będzie mi brakowało.

- Współczuję, bo taka okazja już nigdy się nie powtórzy, sir - odparła Giana, patrząc mu w oczy.

- Już raz była pani w moim łóżku - przypomniał Adam, ciesząc się słownym pojedynkiem bardziej, niż był gotów się przyznać. Posłał dziewczynie szeroki uśmiech. - „Nigdy” to bardzo długo. Przyszłość może panią zaskoczyć.

Giana zerknęła na Maxa, po czym wróciła spojrzeniem do McKendricka i potrząsnęła głową.

- Moja przyszłość została przesądzona w dniu, w którym się urodziłam.

Cień smutku w jej oczach zaskoczył Adama.

- Fortuna kołem się toczy, George - powiedział. - Do każdego od czasu do czasu uśmiecha się szczęście. - Wzruszył ramionami. - Nawet do pokojówek

Gianę poruszyła jego arogancja.

- To możliwe, ale mało prawdopodobne, sir. Choć Adam próbował zamaskować współczucie, zrozumiał, że dziewczyna dostrzegła je w jego oczach. Zdradził go wyraz twarzy.

Kiedy opuściła wzrok na podłogę i dygnęła grzecznie, cicho zazgrzytał zębami. Jej unizoność była trudniejsza do przełknięcia niż impertynencje. George była wysoką, niebieskooką blondynką i bardzo przypominała mu siostry. Smutek w jej oczach i lekkie, prawie niezauważalne drżenie głosu nie powinny robić na nim wrażenia. Ale zrobiły. Jej nieoczekiwana uległość przyprawiła go o wyrzuty sumienia.

Zwrócił się do personelu.

- Wszyscy oprócz Josefa i mojego lokaja, pana O'Briena, mogą wrócić do swoich obowiązków.

Nikt się nie ruszył.

Adam bez słowa wskazał na drzwi biblioteki, ale służący nawet nie drgnęli. Wtedy McKendrick powiedział do Maxa Langstroma:

- Dziękuję za przedstawienie mi swojej rodziny. I panu, panie Ross, za jej zatrudnienie. A teraz chciałbym zwolnić wszystkich oprócz Josefa i mojego lokaja.

- Ma pan dla nas jakieś polecenia? - zapytał Max.

- Brenna i Giana zajmą się codzienną pracą, a pan pomoże Albertowi i Isobel poszukać nowego kucharza, personelu kuchennego i jeszcze kilku służących do pomocy w domu. Pan Ross zajmie się rekrutacją stajennych i ogrodników, a Josef osiodła konie dla mnie i pana O'Briena. Chcemy objechać okolice.

- Nie może pan, sir! - zaprotestował sekretarz. Isobel powiedziała coś w języku, którego Adam nie rozumiał, a Albert zaczął energicznie kręcić głową.

- Nie mogę przejechać się po własnej posiadłości?

- Nie może pan jeździć konno z lokajem - wyjaśnij Max.

- Dlaczego?

- Dżentelmeni nie urządzą sobie przejażdżek z lokajami. - Sekretarz zmierzył O'Briena wzrokiem. A lokaje nie towarzyszą pracodawcom, chyba że muszą zająć się garderobą albo bagażem.

Murphy uniósł brew. Znał sporo zwyczajów arystokracji, ale nie spodziewał się, że zostanie wzięty za lokaja i przywołany do porządku przez prywatnego sekretarza McKendricka. Wymienił z przyjacielem rozbawione spojrzenia. Oto życie agenta Pinkertona.

- Naprawdę?

Max pokiwał głową.

- Tego po prostu się nie robi.

- W Szkocji dżentelmeni nie jeżdżą na wycieczki ze służącymi, ale z przyjaciółmi tak - stwierdził Adam. - Murphy O'Brien jest przede wszystkim moim przyjacielem, a dopiero potem lokajem.

- Przyjacielem, sir? - W głosie Maxa brzmiała konsternacja. - Nigdy nie spotkałem dżentelmena, który miałby lokaja albo innego sługę za przyjaciela.

- Teraz pan poznał - skwitował Adam. - Powiedz mi, Max, czy byłeś kiedyś w Ameryce?

- Nie, sir.

McKendrick się uśmiechnął.

- Cóż, w Ameryce dżentelmeni wybierają się na przejażdżki, z kim chcą, niezależnie od pozycji tych osób. Dlatego rozejrzę się po posiadłości razem z moim przyjacielem Murphym O'Brienem. - Posłał sekretarzowi twarde spojrzenie, które wykluczało dalsze protesty, i zwrócił się do koniuszego. - Rozumiesz angielski?

Mężczyzna nie odpowiedział.

- A francuski? - Adam powtórzył pytanie w tym języku.

Josef się uśmiechnął.

- Oui.

- Bon. Osiodłaj nasze konie, bo zaraz wyruszamy. Przez chwilę czekał, aż koniuszy opuści pokój, ale

kiedy ten nie ruszył się z miejsca, ponaglił go, mówiąc:

- Au revoir. Pan O'Brien i ja wkrótce przyjdziemy do stajni.

Josef z wahaniem cofnął się ku drzwiom, a dostrzegłszy skinienie głową Maxa i George, wyszedł z biblioteki.

Adam spojrzał na swojego sekretarza i Amazonkę. - Dziękuję za pomoc, Max. Pani również, panno Langstrom. Wezwę was w razie potrzeby. Au revoir. Gestem dłoni odprawił służbę.

„Szlachetny Baron zawsze zachowuje się po dżentelmeńsku. Wszystkie kobiety traktuje jak damy”.

- *„Druga część prawdziwych przygód Szlachetnego Barona, dobroczyńcy pięknych, zdradzonych " blondynek", spisanych przez Johna J. Bookmana, 1874.*

- To było pouczające - skomentował Murphy, kiedy ruszyli z dziedzińca stajni.

Adam łypnął na niego z ukosa.

- Naprawdę? O'Brien się zaśmiał.

- Zawsze wiedziałem, że Anglicy, zarówno z wyżyn, jak i z dołów społecznych, uważają Irlandczyków za godnych pogardy. - Mrugnął do przyjaciela. - Nie przypuszczałem jednak, że Europejczycy z kontynentu żywią podobne uprzedzenia.

- Nie bierz ich zachowania do siebie - poradził Adam. - Jesteś Irlandczykiem, ale przynajmniej pochodzisz ze starego świata. Urodzeni w nowym świecie stoją od was jeszcze niżej, bo nie rozumieją arystokracji ani systemu klasowego.

Murphy pokiwał głową.

- Amerykanie to zagrożenie. Nie dlatego, że nie rozumiecie arystokracji, ale dlatego, że macie ją w większej pogardzie niż ona was.

- Co do tego nie ma wątpliwości. - Adam popędził konia do szybszego biegu. - Jesteśmy twardzi, pozbawieni ogłady i niepokorni. Ameryka pęka w szwach od ludzi uciekających przed systemem

klasowym w poszukiwaniu lepszego życia, ludzi, którzy nie mają szacunku dla wielowiekowej kultury i wyrafinowania.

- Niektórzy powinni wykazać się przynajmniej lepszym gustem i nie zostać nouveau riche - rzekł Murphy swoim najlepszym akcentem z wyższych sfer.

- Mówisz jak mój szwagier, Skończony Drań -stwierdził Adam. Tak nazywał męża Kirstin, wicehrabiego Marshfielda.

O'Brien zadrzał.

- Boże broń! Adam się roześmiał.

- Wiesz, jaka jest główna różnica między Draniem a mną?

- On lubi policzkować kobiety, a ty nie?

- Między innymi.

- Ty jesteś bogaty, a on nie?

- Wiesz dobrze, że w Ameryce każdy może zostać bogaczem, jeśli jest gotowy ciężko pracować i nie boi się ubrudzić rąk. Ludzie, którzy zbili majątek w czasie gorączki złota z czterdziestego dziewiątego roku i później w Comstock, mieli oczywiście szczęście, ale jednocześnie harowali, żeby pomóc losowi.

- Tak jak ty - wtrącił Murphy.

- Jak ja. - Adam wjechał na wzniesienie i zaczął na przyjaciela. - Różnica między Draniem a mną polega na i

tym, że on nie rozumie, dlaczego mnie się poszczęściło, a jemu nie, choć ma dużo lepsze pochodzenie i wyższą pozycję w społeczeństwie. Wszystko za nim przemawiało: stare rodowe nazwisko, ziemia, tytuły, zapewnione miejsce w towarzystwie i

kosztowne wykształcenie. Ja nie miałem żadnej z tych rzeczy. Moją jedyną przewagą było to, że urodziłem się w Ameryce, a matka uświadomiła mi wartość ciężkiej pracy i śmiałych marzeń. Natomiast mój szwagier, podobnie jak jego ojciec i dziadek przed nim, był zbyt znudzony, zbyt wybredny i zbyt leniwy, żeby pracować albo marzyć. Przepuścił całe dziedzictwo i stracił większość atutów. Ja swoje wykorzystałem. I to jest podstawowa różnica między Draniem a mną.

- Charakter - dodał O'Brien. - Oto, co was przede wszystkim różni. Ty go masz, a on ci zazdrości.

- Zazdrości mi pieniędzy - prychnął Adam. - Nie obchodzi go ani trochę mój charakter.

- Nie zgadzam się - oświadczył Murphy. - Drań chce być tobą. Do licha, Adamie, wielu ludzi chciałoby być tobą! John J. Bookman! Ja też. Czasami.

McKendrick się roześmiał.

- Ale to prawda! - zapewnił go przyjaciel. - Jak myślisz, kto kupuje „Prawdziwe przygody Szlachetnego Barona”?

- Jak na mój gust za dużo blondynek - zażartował Adam. - A nie wszystkie są piękne i zdradzone. I naturalne.

- Tak, ale książkę kupują również tacy frajerzy jak ja, którzy powinni mieć więcej rozumu.

- Co? - Adam ze zdumieniem spojrział na przyjaciela.

- Zgadza się, kolego. Dałem za nią tamtemu gościowi od pokera żeton na pięć dolarów.

- Dobry Boże, dlaczego?

- Bo czytałem pierwszą część i chciałem sprawdzić, co jeszcze Bookman wymyślił na twój temat.

- To dopiero powód!

O'Brien uśmiechnął się zmieszany.

- Faktem jest, że zainspirowałeś kogoś do napisania książki o tobie.

- Broszury za centa, a nie książki - przypomniał mu Adam. - Gdybym nie trafił w niewłaściwe miejsce o niewłaściwej porze, facet znalazłby sobie inną inspirację.

- No, tak, ale ja jestem agentem Pinkertona, a nikt nie pisze o mnie powieści - rzucił burkliwie O'Brien.

- Dziękuj swojej szczęśliwej gwiazdzie.

- Nie mam szczęśliwej gwiazdy - odparł Murphy. - Nie chciało mi się robić tego, co trzeba, żeby ją zdobyć. Tobie owszem. W tym rzecz. - Uśmiechnął się do przyjaciela. - Ludzie podziwiają w tobie właśnie to, że starasz się zrealizować swoje marzenia. Większość z nas wybiera łatwiejszą drogę.

- Przecież ciężko pracujesz - powiedział Adam. - I bronisz tego, w co wierzysz.

- Racja - zgodził się Murphy. - Bronię tego, w co wierzę, i ciężko pracuję, ale dla Allana Pinkertona, a nie dla Murphy'ego O'Briena, bo tak jest łatwiej. I bezpieczniej niż ryzykować wszystko. - Umilkł na chwilę. - Nic dziwnego, że Drań ci zazdrości. Pomyśl, jak trudno musi być zbiedniałemu arystokracie, który nie spełnia oczekiwań związanych z jego pochodzeniem.

McKendrick poczuł się skrepowany. Popędził konia. Murphy ruszył za nim. W milczeniu kłusowali przez posiadłość, oglądając widoki. Dopiero kiedy wjechali na następne wzniesienie i spojrzeli na wrzosowiska ciągnące się w dole, Adam zakrzyknął:

- Chryste, jak tu pięknie! I cholernie zimno. Doskonałe miejsce na to, co mam w planach.

- Więc dobrze, że jesteś panem tych włości - stwierdził O'Brien.

- Tak. - Adam odetchnął głęboko. - To było pouczające.

- Doprawdy?

McKendrick się roześmiał.

- Zawsze wiedziałem, że wszyscy Anglicy uważają nuworyszy za godnych pogardy. - Mrugnął do przyjaciela. - Nie sądziłem jednak, że Europejczycy z kontynentu żywią podobne uprzedzenia.

- Nie bierz ich do siebie - poradził O'Brien. - Może jesteś godnym pogardy nuworyszem, ale dziewczyna cię lubi.

Adam uniósł brew.

- Dziewczyna?

- Wysoka, blondwłosa walkiria.

- Walkiria? - Adam spojrzał na przyjaciela nowymi oczami. - Ja w myślach nazywałem ją Amazonką.

Murphy wzruszył ramionami.

- Lubię operę, jej pies ma na imię Wagner, stąd moje skojarzenie.

McKendrick potrząsnął głową.

- Nie wyobrażam sobie jej jako Brunhildy. Moją matkę, Erikę czy Astrid tak, ale George... Nie. - Zastanawiał się przez chwilę. - Ona nie jest Amazonką, tylko Artemidą.

- Od jak dawna znasz tę Artemidę?

- Poznałem ją wczoraj w nocy. Kiedy przyjechałem, ona i pies Spali w moim łóżku.

- Domyśliłem się tego z waszej rozmowy. Pytanie brzmi: czy ona i pies zostali w twoim łóżku do rana?

- Tak. -A ty?

-Nie.

O'Brien prychnął.

- Powiedziałbyś mi, gdybyś został? Adam zmierzył go wzrokiem.

- A czy kiedykolwiek mówiłem ci o takich rzeczach?

- Nie.

-I nie zamierzam teraz zacząć. Powinieneś wiedzieć, że dyskrecja to cecha prawdziwego dżentelmena.

- Ale ty nie jesteś żadnym dżentelmenem. - W tonie O'Briena zabrzmiała poważniejsza nuta. - Albo raczej ona nie jest damą...

- Zdecydowanie jest damą.

- Pokojówką.

- A kogo to obchodzi? Jezu! - Adam zdjął kapelusz i przeczesał włosy ręką. - Słyszałeś, co powiedziałem Maximilianowi Langstromowi? Czy nie oświadczyłem, że jesteś moim przyjacielem?

Naprawdę myślisz, że obchodzi mnie, że ona jest pokojówką albo ty moim lokajem?

- Nie. Ale nie jestem twoim lokajem.

- Reszta personelu myśli, że jesteś.

- Ale ty wiesz, że nie.

- Racja, wiem. Rzecz w tym, że nie miałoby dla mnie znaczenia, gdybyś był. Nadal pozostałbyś moim przyjacielem.

- Więc dlaczego nie powiedziałeś im prawdy?

- Powiedziałem - zaprotestował Adam. - Mówiłem, że jesteś moim przyjacielem. Nie uwierzyli.

- Oznajmiłeś, że pracuję w Agencji Detektywistycznej Pinkertona?

- Nie. - McKendrick bez mrugnięcia patrzył O'Brienowi w oczy.

- Dlaczego nie wyjawiałeś, jak zarabiam na życie, tylko pozwoliłeś im myśleć, że jestem twoim lokajem?

- Próbowałem, ale ty sam postanowiłeś wejść w rolę mojego lokaja - przypomniał Adam. - Dlaczego to zrobiłeś? Miałeś okazję wyjaśnić nieporozumienie.

Murphy wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Ja też nie.-Tyle że coś wydaje mi się...

- ... nie w porządku - dokończyli jednocześnie.

- Właśnie - dodał Murphy. - Nie potrafię określić, w czym rzecz, ale coś nie daje mi spokoju. Nie podoba mi się ta cała sytuacja.

- Mnie również. Zauważyłeś, że wszyscy patrzą na Maxa albo George, zanim gdziekolwiek się ruszą?

- Tak. Nie przypuszczałem, że ty również to spostrzegłeś.

- Wciąż powtarzam sobie, że po prostu mnie nie rozumieją, ale Max, Isobel, George i Gordon Ross mówią po angielsku, więc to nie język jest powodem ich dziwnego zachowania. - Adam podrapał się po głowie. - I dlaczego nikt nie próbował jej przede mną bronić?

- Kogo?

- Wiesz, kogo - warknął Adam. - Walkirii. Amazonki. George.

- Mówiłeś, że z nią nie spałeś. - Murphy lubił patrzeć, jak przyjaciel traci panowanie nad sobą, dlatego nie omieszkał drażnić się z nim przy każdej okazji.

- Bo nie spałem. O'Brien zmrużył oczy.

- Nie rozmawiałbyś z nią w taki sposób, jak dziś rano w bibliotece, gdybyś uważał ją za damę albo niewinną dziewczynę. Chyba że zamierzałeś ją wy badać. Adam się zamyślił.

- Nie mogę zaprzeczyć - przyznał cicho. - Mówiłem do niej w sposób, w jaki żaden dżentelmen nie powinien zwracać się do damy, szczególnie niewinnej.

- Skąd wiesz, że jest niewinna?

McKendrick obrzucił go spojrzeniem, z którego jasno wynikało, co myśli o zadawaniu głupich pytań.

- Mogę się założyć o własne życie.

- Ja też - zgodził się O'Brien.

- Więc dlaczego jej ojciec, stryj albo kuzyn nie dali mi pięścią w nos? Ty broniłbyś czci swojej siostry. Bóg wie, że ja często to robiłem. - Adam zmarszczył brwi. - Więc dlaczego rodzina George nie broniła jej honoru? Nie znajduję żadnego wytłumaczenia.

- Może czegoś się obawiają? - zasugerował Murphy.

- Na przykład?

- Utraty posiad.

- Prędzej zwolniłbym ich za to, że nic nie zrobili, niż gdyby stanęli w jej obronie - oświadczył Adam.

- Ty to wiesz i ja wiem. Ale oni nie, bo cię nie znają. Słyszałeś, że ich pracodawczyni umarła. Zaczynają w nowym miejscu. Może boją się narazić.

- Mam nadzieję, że to takie proste - powiedział z żarem Adam.

- Zwolniłbyś ich, wiedząc, że nie mają dokąd pójść? - spytał Murphy.

- Ja? - McKendrick przybrał niewinną minę. - Jestem Szlachetnym Baronem, nie pamiętasz? Dobroczyńcą pięknych, zdradzonych blondynek.

- A, wiedziałem! - wykrzyknął Murphy.

- Co takiego?

- Szykujesz się do trzeciej części. Adam uśmiechnął się szeroko.

- Więc zaczynamy przygodę...

„Szlachetny Baron jest człowiekiem czynu i niewielu słów”.

- „Druga część prawdziwych przygód Szlachetnego Barona, dobroczyńcy pięknych, zdradzonych blondynek”, spisanych przez Johna J. Bookmana, 1874.

Doszedłszy do wniosku, że położenie posiadłości i domu idealnie odpowiada jego celom, Adam zaczął układać plany.

Nikt nie wiedział dokładnie, co zamierza nowy właściciel, ale wszyscy chcieli uczestniczyć w przedsięwzięciu i obserwować postępy. Rozniosła się wieść, że McKendrick jest bogatym, ekscentrycznym Amerykaninem, który płaci najwyższe stawki robotnikom zajmującym się renowacją domu i budową prywatnego pola golfowego. Ponadto szukał służby, co ściągnęło mieszkańców Kinlochen oraz okolicznych wiosek do Larchmont Lodge, żeby zaoferować usługi jako rzemieślnicy, pracownicy na dniówkę, pokojówki, szwaczki, kucharze, pomywaczki i pomoce kuchenne, a także rządcy, stangreci, ogrodnicy, pomocnicy ogrodników, stajenni i chłopcy do noszenia kijów golfowych- Stały

personel mieszkał w rezydencji, miał jeden dzień wolny w tygodniu, płatne urlopy i wolne w razie choroby albo nagłych wypadków, a na Wielkanoc, Boże Narodzenie i koniec każdego roku służby dodatkową pensję- W górach nie można było liczyć na lepszą posadę. Na każde miejsce zgłaszało się kilkunastu chętnych.

Adam jeszcze nigdy nie mieszkał w tak dużym domu. Nie wiedział wszystkiego, co powinien, ale dzięki doświadczeniu z hotelu

oraz baru w Nevadzie umiał Wybierać najlepszych kandydatów. W Larchmont Lodge człowiekiem odpowiedzialnym za znajdowanie właściwych osób był Gordon Ross. Zarządca szybko się przekonał, że Adam McKendrick stawia służbie wysokie wymagania. Pod tym względem przypominał znanych mu arystokratów, ale w przeciwieństwie do nich McKendrick był gotowy dobrze płacić za dobrą pracę.

Adam uważał, że trzeba pozwalać ludziom na spełnienie marzeń. Zatrudnieni w Larchmont Lodge nie musieli poprzestawać na danym stanowisku tylko dlatego, że tradycyjnie zajmowali je członkowie jego rodziny. Jeśli ogrodnik miał ambicje zostać kamerdynerem, a chłopiec stajenny - koniuszym albo lokajem, McKendrick dawał mu szansę na awans i lepsze zarobki.

W tym celu polecił Gordonowi stworzyć jak najwięcej stanowisk oraz listę chętnych, którzy za ćwierć dniówki zgadzali się zastępować pracowników przebywających na urlopie, chorych lub nieobecnych z innych powodów. To oznaczało, że miejscowi farmerzy, rzemieślnicy, właściciele warsztatów i gospodynie mogli nadal pracować u siebie, ale mieli również okazję nauczyć się nowych rzeczy i zarobić dodatkowe pieniądze.

Max, Isobel i Albert zajmowali się szkoleniem służby domowej, a Gordon i Josef - wszystkich pozostałych.

Z wyjątkiem dzieci. Adam przykazał Rossowi, żeby nie zatrudniał dzieci. Młodzi chłopcy albo dziewczęta, którzy chcieli pracować w Larchmont Lodge, musieli mieć ukończone szesnaście

lat. Dostawali zapłatę za pomoc w codziennych czynnościach, takich jak posyłki, zmiatanie schodów i chodników, prowadzenie kuców, sprzątanie stajni, pielenie chwastów, ale nie dłużej niż przez pół dnia. Tak więc teren posiadłości rozbrzmiewał dziecięcymi głosami, ale był to głównie śmiech i radosne okrzyki.

Gdy zatrudniono służbę i robotników na dniówkę, ruszyły prace przy polu golfowym. Starą kamienną stróżówkę przy osiemnastym dołku odnowiono i urządzono w niej bar oraz piwnicę na wina.

Adam zwrócił się o pomoc do St. Andrews, najstarszego pola golfowego w Szkocji. Posłał również po instruktorów i rzemieślników wyrabiających kije i piłki. Ponieważ płacił najwyższe stawki, do Larchmont ze wszystkich stron zjeżdżali chętni do pracy. Napływ ludzi podyktował następny krok przebudowę kwater dla służby.

Decyzja Adama, żeby rozpocząć od skrzydła kobiecego, wynikała ze szczerego pragnienia, żeby pozbyć się wilczura z pierwszego piętra. Remont rozpoczęto od góry. Robotnicy naprawili przeciekający dach i po-malowali sufity, w oknach zainstalowali wewnętrzną żaluzję i grube drewniane okiennice dla ochrony przed chłodnym nocnym powietrzem, między deski a zewnętrzny kamienny mur upchnęli słomę i siano dla dodatkowej izolacji.

Pomieszczenia w stylu dormitorium, choć praktyczne dla dzieci, nie zapewniały dorosłym wystarczającej prywatności, dlatego McKendrick kazał podzielić je na małe pokoiki z łóżkiem, stolikiem nocnym, umywalką, krzesłem i lustrem. W największym zmieściło się łożo dostatecznie długie i szerokie dla wysokiej kobiety i wilczura

alzackiego. Dobudowano również dwie łazienki z bieżącą wodą oraz dwie toalety, nieznane w wiosce Kinlochen. Robotników wraz z materiałami trzeba było sprowadzić aż z Glasgow. Adam uważał jednak, że koszty i wysiłek się opłaciły.

W czasie swoich wcześniejszych podróży do Anglii, kiedy towarzyszył siostrze albo ją odwiedzał, odkrył, że tutejsze łazienki, jeśli w ogóle istnieją, pozostawiają wiele do życzenia. Bogaci dżentelmeni oczekiwali wygód, a pracownicy, którzy mieli zajmować się gośćmi, też zasługiwali na coś lepszego.

Niestety budowa toalet okazała się większym wyzwaniem, niż Adam sądził. Służący i gapie z wioski przeszkadzali swoją ciekawością rzemieślnikom z Glasgow. Tylko Gordon Ross i Langstromowie zachowywali powściągliwość. W kobiecym skrzydle panował chaos, ale reszta chodziła jak w zegarku.

Prawdę mówiąc, jedynie robotnicy zatrudnieni przy renowacjach wypełniali polecenia Adama. McKendrick był niekwestionowanym panem Larchmont, ale w samym domu nic nie działało się zgodnie z jego wskazówkami.

W ciągu trzech tygodni spędzonych w szkockiej posiadłości Adam przekonał się, że śniadanie nigdy nie jest podawane zgodnie z jego życzeniami. Podobnie obiad i kolacja. Żadnego z poleceń nie wykonywano jak należy, zupełnie jakby ktoś je zmieniał. Isobel, Albert albo Max. McKendrick musiał jednak przyznać, że wszystko toczy się gładko... z jego wskazówkami czy bez.

Kirsten tłumaczyła mu kiedyś, że w Anglii duże posiadłości wiejskie są prowadzone według uznania personelu, a nie właścicieli. Adam wyśmiał ją wtedy, ale teraz już nie był taki pewien swojej racji. Nie podobało mu się to wszystko, ale niewiele mógł zrobić. Nie miał władzy nawet nad psem.

Wszedłszy raz do sypialni, zobaczył, że wilczur chrapie w jego łóżku, z łapami uniesionymi w górę. Ostrożnie,- żeby nie obudzić bestii, wycofał się z pokoju.

- Panno Langstrom!

Na jego krzyk otworzyły się drzwi w głębi korytarza. W progu stanęła nieśmiała, ciemnowłosa Brenna, tłumiąc ziewanie.

- Nie ty. Druga panna Langstrom. Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- George. Szukam George. Twojej siostry Georgiany. Gdzie ona jest?

Brenna bez słowa wskazała na pokój lokaja znajdujący się po drugiej stronie korytarza.

Adam ruszył w jego stronę szybkim krokiem i gwałtownie szarpnął drzwi. Giana klęczała przed kominkiem w skórzanych rękawicach, i szorowała kratę. Obok niej stał czarny pojemnik na popiół. Gdy się odwróciła, Adam zauważył kilka rzeczy jednocześnie. Dziewczyna miała na sobie suknię z czarnej mory, a na niej zwykły fartuch z białego płótna. Czerń podkreślała kolor włosów i figurę panny Langstrom, prawy po liczek i czoło były umorusane sadzą.

- Słucham.

- Muszę porozmawiać z panią o psie. -Tak?

George wytarła ręce w fartuch i zerwała się z podłogi tak szybko, że nadepnęła brzeg sukni, straciła równowagę i zatoczyła się na kominek. Z półki spadła porcelanowa figurka.

Adam rzucił się na ratunek, ale nie zdołał jej złapać. Pasterka z delikatnej porcelany roztrzaskała się o marmur.

Przerażona George opadła na kolana i zaczęła zbierać skorupy. Nie był to pierwszy przedmiot, który stłukła w jego obecności. Poprzedniego dnia upuściła tacę z naczyniami, kiedy spotkała go na korytarzu, idąc do kuchni. Przed trzema dniami zbiła glinianą fajkę z kolekcji znajdującej się w jego gabinecie, a jeszcze dzień wcześniej upuściła porcelanową filiżankę i spodek, gdy wszedł do jadalni.

- Bardzo przepraszam - bąknęła.

- Nic się nie stało.

Adam schylił się, wyjął jej z ręki kilka odłamków i wrzucił je do pojemnika na popiół. -Ale...

Zawstydzona swoją niezdarnością Giana zebrała większe skorupy, a potem bezmyślnie próbowała zgarnąć dłonią mniejsze.

-Nie!

Adam chwycił ją za nadgarstek. Niestety za późno.

Wzdrygnął się równie mocno jak Giana, kiedy ostry kawałek jednej z owieczek, które zdobiły rzeźbę, przeciął wnętrze jej dłoni.

Dziewczyna syknęła z bólu i odruchowo zacisnęła rękę, żeby zatamować krew.

Adam zwolnił uścisk i ostrożnie rozwarł jej pięść.

- Proszę mi pozwolić. - Spojrzał Giane w oczy.

Kiedy otworzyła dłoń, McKendrick obejrzał poszarpaną ranę. Przy okazji dostrzegł liczne pęcherze. Delikatnie przesunął kciukiem po rozcięciu i skrzywił się, kiedy wyczuł tkwiącą w nim porcelanową drzazgę. Rana była niewielka, ale dość głęboka. Krew pobrudziła mu paznokiec.

George z sykiem wciągnęła powietrze przez zęby.

Adam ostrożnie usunął odprysk. Choć dziewczyna nawet nie pisnęła, dostrzegł łzy lśniące na jej rzęsach. Zwrócił też uwagę na kruchość dłoni i na uderzający kontrast między jego ciemną skórą a jej jasną i przezroczystą, z wyraźnie widoczną siateczką niebieskich żył.

Wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł nią krew, a następnie obandażował rękę dziewczyny. Ujrawszy oszołomienie na jej twarzy, impulsywnie pocałował miejsce obok rany, żeby ukoić ból, tak jak robiły to w dzieciństwie matka i siostry.

Giana zadrżała pod dotykiem jego ust. Podniosła wzrok. Wyraz ciemnych oczu McKendricka sprawił jej przyjemność. Wytrzymała jego spojrzenie przez całą wieczność. Na plecach poczuła dreszcz.

- Przepraszam za pasterkę - powiedziała ze skruchą.

- To drobiazg - odparł Adam.

- Wcale nie. - Mała pasterka stanowiła bezcenny okaz szesnastowiecznej porcelanowej rzeźby. - Zapłacę za nią i za inne rzeczy, które zniszczyłam.

- Nie ma potrzeby. - McKendrick wzruszył ramionami. - Ja też nie jestem bez winy. Wystraszyłem pa-nią. Gdybym nie wpadł do pokoju i nie zaczął krzyczeć, nie straciłaby pani figurki z półki. Zresztą to tylko kawałek fajansu.

- To była miśnieńska porcelana - sprostowała Giana. Adam uniósł brew.

- Skąd pani wie? Giana przygryzła wargę.

- My... ja... Ona... miała kolekcję miśnieńskich pasterek -Kto?

- Hrabina Brocadii. - George zerknęła na niego spod rzes. -

Często je odkurzałam.

-Brocavii - poprawił Adam, głaszcząc kciukiem jej nadgarstek.

- Słucham?

Jej puls przyspieszył.

- Hrabina Brocavii. Odkurzała pani miśnieńskie pasterki hrabiny Brocavii.

Giana opuściła wzrok.

- Tak. Mój angielski nie jest...

- Pani angielski jest świetny. Moje wątpliwości wzbudziła hrabina...

Wątpił również w rozsądek pracodawczyni, która pozwoliła George odkurzać cenną kolekcję. O ile hrabina w ogóle istniała, czego Adam wcale nie był pewien.

- Nie wiem, co pan ma na myśli - oświadczyła panna Langstrom.

- Sądzę, że pani wie.

George spiorunowała go wzrokiem, zabrała rękę i zerwała się z podłogi. Po raz drugi właściciel Larchmont Lodge oskarżył ją o mówienie nieprawdy. A fakt, że miał rację, tylko pogarszał sprawę. Do śmierci rodziców nigdy świadomie nie skłamała, ale obecna sytuacja wymagała od niej drobnych oszustw i zawilej sieci półprawd. Giana nie była kłamczucha z natury, więc nie mogła nie obrazić się w duchu, że McKendrick jej nie wierzy.

Adam nie od razu wstał. Klęcząc przy kominku, doszedł do przykrego wniosku, że musi wyjaśnić sprawę, dowiedzieć się prawdy. Odetchnął głęboko, podniósł się z podłogi i spojrzał dziewczynie w oczy. Niestety żal nie czynił konfrontacji łatwiejszą.

- Nie było żadnej hrabiny Brocavii.

Giana skrzyżowała palce i ukryła zdrową dłoń w fałdach sukni.

- Oczywiście, że była.

McKendrick przyjrzał się jej uważnie, po czym wolno potrząsnął głową.

- Naprawdę? Jeśli przejrzę księgi genealogiczne, które zauważyłem w tutejszej bibliotece, znajdę wzmiankę o hrabinie Brocavii? Jeśli wyślę do jej rodziny list z prośbą o referencje Langstromów, dostanę napisane przez jednego z członków pani rodziny? - Spostrzegł, że krew odpływa z twarzy George.

- Tak?

Giana nie mogła wydobyć z siebie głosu. Przygryzła wargę i stała bez ruchu, ledwo oddychając. Nie próbowała się bronić.

McKendrick zaczerpnął powietrza, a następnie wolno wypuścił je z płuc. Wyraz oczu George sprawiał mu fizyczny ból. Chyba nie czułby się gorzej, gdyby cały ranek spędził na okradaniu bezbronnych wdów i sierot. Nagle poczuł ogromny, niewytłumaczalny wstyd.

- Nie sprawdzę.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała.

- Nie sprawdzę, czy hrabina istnieje. Nie obchodzą mnie wasze referencje. Pracujecie doskonale. Nie mam do was żadnych zastrzeżeń. Oczy George pojaśniały.

- Naprawdę?

- Cóż... - Adam się zawahał.

- Chodzi o mnie, prawda? - Giana spojrzała na rękę owiazaną chusteczką. - Jestem taka niezdarna.

- Wcale nie.

- Zachowuję się jak słoń w składzie porcelany. Adam zmarszczył czoło.

Giana też ściągnęła brwi. Nie pojmowała, dlaczego on nie rozumie jej angielszczyzny. Można by sądzić, że przemówiła do niego po karolyańsku. Rozwinęła chusteczkę i podała ją McKendrickowi.

- Staram się tak samo jak inni członkowie perso... mojej rodziny.

- Wzruszyła ramionami. - Ale im bardziej uważam, tym więcej rzeczy tłukę.

„Jak słoń w składzie porcelany”. Adam przygryzł policzek, żeby się nie roześmiać. Wyciągnął rękę z chusteczką.

- Proszę ją zatrzymać. Może się przydać, jeśli rana się otworzy.

- Dobrze. - George po królewsku skinęła głową. -Ale zapłacę panu za pasterkę.

- Proszę o niej zapomnieć! - wybuchnął Adam. - Nie obchodzą mnie żadne pasterki! Bardziej przeszkadza mi pies w łóżku!

Scandalous

„Księżniczka królewskiego rodu Saxe-Wallerstein-Karolya zawsze pilnuje swoich pupilów. Chroni zwierzęta przed pałacowymi gośćmi lub personelem, a gości i personel przed zwierzętami”.

- Maksyma 1112 protokołu i etykiety dworskiej rodu Saxe-Wallerstein-Karolya, zatwierdzona przez jaśnie oświeconą księżną May, 1867.

- Wagner? - W głosie George zabrzmiała nuta paniki

- Tak, Wagner. A któżby inny? Giana się rozejrzała.

- Gdzie on jest?

- Kiedy ostatnio go widziałem, głośno chrapał.

- Była z nim Brenna? McKendrick zmarszczył brwi.

- Brenna? Dlaczego akurat ona? Nie, pies leżał sam w moim łóżku, z łapami w górze.

- Kiedy zaczęłam sprzątać pokój pana O'Briena, Wagner był z Brenna. Nie wiem, dlaczego zostawiła go samego.

- Może pani siostra uważa, że jej łóżko jest wygodniejsze od mojego - podsunął Adam, przypomniawszy sobie zaspaną twarz dziewczyny. - W przeciwieństwie do pani wilczura. Albo woli ludzkie towarzystwo od psiego.

- Wagner sypia tylko ze mną. McKendrick prychnął z rozbawieniem.

- Najwyraźniej jest bardziej wybredny w doborze towarzystwa niż legowisk.

- Przeciwnie. Tamto łóżko było moje, zanim pan przyjechał.

Wagner do niego wraca, bo zachowało mój zapach.

- Kwiatów pomarańczy i kobiety - mruknął Adam pod nosem.

Choć pościel była prana już kilka razy, odkąd Giana przeniosła się do innej sypialni, nadal pachniała jej perfumami. Z początku sądził, że to woń jakiegoś środka, który praczki dodają do ostatniego płukania. Teraz rozpoznał zmysłowy aromat kwiatów pomarańczy i piżma, emanujący z jej włosów i skóry, nadal wyczuwalny mimo metalicznego zapachu świeżej krwi, popiołu i pasty.

Adama fascynowały również słowa George, a jeszcze bardziej jej usta. Nie mógł oderwać od nich wzroku. Intrygował go idealny wykrój dolnej i górnej wargi, ich delikatna faktura.

Giana przez całe życie była obiektem zainteresowania.

Przywykła do tego, że ludzie ją obserwują, i na ogół bez trudu znosiła ich ciekawość, ale intensywne spojrzenie niebieskich oczu Adama McKendricka peszyło ją jak nigdy, przyprawiało bowiem o dziwne doznania. Po raz pierwszy czuła się jak kobieta, a nie księżniczka. Jednocześnie uświadomiła sobie, że przy tym Amerykaninie zapomina, kim jest i jakie obowiązki na niej ciąży.

Z trudem uciekła oczami i sięgnęła po skórzane rękawice wiszące na obłaku pojemnika na popiół.

- Proszę wybaczyć.

- Nie.

McKendrick zabrał jej rękawice i schował je do kieszeni surduta.

- Proszę mi wybaczyć.

Giana uznała, że nie rozumiał jej angielskiego, więc uprzejmie powtórzyła prośbę, wzięła kubeczek i spróbowała przejść obok pana domu, ale jej nie przepuścił.

- Co pani robi? - Wziął od niej pojemnik.

- Muszę iść po Wagnera. I dokończyć pracę. Adam odsunął kubeczek poza jej zasięg.

- Na dzisiaj już pani skończyła pracę.

- Ale jeszcze powinnam...

- Możliwe, ale nic z tego. Ma pani paskudną ranę na dłoni. Ktoś inny panią wyreczy. - Adama nagle uderzyła myśl, że podczas gdy Giana czyściła kominki w sypialniach na piętrze, Brenna ucinała sobie drzemkę. - Na przykład pani siostra.

Giana potrząsnęła głową.

- Dlaczego?

- Takie prace nie należą do obowiązków Brenny. McKendrick uniósł brew.

- Tylko do pani? - Tak.

- Dlaczego pani czyści kominki, podczas gdy siostra śpi? Jakie właściwie są jej obowiązki, oprócz pilnowania bestii? Zaniedbała go, nawiasem mówiąc.

- Brenna jest pokojówką - wyjaśniła Giana.

- Co oznacza, że...

- Jej obowiązkiem jest usługiwanie pani domu: pomoc w ubieraniu i rozbieraniu, czesanie włosów, robótki, cerowanie strojów, dotrzymywanie towarzystwa.

- W tym domu nie ma pani, której Brenna musiałaby osobiście usługiwać - przypomniał Adam.

Giana obdarzyła McKendricka tajemniczym uśmiechem księżniczki i zerknęła na niego spod rzęs.

- Ale będzie.

- Tak? - Adam zmierzył ją wzrokiem. - Jak to?

- Kiedy dżentelmen rozpoczyna kosztowny remont domu, zwykle to oznacza, że zamierza się ustatkować-i założyć rodzinę... - Giana udawała, że zna się na obyczajach zwykłych śmiertelników. - Naturalnie uznaliśmy, że pan postąpi tak samo...

- Uznaliście? - Adam, który dorastał z czterema siostrami, potrafił przejrzeć kobiece sztuczki. Wprawdzie żadna z nich w tak oczywisty sposób nie zarzucała przynęty, żeby się czegoś dowiedzieć, ale one były mistrzyniami w tej grze, podczas gdy George zaledwie nowicjuską. Adam postanowił odplącić pięknym za nadobne. - Na pewno nie jest pani tak naiwna, by myśleć, że odnowienie budynku ma coś wspólnego z zamiarem założenia rodziny czy chociażby znalezienia pani tego domu.

Giana otworzyła usta, ale nie wydostały się z nich żadne słowa.

Pod wpływem przemożnego impulsu Adam wyciągnął rękę i opuszką kciuka starł sadzę z jej policzka.

- Kim pani jest? I co pani zrobiła z George? Giana poczuła, że blednie. Wyprostowała plecy, pewna niemal, że zaraz zostanie zdemaskowana.

- Nie rozumiem.

Adam westchnął głęboko. Panna Langstrom okazała się godną przeciwniczką w pojedynkach słownych, ale zapomniał, że jest niedoświadczoną dziewczyną, a angielski jej drugim językiem.

- Mam na myśli, że nieśmiałość do pani nie pasuje. Giana zwilżyła wargi koniuszkiem języka.

- Do pana również.

- Oceniano mnie różnie, ale nigdy w ten sposób. -Uśmiechnął się, by pokazać, że w jego słowach nie ma przygany. - Kiedy kobieta odpowiada tak jak pani, na ogół sądzi się, że jest nieśmiała, Gdy robi to mężczyzna, uważa się, że mówi wymijająco.

- A tak właśnie jest? McKendrick uśmiechnął się szerzej.

- No, teraz to znowu George, którą znam i ko... -Urwał raptownie.

Jezusie, Maryjo, Józefie! Przesunął ręką po twarzy. Znalazł się w tarapatach. Prawdziwych tarapatach. Panna Langstrom stanowiła całkowite przeciwieństwo jego ideału kobiety. Lecz raptem jego upodobania przestały mieć znaczenie. Boże, ależ była piękna! Przyprawiała go o szybsze bicie serca. Tak, to dopiero kłopot. Rozpoznał znaki ostrzegawcze, ale nie wiedział, czy potrafi zapobiec katastrofie. Możliwe, że już jest za późno, by się ratować.

Chyba że...

Nigdy wcześniej nie pociągała go kobieta taka jak George. Zawsze wolał drobne, ciemnowłose i ciemnookie piękności. Nigdy blondynki, wbrew temu, co wy-pisywał pan Bookman. Z drugiej strony, nie miał kobiety, odkąd wyjechał z Nevady. Poza tym mógł też

na niego działać urok nowości. Jeszcze nie całował kobiety, która dorównywała mu wzrostem...

Przysunął się bliżej. Zawsze istniała szansa, że pocałunek okaże się jedynie miłą rozrywką w czasie pobytu w Szkocji... Musiałby być głupcem, żeby...

Podjął ostatnią bohaterską próbę ratowania się. Cofnął się, żeby dać dziewczynie czas na ucieczkę, ale George nie ruszyła się z miejsca. Stała na palcach, uniosła twarz, rozchyliła wargi i zamknęła oczy...

Adam spojrzał na jej usta i... przycisnął do nich wargi, musnął językiem. Dziewczyna gwałtownie wciągnęła powietrze.

A McKendrick odkrył, że jest kłamcą i głupcem. George była słodka, niewinna i bardzo kusząca. Zorientował się od razu, że jeszcze nikt tak jej nie całował. I dobrze.

Ostatnia myśl tak go przeraziła, że odsunął się i spróbował opanować, ale szybko zrozumiał, że toczy przegraną bitwę. Kiedy George zarzuciła mu ramiona na szyję, zrezygnował z walki.

Musnął kciukami delikatny kontur jej policzków, ucałował powieki, a następnie powędrował ku ustom. Szczególną uwagę poświęcił dolnej wardze. Rozkoszował się jej smakiem, wyczuwał drobne ryski od przygryzania zębami.

Dla Giany dotyk jego warg był objawieniem, spowodował całą lawinę nieznanymi doznań. McKendrick całował ją mocniej, potem znowu słabiej i znowu mocniej, sprawdzając jej reakcję. Giana zaczęła go naśladować, poczynając sobie coraz śmieiej. Jej talent i entuzjazm

zaskoczyły Adama i ucieszyły. Dziewczyna okazała się pojętną uczennicą, robiła szybkie postępy, odwzajemniała jego pieszczoty, wymyślała własne, dążyła do mistrzostwa, skwapliwie korzystała z nowo nabytych umiejętności. McKendrick panował nad sobą z najwyższym trudem. W końcu wypuścił ją z objęć.

Musiał natychmiast się odsunąć, żeby nie wziąć jej na dywan w sypialni O'Briena.

- Dlaczego? - Odkrywszy całowanie, Giana chętnie kontynuowałyby przyjemne ćwiczenia jak najdłużej. - Podoba mi się to.

- Miło mi to słyszeć, ale lekcja się skończyła. - Adam zacisnął pięści, żeby nie dotknąć dziewczyny.

- Nie chcę, żeby się skończyła - oświadczyła Giana władcym tonem, którym już dawno temu nauczyła się stawiać na swoim. Bycie księżniczką miało swoje plusy. McKendrick spojrzał w jej niebieskie oczy.

- Chyba nie chcesz skończyć na podłodze ze spódnicą zadartą nad głowę, a właśnie tak się stanie, jeśli nie przestaniemy się całować.

- Naprawdę? - Giana nie rozumiała, dlaczego miałyby znaleźć się na podłodze, ale sama myśl ją zaintrygowała; - Nadzwyczajne!

- Istotnie - zgodził się Adam. - Tak nadzwyczajne, że miliony ludzi robią to codziennie.

-Tak?

McKendrick ze zdumieniem pokręcił głową.

- A jak myślisz, skąd się bierze tyle dzieci? Wyczytał z jej twarzy, że udało mu się ją zaskoczyć. Giana popatrzyła na niego z lękiem i fascynacją. Więc stąd brały się dzieci. Wiedziała oczywiście, że są naturalnym skutkiem małżeństwa, podobnie jak wiedziała, że obowiązkiem księżniczki jest wyjść za mąż i urodzić dziedzica. Teraz nareszcie powiązała te dwie rzeczy.

- Nie miałam pojęcia.

Rozczulony jej miną Adam z trudem zwalczył pokusę, żeby ją znowu pocałować.

- I nadal nie masz pojęcia - stwierdził. - Ale lepiej niech tak zostanie. Ze względu na nas oboje. Trzymaj się ode mnie z daleka, George. Z dala od mojego pokoju i łóżka. Bestię również.

Giana obruszyła się w duchu. Przecież to on jej szukał, a nie na odwrót.

- Ale, sir...

Sir. Omal nie doprowadziła go do szaleństwa pocałunkami i nadal zwracała się do niego „sir”. Chryste! McKendrick przeczesał ręką włosy. Czuł się, jakby wymierzyła mu policzek. Lubieżnemu właścicielowi ziemskiemu, który uwodzi służące.

- Adamie - poprawił ją łagodnie. - Kobieta może przynajmniej mówić po imieniu mężczyźnie, z którym się całuje.

- A mężczyzna powinien nadal ją uczyć, skoro już zaczął. Adamie.

Nie czekała na odpowiedź, tylko wyszła z sypialni, zostawiając osłupiałego pracodawcę.

„Szlachetny Baron nie lubi tajemnic ani zagadek i za swój obowiązek uważa ich rozwiązywanie”.

- „Druga część prawdziwych przygód Szlachetnego Barona, dobroczyńcy pięknych, zdradzonych blondynek”, spisanych przez Johna J. Bookmana, 1874

- Dzieje się tutaj coś dziwnego, przyjacielu - stwierdził O'Brien, zakręcił whisky w szklaneczce i pociągnął z niej solidny łyk.

- Naprawdę? - Adam roześmiał się, unosząc brew. Dlaczego tak uważasz? Tylko dlatego, że cała służba potępia swojego pracodawcę za picie whisky zamiast brandy albo dzielenie się butelką z lokajem?

Obaj udali się po kolacji do biblioteki i tak się zasiedzieli, że pozostali domownicy już dawno zdążyli pójść na spoczynek. Lecz ani milcząca dezaprobata Alberta ani komentarze Maxa nie odwiodły Adama od traktowania Murphy'ego jak przyjaciela.

- Tobie grożą jedynie kose spojrzenia i parę cierpkich uwag - przypomniał mu O'Brien. - Natomiast ja będę musiał znieść serię wykładów o braku wykształcenia i znajomości etykiety.

-Co?

- Ależ z ciebie pan domu! - zakpił O'Brien. - Nie wiesz, że twój prywatny sekretarz uważa za swój obowiązek udzielanie mi po śniadaniu lekcji w pomieszczeniach dla służby? - Mówił przesadnym irlandzkim akcentem. - Oczywiście, że nie wiesz. Pora, żebyś otworzył oczy i zwrócił uwagę na to, co się dzieje w twoim własnym domu.

- A na jaki temat Max robi ci wykłady?

- Tradycyjnym tematem są stosunki między pewnym lokajem a jego panem. Rzeczony lokaj powinien zachować stosowny dystans między sobą a pracodawcą i nie łudzić się, że jest mu równy.

O'Brien wychylił whisky i odstawił szklaneczkę na stół.

- Mimo że pracodawca mówi i postępuje inaczej? - spytał Adam. Murphy się roześmiał.

- Pomimo.

McKendrick mu zawtórował.

- Jestem pewien, że doskonale poradysz sobie z Maximilianem Langstromem.

- To dobrze, bo ja zaczynam tracić wiarę w ciebie. Adam przestał się śmiać.

- Spędzasz za dużo czasu poza domem, nadzorując budowę boiska golfowego...

- Pola - poprawił go McKendrick odruchowo. - Mówi się „pola golfowego”.

- Wszystko jedno. W każdym razie spędzasz tam za dużo czasu i w rezultacie twoje polecenia nie mają dużego wpływu na personel domowy.

- Moje słowa nie, mają żadnego wpływu na tutejszy personel - uściślił Adam. - Słuchają mnie tylko robotnicy na dniówkę oraz fachowcy z Glasgow i z St. An drews...

O'Brien potrząsnął głową.

- Fachowcy z Glasgow i St. Andrews może, ale ludzie z Kinlochen przyjmują polecenia od Isobel i Gordona, a ci z kolei dostają je od Maxa, panującej głowy domu. Ty wprawdzie jesteś właścicielem, ale odebrano ci realną władzę.

Adam prychnął z lekceważeniem.

- To niemożliwe, bo nigdy jej nie sprawowałem. -Nalał sobie następną porcję whisky, zaproponował trunek O'Brienowi, a kiedy ten odmówił, odstawił butelkę na tacę. - Nie udało mi się zmusić do posłuszeństwa nawet cholernego psa.

- Znowu przyłapałeś go w swoim łóżku?

- Leżał na grzbiecie, z łapami w powietrzu, i chrapał tak, że mógłby obudzić umarłego.

- Gdzie była jego właścicielka?

- Czyściła kominek w twoim pokoju - odparł Adam Murphy wiedział, że jest to jeden z licznych obowiązków służących, ale nie mógł wyobrazić sobie Georgiany Langstrom szorującej palenisko jak zwykła posługaczka.

- Żartujesz.

- Chciałbym, ale to nie był żart. George klęczała przed kominkiem w grubych rękawicach i sukni od Wortha.

O'Brien przez chwilę nie był pewien, czy się przesłyszał. A może Adam po prostu wypił za d whisky.

- W sukni od Wortha?

McKendrick skinął głową.

- Czarna jedwabna mora wysadzana dżetami, z małą turniurą i krótkim trenem.

- Skąd wiesz, że to jego suknia?

-Płynąłem przez Atlantyk z Kirstin, lady Marsh-field. Ty również, więc mieliśmy okazję podziwiać najnowszą paryską modę, w tym kilka kreacji pana Wortha. Rozpoznałem jego styl.

- Zawsze mówiłem, że jesteś człowiekiem o wielu talentach - stwierdził O'Brien.

- W dodatku wiem, że biały fartuch, który miała na sobie George, to nie dzieło Wortha, tylko zwyczajny strój pokojówki.

- Ile rezydencji może się pochwalić służącą, która nosi suknie Wortha? - O'Brien nie zdołał pohamować uśmiechu. Wstał z fotela i złożył głęboki ukłon przed McKendrickiem. - Naprawdę jesteś Szlachetnym Baronem.

Adam potrząsnął głową.

- To nie ja ubrałem służbę w drogie stroje.

- Więc kto? - Murphy popatrzył przyjacielowi w oczy.

- Z pewnością nie Langstromowie. Gdyby mogli pozwolić sobie na suknie Wortha, nie musieliby pracować jako służba domowa.

- Może suknia należała do hrabiny Brocavii.

McKendrick wahał się przez chwilę, czy nie powiedzieć przyjacielowi o swoich podejrzeniach co do hrabiny Brocavii. Murphy O'Brien był dyskretny, ale Adam obiecał George dochować tajemnicy.

- Nie sądzę - rzekł w końcu. - Brenna jest pokojówką, więc to ona ma prawo do strojów po swojej pani.

- Ale ona nie nosi sukien od Wortha - zauważył O'Brien.
- Może dlatego, że nie zrobiła nic, żeby na nie zasłużyć. Murphy wzruszył ramionami.
- A niby co miałyby zrobić?
- Na przykład pomóc siostrze w odkurzaniu i czyszczeniu kominków.
- Wykluczone.
- Dlaczego?
- Służba też ma swoją hierarchię. Pokojówka stoi wyżej niż sprzątaczką. Zwyczajne odkurzanie jest poniżej jej godności.
- Wiem, jakie są zadania pokojówki - oświadczył Adam. - George wszystko mi wyjaśniła. Ale oburza mnie, że podczas gdy ona czyści kominki, Brenna zajmuje się tylko psem. W dodatku źle. O'Brien się roześmiał.
- Pies śpi przez cały czas. Nic dziwnego, że Brenna woli obserwować swoją siostrę, matkę i mnie przy pracy.
- Ciebie? - zdziwił się Adam. Przyjaciel mrugnął do niego.
- Nieśmiała Brenna nie jest wcale taka nieśmiała, jak myśleliśmy. Przygląda mi się, kiedy wykonuję swoje obowiązki lokaja.
- To interesujące - powiedział Adam w zadumie.
- Niekoniecznie - rzucił Murphy. - Może dziewczyna nie tyle mnie obserwuje, co ma oko na ciebie.
- Albo Langstromowie kazali jej pilnować ciebie, boi się, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz.

O'Brien wzruszył ramionami.

- Wszyscy widzą, że jestem bardzo niedoświadczonym lokajem. Ale nie sądzę, by się domyślali, że tylko go udaję... albo że jestem prywatnym detektywem. I nie ma wątpliwości, że Brenna nas obserwuje. Ale czy dostała takie polecenie, czy robi to z własnej inicjatywy, jeszcze się okaże.

- Jako lokaj jesteś dla niej bardziej dostępny niż ja -stwierdził Adam.

- To prawda. Ale ty lepiej się prezentujesz i stanowisz lepszą partię.

- Myślę, że dziewczyna uważa cię za atrakcyjnego.

- Możliwe - zgodził się Murphy. - Albo postanowiła mnie wykorzystać, żeby dotrzeć do ciebie. - Wzruszył ramionami. - Nie wiem. Niestety francuski znam jeszcze słabiej niż ona angielski, a w dodatku nie mam pojęcia, jaki jest jej ojczysty język. W każdym razie Brenna nie jest taka leniwa, jak sądzisz. Ani zupełnie niewrażliwa. Nie zajmuje się pracami domowymi, ale pomaga Georgianie w inny sposób.

-W jaki?

- Brenna doskonali swoje umiejętności pokojówki, dbając o George. Szykuje jej kąpiel, ubiera ją, czesze.

Adam wstał z fotela i zaczął chodzić po bibliotece.

- Czy to znaczy, że płacę jednej służącej, żeby zajmowała się drugą?

- Słyszałem, że George skaleczyła się w rękę, więc teraz potrzebuje pomocy.

Adam zatrzymał się i odwrócił do przyjaciela.

- Przecięła ją kawałkiem rozbitej porcelany.

- Isobel, Albert i Max trzęśli się nad tą raną, jakby była śmiertelna. - O'Brien sięgnął przez fotel po butelkę i dolał sobie whisky. - Nie wiem, co ich bardziej poruszyło: fakt, że Georgiana przecięła sobie rękę, czy to, że nie pozwoliłeś jej pracować, dopóki rana się nie wy-goi. Zdradzę ci, że wywiązała się rodzinna dyskusja, kiedy Georgiana przyszła na obiad z zakrwawioną chustką owiazaną wokół dłoni. - Murphy nappełnił drugą szklaneczkę i podał ją przyjacielowi. - Mówili ściszymi głosami, więc niewiele słyszałem, ale kilka razy obilo mi się o uszy twoje imię i słowo „porcelana”.

- Dzięki. - Adam wziął whisky i podjął spacer. Murphy udał, że uchyla kapelusz.

- Do usług, sir. Domyśliłem się ze strzępów rozmowy i rany na dłoni Georgiany, że doszło do wielkich zniszczeń.

McKendrick wybuchnął śmiechem.

- Chyba bardzo się przejęła.

- Co to było tym razem? - zapytał O'Brien z czystej ciekawości.

- Mała pasterka, która stała na półce nad kominkiem w twojej sypialni.

Murphy przypomniał sobie śliczną figurkę i zmarszczył brwi.

- Cenna?

- Owszem.

-Auu!

- Właśnie - zgodził się Adam. - Tak więc na razie straty obejmują: tacę z naczyniami, glinianą fajkę, filiżankę i spodek oraz porcelanową pasterkę.

- Dobrze, że Georgiana nie pracuje w twoim barze -1 zażartował O'Brien. - Do tej pory już nie miałbyś kufli do piwa.

- To prawda, ale ogólny koszt zniszczeń byłby dużo niższy.

- Proponowała, że zapłaci za szkody? Adam skinął głową.

- Tak, choć to oczywiście wykluczone. Pomijając suknie od Wortha, dziewczyna nie zarabia tyle, żeby odkupić wszystko, co stłukła. Poza tym nie ma takiej potrzeby. Strata kilku kosztownych drobiazgów na pewno mnie nie zrujnuje.

- A dziewczyna? - zapytał O'Brien, wpijając spojrzenie w przyjaciela.

McKendrick westchnął.

- Cóż, George może się okazać dla mnie śmiertelnie niebezpieczna.

„Księżniczka królewskiego rodu Saxe-Wallerstein-Karolya jest gotowa do wszelkich poświęceń, jakich od niej wymaga dobro kraju”.

- Zasada 2 protokołu i etykiety dworskiej rodu Saxe-Wallerstein-Karolya, zatwierdzonych przez jaśnie oświeconego księcia Karola I, 1432.

Pocałował ją. Adam McKendrick wziął ją w ramiona i pocałował. Żar jego ciała przenikał przez jej fartuch i jedwabną suknię, ale był niczym w porównaniu z żarem ust.

Giana pamiętała ich dotyk i smak. Pamiętała zapach, z jakim odwzajemniła pocałunek. Otoczyła ramionami szyję Adama, jej dłonie same znalazły drogę ku jego szerokim ramionom. Pamiętała szorstką tkaninę surduta i miękkość gęstych, czarnych włosów, w które wsunęła palce.

Leżąc w łóżku i patrząc w sufit, zrozumiała, że do końca życia nie zapomni słodczy i rozkoszy swojego pierwszego pocałunku. Wspomnienie zapadło głęboko w jej serce i duszę. Dotknęła ust. Mężczyzna ją pocałował i odmienił jej życie.

Wagner leżący w jej nogach zamruczał przez sen. Giana pogłaskała go palcami stóp. Adam McKendrick skarżył się, że wciąż znajduje wilczura w swoim łóżku, ale ona nie rozumiała jego irytacji. Lubiła bliskość ciepłego ciała - nawet psiego - bo wtedy nie czuła się taka samotna.

Odkąd wyrosła z pokoju dziecięcego i rozstała się z nianią, zawsze była sama. Rodzice mieli siebie nawzajem i tak naprawdę nie

potrzebowali nikogo więcej. Księżniczkę otaczali ludzie, ale w rzeczywistości dzieliła ich przepaść. Adam McKendrick sprawił, że przez kilka cennych chwil czuła się bezpieczna. W jego ramionach odnalazła spokój i ukojenie, których nie zaznała od tamtej nocy, kiedy dowiedziała się o śmierci rodziców.

Przez koszulę nocną dotknęła złotego medalionika, który kiedyś należał do jej matki. Księżna May zdjęła go z szyi i podarowała córce w dniu dwunastych urodzin. W środku znajdowała się miniatura jej dziadków, skopiowana z oficjalnego portretu ślubnego, oraz miniatura ojca, matki i jej samej w dniu chrztu. Giana zawsze uwielbiała wyraz twarzy swoich rodziców, patrzących na nią z miłością. Otarła łzę wierzchem dłoni i uśmiechnęła się blado.

Ojciec mówił, że wystarczyło mu jedno spojrzenie na May, by zrozumieć, że to kobieta zesłana mu przez Boga. Zakochali się i pobrali mimo obiekcji ministrów, duchowieństwa i arystokracji. Jego wysokość książę Christian Saxe-Wallerstein-Karolya ożenił się z miłości, a nie przez wzgląd na rację stanu. Popełnił mezalians.

Giana westchnęła. Teraz rozumiała, dlaczego matka nigdy jej nie wyjaśniła, jak cudowne jest całowanie. Tego wrażenia nie da się opisać słowami. Można go jedynie doświadczyć. A rodzice poznali to niewiarygodne uczucie zachwytu i przynależności do siebie nawzajem.

Lecz Giana była księżniczką z królewskiego rodu, dlatego nie mogła należeć do nikogo oprócz swoich poddanych ani całować mężczyzny, z którym nie wzięła ślubu. Jeśli chodzi o przyjemność,

podejrzewała, że wiele zależy od wybranka. Zadrzała. Teraz wiedział jak to jest być całowaną przez Adama McKendricka, i nie potrafiła sobie wyobrazić na jego miejscu żadnego z kandydatów, którzy prosili ojca o jej rękę. A dzielenie łóża z którymkolwiek z nich w ogóle nie mieściło się jej w głowie. Zwłaszcza z kuzynem Victorem.

Niestety księżniczki królewskiego rodu Saxe-Wallerstein-Karolya nie miały nic do powiedzenia w kwestii wyboru męża. Lecz i pod tym względem Giana miała wyjątkowe szczęście. Ojciec nie tylko odrzucił oświadczyzny Victora, ale zachował je przed nią w tajemnicy. Była mu za to wdzięczna, bo sama myśl o małżeństwie z kuzynem przyprawiała ją o dreszcz obrzydzenia.

Giana odwróciła się na bok i przytuliła do siebie poduszkę. Kiedy była małą dziewczynką, jej matka zabawiała ją opowieściami o tym, jak ona i książę Christian spotkali się i zakochali. Ale w miarę jak dorastała, księżna coraz bardziej niechętnie dzieliła się z nią romantycznymi historiami. Teraz Giana zrozumiała, dlaczego.

Matka nie chciała rozmawiać o sekretach małżeńskiej alkowy, bo ona poznała je dzięki kochającemu mężowi. Były cenne i intymne, nieprzeznaczone do tego, żeby się nimi dzielić. Zwłaszcza że córkę w tajniki pożycia małżeńskiego miał wprowadzać obcy mężczyzna, wybrany przez ojca i jego ministrów.

Giana zaczerpnęła powietrza. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że wstrzymuje oddech. Małżeństwo jej rodziców było wyjątkowe w historii Karolyi. Pobrali się z miłości, nie tylko dlatego,

że ksiązę Christian miał dostateczną władzę, żeby samemu dokonać wyboru żony.

Choć Karta Karolyańska pozwalała kobiecie zasiąść na tronie, nie dawała jej całkowitej swobody w podejmowaniu decyzji. Giana nagle sobie uświadomiła, że smutek, który pojawiał się w oczach matki, kiedy prosiła ją o romantyczne opowieści, wynikał z obawy, że jej córka nie będzie miała tyle szczęścia.

May nie pochodziła z królewskiego rodu. Została księżną przez małżeństwo z księciem Christianem. Nawet nie urodziła się w Karolyi. Lady Caroline Frances Alexandra May, lady May, jak kazała się nazywać, przysłała na świat jako jedyne dziecko starego markiza Barracksforda i jego młodej żony oraz jako jedyna dziedziczka sporej fortuny.

Jej narodziny wywołały dużo plotek, ale markiz i jego żona nie zwracali na nie uwagi. Choć szeptano, że dziewczynka nie jest podobna do ojca, urodziła się jako Barracksford i nic nie mogło tego zmienić. Rodzice nosili głowy wysoko i ignorowali plotkarzy. Antoinette wyszła za markiza z własnej woli i została nagrodzona córką, która stała się światłem jej życia i sprawiła jej ogromną niespodziankę, poślubiając księcia Christiana Saxe-Wallerstein-Karolya, zostając księżną i dając przybranej ojczyźnie następczynię tronu.

Następczynię, która obecnie pracowała jako pokojówka w domu myśliwskim w górach Szkocji i dzieliła łożę z wilczurem alzackim,

jednocześnie śniąc na jawie o czarnowłosym i niebieskookim mężczyźnie.

Mężczyźnie, który wielkodusznie wybaczył jej niezdarność, niszczenie dzieł sztuki i domowej porcelany Choć nie przyjął pieniędzy za szkody, Giana zamierzała mu je wynagrodzić. Wiedziała, że znajdzie jaki sposób.

Księżniczka królewskiego rodu Saxe-Wallerstein-Karolya całowała się z mężczyzną który nie był jej mężem. Zdarzył się cud. Wszystko jest możliwe.

Scandalous

„Księżniczka królewskiego rodu powinna słuchać opinii najbliższego męskiego krewnego z rodu Saxe--Wallerstein-Karolya we wszystkich sprawach państwowych”.

- Zasada 6 protokołu i etykiety dworskiej rodu Saxe-Wallerstein-Karolya, zatwierdzonych przez jaśnie oświeconego księcia Karola I, 1432.

- Jak śmiesz przychodzić i oznajmiać, że nie udało ci się jej znaleźć!

Biała blizna po pojedynku, przecinająca lewy policzek księcia Victora Luciena Saxe-Wallerstein-Karolya, kontrastowała z czerwoną twarzą. Kapitan gwardii stał przed nim sztywno na baczność.

- Żałuję, wasza wysokość. Przeszukaliśmy każde miasto, wieś, osadę i obozowisko od Christianbergu po Laken, ale nie trafiliśmy na księżniczkę Gianę ani lorda Gudruna.

Kapitan Peter Tolsen nie zdradzał żadnych emocji, stojąc przed regentem i meldując, że anarchiści przetrzymujący następczynię tronu ukrywają się przed królewską gwardią pałacową już od prawie trzech miesięcy.

- Na pewno wysłał ją z kraju - stwierdził książę Victor.

- On czy oni, wasza wysokość?

- On, nieudolny ośle!

- Lord Gudrun?

- Nie! Mój wuj, książę Christian! - Regent z trudem się pohamował. Po co uczciwy oficer miał wiedzieć, że odgrywa swoją

rolę w planie obwinienia sekretarza; o śmierć księżnej May i księcia Christiana, a ukryci; tożsamości prawdziwego mordercy. -

Maximillian Gudrun jest zwykłym skrybą. Brak mu umiejętności i odwagi, żeby wywieźć księżniczkę z kraju.

- Z raportu pałacowych strażników, którzy próbowali pomóc moim ludziom, wynika, że lordowi Gudrunowi wystarczyło umiejętności i odwagi, żeby zamordować księcia Christiana i księżną May oraz porwać księżniczkę Gianę.

- A tobie brakuje umiejętności, żeby powstrzymać go przed ucieczką za granicę.

- Nie mógł porwać księżniczki ani z nią uciec oświadczył Tolsen. - Następczyni tronu nie było w pałacu w noc zabójstwa.

- Skąd wiesz?

- Pański gwardzista twierdzi, że anarchiści zabił wartownika strzegącego jej apartamentu.

- Który z moich osobistych gwardzistów tak zameldował? I komu? - Victor udawał umiarkowane zainteresowanie, ale w środku aż się gotował.

- Ze szpitala przysłałem wiadomość, że chcę rozmawiać w gwardzistą, który znalazł ciało wartownika. Zjawił się kapitan Mareska i opowiedział mi szczegóły incydentu.

Victor spojrział na swoją prawą rękę. Nie miał królewskiego sygnetu ani księżniczki, a jedyny świadek morderstwa księcia Christiana nadal żył. Regent zacisnął pięść.

- Czy Mareska mówił coś jeszcze? Dorzucił jakieś szczegóły, które pomogłyby nam odnaleźć księżniczkę?

Kapitan Tolsen potrząsnął głową.

- Powiedział tylko, że napastnicy włamali się do jej pokojów, wyważając drzwi, ale zastali je puste.

Mareska za dużo widział. Za kilka tygodni jego rodzina otrzyma wieść, że zginął na posterunku, broniąc księcia Victora. Karolyanie dowiedzą się, że anarchiści, którzy zamordowali księcia Christiana i księżnę May, próbowali również zabić regenta. Taki sam los spotka kapitana Tolsena, kiedy przestanie być użyteczny.

- Mój wuj musiał coś podejrzewać. Pewnie zwietrzył spisek anarchistów i wysłał córkę w bezpieczne miejsce za granicą. Ale gdzie? I dlaczego jeszcze nie wróciła?

- Nie wiem, sir.

- Dlaczego? Jesteś kapitanem gwardii pałacowej. Powinieneś ją eskortować...

Tolsen potrząsnął głową.

- Gwardia królewska jej nie eskortowała. Jeśli księżniczka opuściła kraj, zrobiła to pod przymusem albo podróżując incognito.

- Nie dostałeś żadnych rozkazów od księcia Christiana? Albo od lorda Gudruna?

- Nie, wasza wysokość. - Kapitan patrzył regentowi prosto w oczy.

- Jak Wyjaśnisz jej nieobecność?

- Nie potrafię. Członkom gwardii powiedziano, że anarchiści Wzięli następczynię tronu jako zakładniczkę.

Tolsen zmarszczył brwi. Po odprowadzeniu księcia Christiana i księżnej May do ich apartamentu członkowie gwardii, nie pełniący straży pod drzwiami pary królewskiej i ich córki, wrócili na noc do koszar. Większość z nich już się nie obudziła. Spiskowcy napadli ich we śnie. Kapitan miał szczęście. Choć został ranny, wyzdrowiał w przeciwieństwie do wielu swoich kolegów.

Oddział gwardii księcia Victora uniknął masakry. Jego kwatery znajdowały się w przeciwnym krańcu pałacu, w pobliżu apartamentów Victora. Strażnicy podnieśli alarm dopiero po tym, jak władca Karolyi i jego małżonka zostali zamordowani.

Regent zmrużył oczy.

- Bo to prawda. Ale wiemy z pewnego źródła, że anarchiści byli w zмовie z lordem Gudrunem. Musimy założyć, że to on rozkazał porwać księżniczkę.

- Z jakiego źródła? - Kapitan Tolsen zapomniał się na chwilę. - Chciałbym porozmawiać z osobą, od której otrzymał pan tę informację.

Księżę wpił w niego wzrok. |

- Tożsamość informatora to nie twoja sprawa.

- Powierzył mi pan śledztwo w sprawie zniknięcia księżniczki Giany, sir. Jeśli wie pan cokolwiek o miejscu jej pobytu, jak najbardziej mnie to dotyczy. - Młody oficer nie pozwolił się zastraszyć.

- Nie powierzyłem ci śledztwa w sprawie zniknięcia mojej kuzynki! Kazałem ją odnaleźć i uratować z rąk porywaczy. Księżniczka zniknęła! Tyle wiadomo! Jak zniknęła, to teraz mniej ważne. - Wycelował palec w gwardzistę. - Znajdź ją, i to szybko! Czas ucieka! Dla nas obu

Regent dobył szabli.

Tolsen milczał. Nie udało mu się uratować następcy tronu, czym wzbudził gniew gwałtownego księcia. Aż do tej chwili wierzył, że anarchiści, którzy zamordowali księcia Christiana i księżnę May, porwali księżniczkę Gianę, ale teraz zaczął się zastanawiać...

I zrozumiał, że księżę jest gotów pozbyć się kapitana królewskiej gwardii jednym cięciem szabli i zastąpić go człowiekiem bardziej lojalnym.

Tolsen spojrział w oczy regenta i zobaczył w nich śmierć. Wyprostował się dumnie, czekając na cios, który zakończy jego życie... i zatuszuje porażkę.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi, a szambelan księcia zaanonsował gościa i jednocześnie wybawcę kapitana.

- Specjalny wysłannik dworu świętego Jakuba, wasza wysokość.

Victor warknął gniewnie i machnął szablą, obcinając nogi francuskiego stolika, Delikatny mebel zwałił się na podłogę.

Kapitan Tolsen wydał ciche westchnienie ulgi, ale regent jeszcze z nim nie skończył.

- Znajdź ją! - rozkazał. - I to szybko, bo mianuję kapitana gwardii, który to zrobi!

Tolsen skinął głową, stuknął obcasami i pospiesznie wycofał się z salonu, żeby książę nie zmienił zdania. Minał brytyjskiego posła, zastanawiając się, jak regent wyjaśni, co stało się ze stolikiem.

Lord Everleigh pozdrowił gospodarza krótkim ukłonem. Nie lekceważył księcia regenta, ale również nie okazywał respektu, zarezerwowanego dla głów państw.

Chłodne powitanie zirytowało księcia, ale gość zignorował jego niezadowolenie.

Markiz Everleigh, przystojny pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna, od ponad trzydziestu lat służył w korpusie dyplomatycznym, między innymi jako ambasador na dworze Habsburgów w Wiedniu oraz specjalny wysłannik w Rosji, na Krymie i na Bałkanach. Teraz przybył do Karolyi na osobiste polecenie najbardziej zaufanego i lojalnego doradcy królowej, szesnastego markiza Templeston.

Lord Templeston powierzył Everleighowi ważne zadanie: ustalić, co naprawdę wydarzyło się w Christianbergu; czy książę i księżna zostali zamordowani przez anarchistów, czy przez uzurpatora. Jako matka chrzestna księżniczki Giany królowa Wiktoria uznała za swój obowiązek pomóc rządowi Karolyi w jej odnalezieniu. Choć wiedziała, że książę Victor liczy na oficjalne uznanie przez brytyjski rząd, wstrzymała się z decyzją. Jeśli Giana jeszcze żyła, jej się należał tron. Jeśli została porwana i zamordowana, regent musiał pokazać jej ciało albo królewską pieczęć, żeby zostać władcą.

- Nasza ukochana królowa przysłała pozdrowienia i szczerą kondolencję z powodu śmierci księcia Christiana i księżnej May oraz zniknięcia księżniczki Giany - powiedział lord Everleigh.

Książę Victor opuścił wzrok i skłonił głowę.

- Proszę przekazać jej królewskiej mości nasze serdeczne podziękowania.

- Oczywiście. - Lord Everleigh przeszył gospodarza wzrokiem. - Jej królewska mość i rząd brytyjski są za niepokojony stanem spraw w Karolyi...

- Może pan zapewnić królową, że nie ma powodu do obaw - przerwał mu regent.

- Proszę wybaczyć, ale jej królewska mość jest odmiennego zdania - rzekł wysłannik. - Anarchiści, zagrażający wszystkim monarchiom, zamordowali dziedzicznego władcę Karolyi i jego małżonkę. To dostateczny powód do zmartwienia dla naszej królowej. Fakt, że jej córka chrzestna, księżniczka Giana, zniknęła, tylko zwiększa niepokój jej królewskiej mości. Jako drugi w kolejce do tronu Karolyi jest pan obecnie regentem, bo księżniczki Giany jeszcze nie odnaleziono. Rząd przestał panować nad sytuacją, panu brakuje poparcia parlamentu. Wszystko to razem napawa troską naszą władczynię.

Książę Victor bezskutecznie próbował ukryć gniew. Anglik zauważył, że blizna przecinająca twarz regenta może służyć jako barometr jego nastrojów.

- Potrafię rządzić krajem w czasie nieobecności mojej kuzynki.

- I Karolyańska Karta daje panu takie prawo - przyznał lord Everleigh. - Ale jako księżę regent działa pan w imieniu księżniczki Giany do jej powrotu.

- Szukamy księżniczki od tygodni. Niestety bez powodzenia. Żywimy obawy, że stało się jej coś strasznego.

- Bo stało się jej coś strasznego - powiedział z naciskiem brytyjski wysłannik. - Została porwana przez osobę lub osoby, które zamordowały jej rodziców, i jest przetrzymywana wbrew swojej woli.

- Nasza kuzynka, księżniczka Giana, została porwana przez anarchistów będących w zмовie ze zdrajcą. Mamy powody przypuszczać, że osobisty sekretarz księcia Christiana, lord Maximillian Gudrun, z nimi spiskował w celu zabicia księcia Christiana i księżnej May oraz uprowadzenia następczyni tronu.

- Po co lord Gudrun miałby zdradzać kraj? - zapytał Everleigh.

- Z powodu karolyańskich złóż rudy żelaza - odparł regent. - Jego wysokość księżę Christian odmówił ich sprzedaży lub wymiany, które bardzo wzbogaciłyby skarbiec Karolyi.

Jako urodzony dyplomata Anglik nie zdradził się ze swoimi politycznymi sympatiami.

- Sądziłiśmy, że skarbiec Karolyi jest pełny. Księżę Christian był bardzo majątnym człowiekiem, a mieszkańcy waszego kraju należą do najzamożniejszych w Europie. Nie było potrzeby sprzedawać żelaza i niszczyć krajobrazu, żeby jeszcze powiększyć bogactwo.

- Możliwe, ale pozostaje faktem, że lord Gudrun uknuł śmierć księcia i księżnej oraz porwanie księżniczki, żeby zdobyć panowanie nad Karolyą i jej bogactwami naturalnymi.

- W takim razie dobrze dla ludu Karolyi, że pan uszedł z życiem, wasza wysokość. - Lord Everleigh wpił spojrzenie w regenta.

- Istotnie miałem szczęście - przyznał ksiązę.

- Dużo większe niż pozostali członkowie pańskiej rodziny. -

Wysłannik nawet nie mrugnął powieką, zadając pytanie: - Jak to możliwe, wasza wysokość?

Twarz księcia pokryły jaskrawoczerwone plamy.

- Słucham?

-Anarchiści zwykle zabijają wszystkich członków rodziny królewskiej - stwierdził Everleigh. - Na ogół nie zostawiają przy życiu nikogo, kto ma prawo do tronu. - Umilkł dla większego efektu. - Nasza królowa darzyła księcia Christiana i księżną May najwyższym szacunkiem oraz głębokim uczuciem. Pragnie honorować sojusz naszego kraju z Karolyą i pomóc waszemu rządowi w odnalezieniu księżniczki Giany...

- To nie będzie konieczne - oświadczył pośpiesznie regent. - Dziękujemy jej królewskiej mości za wspaniałomyślną propozycję, ale sami poradzimy sobie z negocjacjami w sprawie bezpiecznego powrotu księżniczki Giany.

- Więc znaleźliście przywódcę anarchistów? Victor się zawahał.

-Nie.

- Więc z kim będziecie negocjować?

- Anarchiści sformułowali swoje żądania.
- Tak? - Lord Everleigh zacisnął usta. - Nie wiedzieliśmy...
- Przedstawili je w demokratycznej prasie.
- Rozumiem. Sądziłem, że wydawanie demokratycznej prasy w Karolyi zostało zawieszono po morderstwach, żeby jeszcze bardziej nie wzburzyć obywateli zniknięciem następczyni tronu.

- Oficjalna gazeta chwilowo przestała się ukazywać, ale wydajemy biuletyny informujące o poszukiwaniach naszej ukochanej księżniczki. Anarchiści skontaktowali się z wydawcą i ogłosili swoje żądania. Zapewnili, że następczyni tronu żyje i jest bezpieczna. Oczywiście wydawca natychmiast zwrócił się do żandarmerii wojskowej.

- Dlaczego do żandarmerii wojskowej?

- Bo w Karolyi obowiązuje stan wojenny do czasu zakończenia negocjacji i powrotu księżniczki.

- Rozumiem. - Lord Everleigh pokiwał głową. - I czego zażądali anarchiści?

- Żeby do Karolyańskiej Karty nie dodawać Deklaracji Praw dla Mas i przekazać im na własność, jako przedstawicielom ludu, tutejsze złoża rud żelaza.

- Dziwne. Można by sądzić, że anarchiści poprą wszelkie inicjatywy mające na celu zapewnienie podstawowych praw zwykłym ludziom. - Wysłannik zmierzył regenta wzrokiem. - Więc chcą wymienić księżniczkę na złoża żelaza?

-Tak.

- Nie zazdroszczę waszej wysokości. To trudna decyzja dla władcy. - Współczucie w głosie Anglika brzmiało szczerze. - I brzemienne w skutki, jeśli chodzi o przyszłość Karolyi.

- Najważniejsze dla nas wszystkich jest życie księżniczki. - Regent nawet nie drgnął, patrząc dyplomacie w oczy.

- Można przypuszczać, że sprzedaż złóż żelaza przyniosłaby ogromne zyski.

- Istotnie - przyznał Victor, zerkając na swoją prawą dłoń. Lord Everleigh poszedł za jego spojrzeniem.

- Jest bardzo dużo do stracenia.

- Będzie dobrze. - Gospodarz posłał Anglikowi promienny uśmiech. - Nasza kuzynka z pewnością zostanie odnaleziona, a lud oraz parlament zjednoczą się i staną murem za nowym władcą. Mam nadzieję, że właśnie taki obraz przekaże pan jej królewskiej mości.

- Oczywiście, wasza wysokość. Będę szczęśliwy, mogąc zapewnić władczynię, że całkowicie panuje pan nad sytuacją w Karolyi i czyni wysiłki zmierzające do uwolnienia księżniczki Giany.

- Czy taki raport ucieszy jej wysokość? Lord Everleigh się uśmiechnął.

- Jestem pewien, że lord Templeston i jej wysokość będą zadowoleni, gdy usłyszą, że nie muszą się martwić o przyszłość Karolyi. Pańskie zapewnienia nie pozostawiają wątpliwości, kto jest odpowiedzialny za haniebne i tchórzliwe akty wymierzone przeciwko Koronie. Królowa i jej najbardziej zaufany doradca poczują ulgę, gdy im przekażę, że okazał się pan groźnym przeciwnikiem...

Victor zrobił krok w stronę gościa.

- Anarchistów - dokończył lord Everleigh i potrząsnął głową. - Jeszcze trudno mi uwierzyć, że ktoś tak bliski księciu Christianowi i księżnej May jest zdolny do zdrady. I nie umiałbym wyobrazić sobie Maximilliana Gudruna w roli przywódcy anarchistów. Nie pomyślałbym, żeby wskazać na niego palcem. Ale pan, wasza wysokość, przedstawił mi całą sprawę we właściwym świetle.

-Tak?

- Tak. Rzadko się myślę co do ludzkich charakterów. -Wysłannik złożył ukłon.

- Cieszymy się, że mogliśmy pomóc. - Regent uśmiechnął się szeroko.

- Jej królewska mość będzie bardzo zadowolona, że okazał się pan tak pomocny.

- Od razu wyśle pan raport, lordzie Everleigh?

- Następną pocztą. Książę Victor skinął głową.

- Jeśli to już wszystko...

- Jeszcze jedno. -Tak?

- Wyznam, że dręczy mnie ciekawość, co przydarzyło się temu małemu złoconemu stolikowi. Gdy tutaj siedłem, wydawało mi się, że słyszę trzask... - Lord Everleigh wskazał głową na zniszczony mebel. Regent pozwolił sobie na wzruszenie ramionami.

- Chyba się pan pomylił. W noc, kiedy moi wujostwo zostali zamordowani, anarchiści wpadli również do tego skrzydła pałacu i je zdemolowali. Do dzisiejszego spotkania pomieszczenie stało

zapięczętowane. Nie wiedzieliśmy, że jeszcze nie uprzątnięto go do końca.

Wysłannik rozejrzał się po pokoju. Nie licząc przewróconego stolika, panował tu nienaganny porządek. Jeśli anarchiści próbowali zdewastować salę recepcyjną, zachowali daleko idący umiar. Nie stłukli porcelany, nie pocięli obrazów, nic nie ukradli.

- Dziękuję, że zaspokoił pan moją ciekawość.

- Miłego dnia - powiedział księżę Victor.

Lord Everleigh uklonił się i wycofał z szacunkiem.

Po upływie trzech kwadransów markiz Everleigh siedział przy biurku w brytyjskiej ambasadzie i pisał raport. Później miał się spotkać osobiście z królową, ale najpierw musiał przekazać markizowi Templeston szczegóły audiencji u obecnego władcy Karolyi.

- Lord Everleigh? Nie przeszkadzam? Wysłannik podniósł wzrok i zobaczył stojącego w drzwiach brytyjskiego ambasadora w Karolyi.

- Nie. Proszę wejść, Sissingham.

- Jak poszło?

Everleigh odłożył pióro i zaprosił ambasadora, żeby usiadł i poczęstował się herbatą.

- Sądzę, że właściwie ocenił pan sytuację. Sissingham uniósł brew.

- Więc pan się ze mną zgadza?

- Oczywiście. Nie ma żadnych anarchistów.

- Nabraliśmy podejrzeń, gdy dotarły do nas pogłoski, że książę Victor podburza młodych mężczyzn z klasy rządzącej przeciwko księciu Christianowi, konstytucji i Deklaracji Praw dla Mas.

- Wasze podejrzania okazały się uzasadnione - stwierdził Everleigh poważnym tonem. - Książę Victor zagarnął tron wuja.

- Wie pan, co się stało z księżniczką Giana? Markiz potrząsnął głową.

- Regent to człowiek zdesperowany. Za wszelką cenę chce zachować koronę, którą ukradł wujowi, a potem kuzynce.

- Myśli pan, że to on przetrzymuje księżniczkę? - zapytał Sissingham.

Everleigh zastanawiał się przez chwilę.

- Nie sądzę. Nie nosi królewskiego sygnetu. Ambasador był pod wrażeniem.

- Zauważył pan.

- Victor nie wyglądał na zdenerwowanego, ale wciąż zerkał na prawą dłoń. Przypomniało mi się, że kiedy książę Christian wymieniał ze mną uścisk dłoni w Genewie, jego sygnet wbił mi się w palec. Książę przeprosił, mówiąc, że rzadko ściska ręce właśnie ze względu na pieczęć. Roześmiał się i dodał, że w Genewie zrobił wyjątek, bo na spotkaniu poświęconym zmianom w Europie nie chciał uchodzić na wyniosłego monarchę starej daty. Victor nie nosi królewskiego sygnetu.

- Miał pan okazję przeczytać Karolyańską Kartę?

- W czasie podróży z Londynu.

- Więc pan wie, że Victor nie zasiądzie na tronie, jeśli nie będzie przestrzegał praw sukcesji. Nie może się ożenić, póki nie minie tradycyjny okres żałoby po poprzednim władcy, a nie może zostać koronowany, póki się nie ożeni.

- Tradycyjny okres żałoby to jeden rok - powiedział Everleigh. - Regent może rządzić jeszcze siedem miesięcy, nim zażąda się od niego, żeby poślubił księżniczkę karolyańskiej krwi.

- Jedynymi księżniczkami karolyańskiej krwi są siostry Victora i Georgiana.

- Żeby dostać tytuł księcia Victora IV Saxe-Wallerstein-Karolya, regent musi ożenić się z księżniczką Giana albo przedstawić dowód jej śmierci i pokazać królewską pieczęć. - Lord Everleigh przeczesał włosy palcami. - Jest zdecydowany ją znaleźć.

- Tak jak my - stwierdził Sissingham.

- Tak, ale on chce korony i złóż żelaza. Nam zależy na bezpiecznym powrocie księżniczki i przejęciu przez nią tronu.

-Jakie szkody może Victor wyrządzić krajowi w ciągu sześciu miesięcy?

- Jeśli znajdzie kuzynkę przed nami, zmusi ją do małżeństwa.

- Nie sądzę, żeby księżniczka chętnie poślubiła mordercę swoich rodziców - stwierdził Sissingham.

- Przypuszczam, że w normalnych okolicznościach również. Ale to nie są normalne okoliczności. Jeśli gdzieś ją przetrzymują, może nie wiedzieć, kto ją więzi i kto jest odpowiedzialny za śmierć jej rodziców. A jeśli sama się ukrywa i Victor ją znajdzie, dziewczyna

może nie mieć wyboru. Małżeństwo mimo wszystko jest lepsze od śmierci. Sissingham zmarszczył brwi.

- Nawet jeśli Victor postanowi nie zenić się z kuzynką, może ją zmusić do oddania sygnetu...

- Oczywiście zakładamy, że ona nadal żyje i że ma pieczęć. I że chce odzyskać koronę.

Everleigh zamyślił się, stukając palcem po wardze.

- Możemy spróbować negocjacji - odezwał się ambasador.

- Z wymyślanymi anarchistami?

- Z Victorem.

Wysłannik spojrzał na niego z ukosa.

- Proszę mnie wysłuchać - powiedział Sissingham. Everleigh skinął głową.

- Przypuśćmy, że następczyni tronu się ukrywa i że ceną za jej wolność jest podpis na dokumentach przyznających prawa do karolyańskiego drewna oraz rud żelaza. Istnieje szansa, że Georgiana wyjdzie z ukrycia?

- A jak pan myśli? Zważywszy to, że wszystkie gazety w Europie, łącznie z Timesem, donoszą na bieżąco o poszukiwaniach zaginionej księżniczki przez regenta?

Ambasador zmarszczył brwi.

- A jeśli obiecujemy ją chronić?

- Możemy obiecać, ale nie wiem, czy jesteśmy w stanie zapewnić jej bezpieczeństwo, w razie gdyby Victor nasłał na nią

zabójców. A nawet jeśli negocjacje się powiodą, jakie jest prawdopodobieństwo, że książę Victor będzie honorował umowę?

- Żadne - przyznał Sissingham. - Jej życie będzie zagrożone.

- Właśnie. Victor zostanie władcą tylko wtedy, gdy poślubi księżniczkę albo ją zabije. Pan lepiej ją zna niż ja. Myśli pan, że dziewczyna jest na tyle wyrobiona politycznie lub inteligentna, żeby dojść do takich samych wniosków jak my?

Ambasador pokiwał głową.

- Tak. Szczególnie jeśli jest z nią Maximillian Gudrun.

- Przypuśćmy, że ona żyje i że towarzyszy jej lord Gudrun.

Dokąd by pojechali? Czy w Europie ma jakiegoś krewnego, któremu mogłaby zaufać?

Sissingham spojrzał w oczy wysłannikowi.

- Księżna May była jedynaczką i cała jej rodzina, z wyjątkiem dalekich kuzynów, już nie żyje. Jedynym bliskim krewnym Georgiany jest książę Victor, jego matka, trzy siostry i dwaj młodsi bracia.

- Nie zwróciłyby się do nich. A nawet gdyby, wątpię, żeby któreś z nich ukryło ją przed Victorem. - Lord Everleigh westchnął - A co z ciotką? Ze starszą siostrą księcia Christiana?

- Księżniczka Pauline mieszka w klasztorze świętej Teresy koło Salzburga.

- Czy Giana mogłaby tam szukać schronienia? Ambasador wzruszył ramionami.

- Nie sędzę. Kobiety szukające schronienia w sanktuarium świętej Teresy mogą tam zostać jedynie wtedy, gdy zamierzają

wstąpić do klasztoru. Księżniczka Giana nie ma bliskich krewnych, do których mogłaby, się zwrócić o pomoc, nie licząc rodziny Victora i kilku kuzynów wżenionych w inne królewskie rody Europy

- Które negocjują z Karolyą w sprawie rudy żelaza i drzewa i mogą być w zмовie z Victorem - dodał Everleigh.

- Pozostaje jej matka chrzestna, nasza miłosciwa królowa.

- Która przebywa w Windsorze.

- Jeśli Victor szuka kuzynki, na pewno wysłał ludzi do Londynu.

- A Szkocja? W sierpniu królowa jak co roku pojedzie do Balmoral. Myśli pan, że księżniczka Giana wie o tym zwyczajnie?

- Oczywiście, że tak. Ona i jej rodzice odwiedzali królową w Balmoral. Victor również.

- To prawda. Ale gdybym był księżniczką Gianą i ukrywał się przed wrogami, zrobiłbym wszystko, żeby uzyskać audiencję u Osoby, której mógłbym zaufać, i wiedziałbym, że mnie obroni, czyli u swojej matki chrzestnej, królowej Anglii.

- A dużo łatwiej uzyskać audiencję u jej wysokości w Szkocji niż w Windsorze...

- Myślę, że powinniśmy rozpocząć dyskretne śledztwo w miastach i wioskach leżących w odległości dnia drogi od Balmoral.

Niedaleko ambasady, w christianberskim pałacu, książe Victor Lucien wezwał swojego sekretarza.

- Znajdź mi złotnika.

- Sir?

- Znajdź złotnika - powtórzył regent. - I wysoką blondynkę podobną do naszej księżniczki. - Wskazał na miniaturę Giany stojącą na biurku księcia Christiana. - Weź portret dla porównania.

- Nie rozumiem.

- Co tu jest do rozumienia? Wydaliśmy rożka i oczekujemy, że go wypełnisz. Brytyjski rząd depta nam po piętach. Czas ucieka. Potrzebujemy karolyańskiej pieczęci stanu, a skoro nie możemy znaleźć oryginalnej, musimy wyprodukować kopię. To samo dotyczy księżniczki.

„Szlachetny Baron to bystry człowiek, który zawsze panuje nad otoczeniem”.

- *„Pierwsza część prawdziwych przygód Szlachetnego Barona, dobroczyńcy pięknych, zdradzonych blondynek”, spisanych przez Johna J. Bookmana, 1874.*

- Obudź się, chłopcze, bo przegapisz śniadanie.

O'Brien wpadł do sypialni pana domu z tacą, na której stał dzbanek herbaty, czajnik z wrzącą wodą, filiżanka i spodek. W drugiej ręce trzymał spodnie, przez ramię miał przewieszoną białą płócienną koszulę. Postawił tacę na stoliku obok łóżka i cisnął przyjacielowi ubranie.

Adam zdjął koszulę z twarzy i usiadł.

- Która godzina?

- Wpół do siódmej.

Murphy nalał herbaty i podał mu filiżankę, a następnie wziął czajnik i napełnił miednicę gorącą wodą.

- A ty? - zapytał burkliwie McKendrick, łypiąc na przyjaciela, po którym nie widać było skutków nocnego pijaństwa.

- Już piłem herbatę.

- Dlaczego jesteś tak wcześnie na nogach? Kazałem podawać śniadanie o wpół do ósmej.

- Służba je przed rozpoczęciem dnia pracy - wyrecytował O'Brien. - W dobrze prowadzonym domu lokaj wstaje razem z resztą personelu, żeby przygotować się do obudzenia swojego pana.

- Czy to był temat porannego wykładu?

- Tak.

- I wytrzymałeś?

- Przecierpiałem. Muszę być dobrym lokajem. Adam łyknął herbaty i skrzywił się, kiedy gorący słodki płyn zapiekł go w gardło. Wyraźnie pamiętał, jak pytał kucharkę, czy potrafi parzyć kawę. Jeśli ktoś wkrótce nie nauczy jej tej sztuki, będzie musiał zrezygnować z ulubionego napoju i przywyknąć do paskudnego ulepku, który przysyłała mu każdego ranka... albo znaleźć inną kucharkę.

- Gdzie muszę pójść, żeby dostać filiżankę kawy?

- Do Kinlochen.

- Dlaczego?

- Bo w porządnym domu podaje się herbatę.

- Nie zależy mi na opinii. Chcę kawy! Potrzebuję kawy! I ty również. Spałeś nie więcej niż trzy godziny.

- Raczej dwie. Ale twój dom funkcjonuje gładko. Pytanie, dla czyjej wygody. Bo nie Adama McKendricka

- Istotnie - potwierdził Adam. - Najwyższa pora, żeby coś z tym zrobić.

O'Brien się uśmiechnął.

McKendrick przerzucił nogi przez brzeg łóżka, a nadal okrywał się kołdrą. Był nagi, nie licząc ciemnych wełnianych skarpet.

- Nie zdjąłeś skarpet.

- Oczywiście, że nie. Tu jest zimno jak w psiarni

Posiał Murphy'emu ponure spojrzenie. - Więc wyjdź, żebym mógł się ubrać, nim zamarznię.

- Dobry lokaj pomaga pracodawcy w ubieraniu.

- Sam potrafię się ubrać. Robię to od lat. I sam wezmę sobie śniadanie. Ty możesz iść do łóżka.

- I przegapić dobrą zabawę, kiedy będziesz krzyczał na służbę. Nigdy w życiu.

- Miej choć tyle przyzwoitości, żeby się odwrócić. O'Brien spełnił prośbę.

Adam wstał z łóżka, włożył spodnie i koszulę. Następnie podszedł do umywalki i zanurzył ręcznik w gorącej wodzie. Sięgnął po brzytwę i naostrzył ją na pasku. Potem ją odłożył i przytknął parujące płótno do twarzy.

- Aach!

Zamknął oczy i pozwolił, żeby ciepło wniknęło w pory, zmiękczyło zarost, rozjaśniło w głowie.

-Mam panu pomóc w goleniu; sir? - O'Brien nie zdołał powstrzymać się od uśmiechu.

- Może cię zaskoczę, ale sam potrafię się golić i ubierać. Adam zanurzył pędzel w gorącej wodzie, a potem w kubku z sandałowym mydłem. Zrobił z niego wonną pianę i spojrzął w lustro.

- To ty mnie oskarżyłeś, że jestem lokajem. Murphy, który codziennie robił sobie z tego powodu żarty, podszedł do szafy, wyjął z jednej szuflady kołnierzyk i krawat, z drugiej kamizelkę, a następnie przejrzał surduty. Wybrał dwa: ciemnozielony i wrzosowy z tweedu.

- Nie oskarżyłem cię, że jesteś lokajem - sprostował Adam. -
Powiedziałem, że Isobel uznała cię za mojego służącego.

Zerknął na surduty.

- Mogłeś wyprowadzić ją z błędu - rzekł O'Brien.

- Próbowałem, ale mi nie uwierzyła, bo przyjechałeś powozem pełnym nowych i drogich bagaży, a jej zdaniem mógł to zrobić tylko lokaj. Ty postanowiłeś ciągnąć maskaradę dalej.

Adam skończył się golić, włożył kołnierzyk i krawat.

- I jestem w tym coraz lepszy, nie sądzisz? Jednolity czy tweedowy?

McKendrick sięgnął po brązową kamizelkę, która ładnie kontrastowała z płowozółtymi spodniami.

- Tweedowy.

O'Brien zdjął surdut z wieszaka i podał go przyjacielowi, a następnie tak ustawił lustro, żeby Adam mógł się obejrzeć.

McKendrick przeczesał włosy ręką i zaśmiał się do swojego odbicia.

- I co? Jak wyglądam? Murphy uśmiechnął się szeroko.

- Jak lord, który właśnie ma odzyskać swoją posiadłość.

- Dzień dobry, sir - powiedział Albert.

- Dzień dobry.

Adam wziął talerz z kredensu, nałożył na niego jedzenie z podgrzewanych naczyń i usiadł przy stole.

Albert postawił obok niego napełnioną filiżankę McKendrick ją odsunął.

- Nie pijam herbaty.

Kamerdyner zaniósł filiżankę z powrotem na kredens, a po chwili wrócił do stołu z gorącą czekoladą. Adam zmarszczył brwi.

- Nie chcę czekolady. - Spojrzał na sługę. - Wolę kawę. Albert potrząsnął głową.

- Nie ma kawy.

- Dlaczego? Pijam kawę. Gorącą i czarną. Każdego ranka. Nie herbatę. Nie czekoladę. Kawę!

Wiedział, że mówi jak rozkapryszone dziecko, ale nadeszła pora, żeby pokazać, kto tu jest panem domu.

- Nie ma kawy - powtórzył Albert.

- Więc poszukaj - rzekł McKendrick, podnosząc głos. - Czy człowiek we własnym domu nie może dostać filiżanki kawy?

W tym momencie nadbiegł Maximillian Langstrom.

- Dzień dobry, sir.

Adam skinął mu głową. Miał nadzieję, że Max wytłumaczy bratu proste, ale na ogół ignorowane polecenia pana domu.

- Przyszła poczta z Londynu - poinformował go sekretarz. - Położyłem ją na biurku w pańskim gabinecie, a gazety pozwoliłem sobie dać Albertowi do wyprasowania.

Zwrócił się do kamerdynera w języku, którego Adam nie rozumiał. Albert pokiwał głową.

- Brat mówi, że dobrze je wyprasował, tak że nie pobrudzi pan sobie rąk albo ubrania tuszem. Leżą na pańskim biurku. Mam nadzieję, że jest pan zadowolony.

McKendrick się uśmiechnął.

- Prawdę mówiąc, to pierwsza rzecz, z której jestem zadowolony.

- Sir?

Adam zaczekał, aż zegar na kominku wybije siedem razy, po czym skupił uwagę na prywatnym sekretarzu.

- Jest siódma rano.

- Tak, sir - odparł Max ze zdziwieniem.

- Więc dlaczego siedzę przy śniadaniu? Przecież poleciłem, żeby je podawano wpół do ósmej.

- W domu wszystko toczy się zgodnie z rozkładem - odparł szybko Max.

- Owszem, ale nie powinno się to dziać kosztem właściciela. Jem jajecznicę, bo nie lubię cynaderek, krwawej kiszki ani pardwy, a nie dostałem steku, który zamówiłem. Podobnie jak kawy, którą zawsze pijam.

- Sir?

- W tym domu wszystko ma być tak, żeby mnie to odpowiadało - oświadczył Adam stanowczym tonem. - Mnie. Adamowi McKendrickowi. Nikomu innemu. Czy to jasne?

- Tak. Ale nie rozumiem powodu pańskiego niezadowolenia, sir.

- Max wahał się przez chwilę. - Nie licząc niefortunnego wypadku jej wys... Giany z porcelaną, w domu wszystko się dzieje zgodnie z pańskim życzeniem.

- Naprawdę? - Adam dokończył jajecznicę, odłożył widelec i wstał od stołu. - Zobaczmy.

- Sir? - Max był wyraźnie skonsternowany.

- Zaczniemy od kuchni. - McKendrick wyszedł z jadalni i ruszył korytarzem w stronę kuchni. Na widok obcego mężczyzny, najwyraźniej Francuza, zatrzymał się w progu. - Gdzie jest pani Dunham, którą pani Langstrom zatrudniła na moje polecenie?

- Pani Dunham to miejscowa kobieta i zna się tylko, na miejscowym jedzeniu - wyjaśnił Max. - Nie potrafi gotować we francuskim stylu.

- Wiem. Gotowała dobre, proste, solidne potrawy . Właśnie dlatego kazałem ją zatrudnić.

- Na pewno jest doskonałą kucharką, ale jedzenie, które przygotowywała, nie odpowiadało jej wys... nam wszystkim. Służyliśmy u hrabiny Brocavii, która szczyliła się doskonałą kuchnią. To dlatego Isobel, to znaczy pani Langstrom, znalazła monsieur Henri'ego.

W Adamie zawrzał gniew.

- Henri! -Oui?

- Mówisz po angielsku?

- Non.

McKendrick wziął głęboki oddech i wolno policzył do dziesięciu, a następnie zapytał szefa kuchni, czy potrafi parzyć kawę.

- Oui, ale tu nie ma kawy.

- Proszę ją zdobyć albo poszukać sobie innej posady, bo od tej pory oczekuję co rano dzbanka kawy. Zrozumiano?

Francuz pokiwał głową.

- Oui.

Adam przeniósł wzrok na sekretarza.

- Proszę odnaleźć panią Dunham i zatrudnić ją z powrotem.

- A jak wyjaśnię to Henri'emu?

- Proszę wyjaśnić, że od tej pory będą dzielić się obowiązkami.

Na śniadanie oczekuję różnych szkockich i francuskich specjałów.

Pani Dunham zajmie się szykowaniem obiadów, a Henri - kolacji i deserów. Larchmont Lodge zaoferuje swojemu właścicielowi, gościom i personelowi duży wybór potraw.

- Szef nie będzie szczęśliwy - ostrzegł Maximillian. - On woli rządzić w kuchni.

- A ja lubię rządzić w swoim domu - oświadczył McKendrick. - Jeśli nie potrafisz go prowadzić, nie zmieniając samowolnie moich rozkazów, znajdę sobie inny personel.

To powiedziawszy, wymaszerował z kuchni i długim krokiem ruszył do biblioteki.

Sekretarz następował mu na pięty.

- Sir?

- To wszystko, Max.

- Ale, sir...

Chryste, Adam miał już dość sabotowania wszystkich jego poleceń.

- Proszę wyjść, Max - powiedział, siłąc się na spokój. -
Potrzebuję kilku minut samotności.

Langstrom już miał zaprotestować, ale McKendrick go uprzedził.

- Może popełniłem błąd, że nie wyjaśniłem celu remontu Larchmont Lodge. Zamierzam otworzyć klub dla dżentelmenów. Miejsce odpoczynku dla mężczyzn bogatych i wpływowych: biznesmenów, arystokratów, ludzi ; władzy z całego świata. Będą tutaj przyjeżdżali, żeby...

Urwał raptownie, bo wydawało mu się, że słyszy cichy odgłos, który zabrzmiał tak, jakby ktoś gwałtownie zaczerpnął oddechu. Odwrócił się w kierunku, skąd dochodził, i na dywanie za skórzaną kanapą dostrzegł trójką czarnego jedwabiu, I znowu do jego uszu dobiegł ten sam ledwo słyszalny dźwięk. Adam przygryzł: wewnątrz policzka, żeby się nie uśmiechnąć.

Sekretarz zbladł.

- Czy dobrze rozumiem, że zamierza pan otworzyć podwoje Larchmont Lodge przed obcymi? - spytał. -

Mówił tak, jakby McKendrick właśnie oznajmił, że planuje zamordować królową.

- Zamierzam otworzyć drzwi Larchmont Lodge przed dobrze płacącymi osobistościami. - Choć budowa pola golfowego miała potrwać jeszcze sześć miesięcy, Adam postanowił w tygodniu regat w Cowes zaprosić kilku wybranych gości, żeby obejrżeli posiadłość. - Najlepszy sposób, żeby przekształcić tę kupę kamieni w dochodowy

interes, to stworzyć miejsce, gdzie bogaci i sławni będą mogli odpocząć z dala od codziennych trosk. Mam nadzieję, że zechcą tu przyjeżdżać łowić ryby, jeździć konno, spacerować po wrzosowiskach, grać w golfa albo w karty i czytać. Już wysłałem zaproszenia na tydzień, kiedy odbywają się regaty w Cowes. Nie musisz obawiać się najazdu hołoty, Max. Tacy ludzie nie będą mogli sobie pozwolić na wakacje w Larchmont. - Zaczekał, aż prywatny sekretarz odzyska kolory, po czym odprawił go gestem ręki. -
Dziękuję, to wszystko.

Zamknął drzwi biblioteki tuż przed wypolerowanymi czubkami butów Langstroma. Przekreślił klucz w zamku, zacisnął powieki i oparł czoło o chłodną, drewnianą powierzchnię. Cały był obolały po wielu godzinach spędzonych na doglądaniu robót oraz na nauce golfa. Bo jaki sens budować pole golfowe, żeby zwabić bogatych i wpływowych, skoro sam nie mógłby z nimi grać? W głowie mu dudniło z nadmiaru whisky, niewyspania i braku kawy. Odsunął się od drzwi i spojrzał na kanapę.

Potem zerknął na biurko, na którym leżała korespondencja i plik starannie wyprasowanych gazet. Powinien przejrzeć listy, ale nie mógł się skoncentrować. Musiał przyznać, że miękka sofa dużo bardziej go pociąga. Krótka drzemka dobrze by mu zrobiła. Przecież nie zamierzał wstawać tak wcześnie. Był jednak pewien kłopot. Co z George? Ukrył ziewnięcie, po czym schował klucz do kieszeni kamizelki i wyciągnął się na kanapie. To dziewczyna jest intruzem. Niech czeka. On zamknie oczy tylko na kilka minut...

„Księżniczka królewskiego rodu Saxe-Wallerstein-Karolya szanuje prywatność i własność swoich poddanych”.

- Zasada 803 protokołu i etykiety dworskiej rodu Saxe-Wallerstein-Karolya, zatwierdzonych przez jaśnie oświeconego księcia Christiana I, 1864.

Giana oparła się o tył skórzanej kanapy i jeszcze raz przeczytała artykuł wydrukowany na pierwszej stronie londyńskiego Timesu. Wstrząśnięta śmiercią ich książęcych wysokości Christiana i May Saxe-Wallerstein-Karolya z rąk anarchistów, królowa Wiktorja wysłała posła do Christianbergu, stolicy Karolyi, żeby pomógł regentowi, księciu Victorowi, w tropieniu morderców i negocjowaniu powrotu jej wysokości księżniczki Georgiany, którą wzięto jako zakładniczkę i obecnie przetrzymywano dla okupu. Sądono, że anarchiści są w zмовie z osobistym sekretarzem nieżyjącego władcy.

Zobaczyła gazetę, kiedy sprzątała gabinet McKendricka, i choć nauczono ją panować nad ciekawością i nie zaglądać do oficjalnych dokumentów zwykle leżących na wielkim biurku jej ojca, nie mogła zlekceważyć artykułu o swojej rodzinie. Zwłaszcza że chodziło o jej przyszłość oraz los ludzi, którzy ryzykowali życie, żeby ją uratować.

Giana przełknęła łzy i stłumiła szloch. Kuzyn oskarżył Maxa o zмовę z anarchistami, którzy rzekomo zamordowali jej rodziców, a ją porwali! Ale spiskowcy byli wytworem jego wyobraźni. Victor zabił władców Karolyi i próbował dopaść następczynię tronu, a teraz uzyska pomoc królowej Wiktorji w jej odnalezieniu.

Giana zerknęła na datę. Gazeta pochodziła sprzed ponad dwóch tygodni i choć leżała na wierzchu sterty, nie wiadomo było, czy jest najświeższa. McKendrick zjawił się, nim księżniczka zdążyła przejrzeć resztę prasy. Chwyciła Timesu i schowała się za kanapę, żeby go przeczytać. Nie zamierzała podsłuchiwać ani zaniedbywać domowych obowiązków, ale nie mogła nie usłyszeć rozmowy.

A słowa właściciela domu wstrząsnęły nią nie mniej niż artykuł. Nie zdołała powstrzymać gwałtownego oddechu, który omal nie zdradził jej obecności. Adam McKendrick zamierzał otworzyć Larchmont Lodge dla bogatych ludzi. Czas uciekał. Regaty miały się odbyć za kilka tygodni. Zrozumiała, że jeśli nie wymyśli jakiegoś sposobu dotarcia do Balmoral albo nie opóźni przybycia pierwszych gości, utraci kryjówkę.

Przygryzła wargę. Lord Gudrun również był przerażony wieścią. I pomyśleć, że jedyne bezpieczne miejsce, jakie znaleźli, miało stać się azylem dla tych samych ludzi, przed którymi uciekli! Musiała naradzić się z Maxem i resztą świty, zanim wszyscy wpadną w panikę. Należało ułożyć plan działania.

Niestety nie mogła zrobić nic, póki nie wydostanie się z biblioteki, nie budząc gospodarza. Giana zacisnęła zęby i spojrzała w sufit. Nie oczekiwała, że McKendrick wyjdzie razem z Maxem, ale on zatrzaskał mu drzwi przed nosem i uciał sobie drzemkę! Cóż to za pomysł, żeby spać zaraz po śniadaniu?

Złożyła gazetę najciszej, jak zdołała, i schowała ją pod spódnicą, wsuwając za tasiemkę pantalonów. Nie podobało się jej, że bez

pytania pożyczą cudzą własność, ale musiała pokazać artykuł Maxowi, podzielić się swoimi obawami z jedyną osobą, która miała do stracenia tyle samo co ona. Wzięła głęboki oddech, zebrała się na odwagę i cicho wstała zza kanapy.

McKendrick... Adam spał mocno. Oddychał głęboko i równo. Giana wiedziała, że powinna iść dalej, ale nie mogła się powstrzymać, żeby na niego nie spojrzeć. Na mężczyznę, który pierwszy raz ją pocałował.

Spodobało się jej, jak ciemne rzęsy rzucają cienie na jego policzki, a nozdrza poruszają się lekko przy oddechu. A szczególnie rozchylone usta. Dolna warga była wydatniejsza niż górna, ale obie pięknie wykrojone. Dobrze pamiętała ich smak i dotyk. Pochyliła się niżej.

Z trudem zwalczyła pokusę, obrzuciła Adama ostatnim spojrzeniem i ruszyła przez bibliotekę. Minęła biurko i półki z książkami, sięgnęła do mosiężnej klamki.

Drzwi się nie otworzyły, a w dodatku Giana stwierdziła, że zniknął klucz. Ukucnęła i obmacała dywan. Ani śladu. Była zamknięta w bibliotece z Adamem McKendrickiem. Nie mogła uciec... zresztą sama nie wiedziała, czy tego chce. Lecz rozsądek nakazywał jej działać.

Wróciła na palcach do biurka i zaczęła szukać klucza. Przejrzała wszystkie szuflady. Nigdy nie myszko-, wała w cudzych rzeczach. Na samą myśl, że narusza czyjąś prywatność, poczuła się nieswojo. Co gorsza, nie udało się jej znaleźć zguby.

- Skoro klucza nie było na biurku, musiał znajdować się przy McKendricku. Giana bezszelestnie zbliżyła się do sofy i uklękła. Ostrożnie włożyła rękę pod jego surdut.

Adam jęknął przez sen i poruszył głowę. Następnie przesunął dłonią po kamizelce i napotkał jej rękę. Zacisnął palce wokół nadgarstka.

- Szuka pani czegoś, panno Langstrom? Zaskoczona Giana odskoczyła gwałtownie, prosto na niewielki stolik. -Och!

Próbowała ratować wazon na kwiaty, ale Adam okazał się szybszy. Sięgnął za głowę i przytrzymał kryształowe naczynie.

- To zamach na mnie? - spytał ze śmiechem. - Czy ma pani coś przeciwko kruchym przedmiotom w tym domu?

Chwycił ją za rękę, żeby nie wyrzuciła więcej szkód.

- Zwykle nie jestem niezdarna. Robię się taka przy panu.

Szczera odpowiedź zaskoczyła Adama. Kiedy George próbowała zabrać rękę, nie puścił jej. Przesunął wzrok na piersi rysujące się pod białym płótnem fartucha. Były wspaniałe.

- Dlaczego, panno Langstrom?

- Chyba dlatego, że pan mnie pocałował. Adam uniósł brew.

- Wcześniej też pani tłukła porcelanę.

Giana odpowiedziała tajemniczym uśmiechem. A pan jak sądzi, panie McKendrick?

- Chyba stara się pani zwrócić moją uwagę. Ma pani nadzieję, że znowu ją pocałuję.

Giana już chciała zaprotestować, ale nie potrafiła skłamać. Milczała, wdychając znajomą woń drzewa sandałowego. Uwielbiała ten zapach. Lubiała też zaczepki McKendricka.

Adam popatrzył na jej rozchylone usta, kuszące, idealne do całowania.

- Czy dlatego zamknęła się pani ze mną w bibliotece?
- To nie ja zamknęłam drzwi, tylko pan. Szukałam klucza.
- Co pani tutaj robiła?

Lekko pociągnął ją za rękę. Giana straciła równowagę i upadła do przodu, na jego pierś.

- Jestem tu uwięziona..

McKendrick posłał jej szelmowski uśmiech.

- Istotnie. Pytanie brzmi: dlaczego?

Jej niebieskie oczy rozszerzyły się z zaskoczenia.

- O co chodzi? - zapytał Adam, kładąc dłonie na jej talii i przyciągając ją do siebie. - Przycięła sobie pani język?

Odnalazł jej wargi.

Jego ciepło przeniknęło przez jedwab, ale nie mogło się równać z żarem natarczywych ust. Gianę przeszył miły dreszcz.

Adam głaskał jej plecy, ale przeszkadzał mu materiał sukni. Pragnął poczuć gładkość skóry, pieścić ją, sprawdzić ciężar cudownych piersi. Przesunął dłonie na jędrne pośladki, na tylną część ud. Sięgnął pod spódnicę, wsunął palce pod koronkową bieliznę, pogłaskał nagie kolano.

Dwa guziczki wpijające się w tors doprowadzały go do szaleństwa. Adam na chwilę przestał całować Gianę i odwrócił ją na plecy. Następnie przywarł ustami do jej szyi tuż pod uchem.

Giana gwałtownie wciągnęła powietrze. Była rozpalona, brakowało jej tchu, w głowie się kręciło. Jęknęła cicho.

Adam potraktował to jako zachętę. Stał się śmielszy, powędrował dłonią w górę uda.

Słyszając lekki szelest, Giana odsunęła się raptownie. Przypomniała sobie o schowanej gazecie.

- Co pan robi? - wykrztusiła. Adam zabrał rękę.

- Chciałbym cię rozebrać i dotykać całej. Spędzić na tym resztę poranka.

- Jeszcze nikt mnie nie rozbierał, z wyjątkiem mojej... -Omal nie powiedziała „pokojówki”, ale w porę się zreflektowała. - Brenny, kiedy ćwiczyła na mnie swoje umiejętności. - Przygryzła wargę i uciekła wzrokiem. - Nie wiedziałam, że mężczyzna może czegoś takiego pragnąć albo że kobieta może mu na to pozwolić.

- Ten przywilej jest zwykle zarezerwowany dla męża albo kochanka - stwierdził Adam. - A jeśli dama pozwala, wybranek powinien zadbać o to, żeby jej również się podobało.

- Czy to dozwolone?

- Nie tylko dozwolone, ale pożądane.

Giana zadrżała, kiedy jej ucho owiał ciepły oddech.

- Dla damy również?

-Jeśli o mnie chodzi, tak. Kiedy kobieta daje mi przywilej rozebrania jej, lubię dotykać jej całej. Włosów, twarzy, szyi, piersi, miejsc intymnych. - Mówiąc, przesuwał po niej wzrokiem. - Mam zademonstrować?

Z każdym słowem wypowiedzianym ochrypłym głosem Giana coraz szerzej otwierała oczy. Gdy dotarło do niej ich znaczenie, oblała się rumieńcem.

- Adamie!

- George.

McKendrick nachylił się i odszukał jej usta. Giana z pasją odwzajemniła pocałunek. Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy Adam zaczął rozpinać górne guziki jej sukni.

- Co się stało? - zapytał.

Giana chętnie uległaby pokusie, o której następczyni tronu nie powinna nawet wiedzieć, ale nie mogła pozwolić, żeby Adam ją rozebrał. Ukrywała przy sobie nie tylko gazetę.

Była chodzącym sejfem. W gorset miała wszyte rodowe klejnoty, podobnie jak w rąbki większości sukien. Jedynie diadem, który wkładała na oficjalne uroczystości, spoczywał w fałszywej przegródce podróżnego kufra. Resztę fortuny nosiła przy sobie. Jak pokojówka wyjaśniłaby obecność królewskiej biżuterii?

- Nie mogę - szepnęła.

- Rozumiem - powiedział Adam.

On też odzyskał rozsądek. Dziewczyna leżąca na sofie była jego służącą. Wprawdzie chętną, ale niewinną. A on miał dość rozumu, żeby nie zadawać się z dziewczycami. Zwłaszcza o takim wyglądzie.

Najgorsze, że mimo wszystko jej pragnął. Westchnął głęboko. W dodatku nie była w jego guście.

Co go tak zafascynowało w George? Nigdy nie pociągały go wysokie, długonogie blondynki. Za bardzo przypominały mu siostry. Lecz od tej nie mógł oderwać wzroku. Pożądał jej. Czynił męzne wysiłki, żeby okiełznać żądzę, niestety na próżno. Ta dziewczyna stanowiła dla niego wyzwanie. Podniecała go. Hipnotyzowała..

Nie tłuł przy niej porcelany, ale działała na niego równie silnie, jak on na nią. Pragnął jej dotykać, całować, pieścić. I właśnie to przyprawiało go o niepokój.

Najlepsze, co mógł zrobić dla nich obojga, to zapomnieć o niej, skierować uwagę na inną kobietę. Mniej niebezpieczną. Taką jak jej siostra Brenna.

Dźwignął się z kanapy i pomógł dziewczynie usiąść. Sięgnął do kieszeni kamizelki, wyjął z niej klucz i wręczył go George.

- Chyba tego pani szukała.

- Dziękuję, sir.

Wstała z sofy i ruszyła do drzwi.

- Dziękuję za ciekawy poranek, panno Langstrom -rzucił za nią Adam.

Giana obejrzała się przez ramię. Była zarumieniona.

- Cała przyjemność po mojej stronie, sir. McKendrick uśmiechnął się szeroko.

- Doprawdy?

Posłała mu królewskie spojrzenie. -Tak.

Odwróciła się i wyszła z biblioteki.

Scandalous

„Księżniczka królewskiego rodu Saxe-Wallerstein-Karolya nie konspiruje ze służbą, nie wdaje się w intrygi ani spory”.

- Zasada 307 protokołu i etykiety dworskiej rodu Saxe-Wallerstein-Karolya, zatwierdzonych przez jaśnie oświeconego księcia Karola IV, 1611.

- To niemożliwe! - Ręce Maxa się trzęsły, kiedy czytał artykuł w gazecie, siedząc przy stole w pokoju ochmistrzyni. - To po prostu niemożliwe.

Giana przyjrzała się jego dłoniom. Widząc nabrzmiałe niebieskie żyły, spuchnięte stawy i ciemne plamy, nagle sobie uświadomiła, jak bardzo lord Gudrun postarzał się od śmierci jej rodziców. Ponad trzydzieści lat spędził w pałacu w Christianbergu, a teraz przyszło mu tułać się z dala od kraju. Choć pobyt w Larchmont Lodge był bezpieczny i spokojny, życie na wygnaniu najwyraźniej Maxowi nie służyło.

- Byłam pewna, że widziałeś ten artykuł, ale milczałeś, żeby mnie oszczędzić.

Spotkali się w pokoju Langstromów, bo był większy niż klitka Maxa i oddalony od innych pomieszczeń dla służby. Isobel nakryła stół do herbaty, ale nikt nie wchodził bez pozwolenia.

- Nigdy nie ukrywałbym przed waszą wysokością ważnej informacji dotyczącej kraju - oświadczył marszałek dworu.

- Przepraszam, Max, ale sądziłam, że to ty odebrałeś pocztę.

- Tak, ale korespondencję położyłem na biurku pana McKendricka, a gazety dałem Albertowi do wyprasowania.

Giana pokiwała głową. Języki obce nie były mocną stroną Alberta. Mimo niemal ćwierć wieku małżeństwa z Isobel kamerdyner prawie nie znał angielskiego. Prasując gazety, wypełnił jeden ze swoich licznych codziennych obowiązków, ale nie zdawał sobie sprawy, że jakiś artykuł może mieć ogromny wpływ na ich przyszłość.

- A co z resztą prasy? - zapytał Gudrun. - W pozostałych gazetach też piszą o Karolyi?

- Nie wiem. McKendrick zjawił się, zanim zdążyłam je przejrzeć.

- Musimy to sprawdzić - stwierdził Max.

- Mamy jeszcze inne zmartwienie - przypomniała Giana. - Słyszałeś, co mówił A... McKendrick. W czasie regat w Cowes zamierza otworzyć dom dla kilku bardzo bogatych i wpływowych gości. Nie zostało nam dużo czasu.

Bardziej przerażała ją możliwość, że Victor albo ktoś znajomy odwiedzi Larchmont Lodge, niż to, że McKendrick odkryje jej prawdziwą tożsamość.

Westchnęła. Zdemaskowanie przez Adama przyniosłoby jej raczej ulgę, bo nie lubiła go okłamywać. Ale! musiała myśleć również o swojej świcie i nie zamierzała ryzykować, póki się nie upewni, że może całkowicie mu zaufać.

- Chyba pora wysłać Gordona do Londynu, żeby postarał się o audiencję u królowej - rzekł Max.

- Królowa przebywa w odosobnieniu w Windsorze - powiedziała Giana. - Dworzanie nigdy nie dopuszczą do niej zwykłego łowczego. Czas opuścić przytulne schronienie i samej postarać się o spotkanie.

Gudrun pokiwał głową.

- Nie możesz jechać sama do Windsoru, księżniczko. Będę ci towarzyszył.

- Nie pozwolę na to. -Ale...

- Zostałeś oskarżony o zamordowanie władców Karolyi i porwanie następczyni tronu. Nie mogę dopuścić do tego, żeby cię aresztowano.

- Nie zostanę aresztowany, bo ty, księżniczko, wyjaśnisz sprawę.

- A jeśli wydarzy się coś, co nie pozwoli mi stanąć w twojej obronie? Kto wtedy da świadectwo prawdzie? Kto powie światu o mordercach moich rodziców, zdemaskuje Victora? Kto przeszkodzi mu w sięgnięciu po koronę? - Giana potrząsnęła głową. - Nie wypełnię obowiązku wobec kraju i swojego ludu, póki się nie upewnię, że nic ci nie grozi i że ty wyjawisz, co się naprawdę stało, gdybym ja nie mogła. A nie będziesz bezpieczny, póki nie porozmawiam z królową.

Sekretarz już miał zaprotestować, ale Giana uniosła rękę.

- Proszę, Max. Nie zniosłabym takiej straty. Jesteś nie tylko moim prywatnym sekretarzem, ale również marszałkiem dworu i jedynym świadkiem morderstwa moich rodziców... Tylko ty widziałeś zabójców, tylko ty możesz ich zidentyfikować. Ufam ci, Max, i

potrzebuję ciebie. -Uśmiechnęła się ciepło. - Muszę wiedzieć, że jesteś ze mną.

- Jeśli McKendrick zaprosi gości, nim rozpoczną się regaty, przebywanie tutaj może okazać się dla nas zbyt niebezpieczne. Niewykluczone, że będziemy musieli wyjechać, zanim królowa przybędzie do Szkocji.

- Wyjedziemy - zapewniła go Giana. - A wtedy znajdziemy sposób, żeby skontaktować się z naszym ambasadorem w Londynie.

- Wzięłaś pod uwagę, księżniczko, że on może być w zмовie z twoim kuzynem?

- Oczywiście, że tak. Wzięłam również pod uwagę, że nawet jeśli królowa Wiktoria postanowi zapewnić mi ochronę i poprzeć moje roszczenia do tronu, jej rząd może być innego zdania.

Lord Gudrun ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Nadal widzisz we mnie dziewczynkę z warkoczami, Max. Zapominasz, że polityki i rządzenia uczyłam się od najmłodszych lat. Odkąd urosłam na tyle, żeby siedzieć na kolanach taty. Nie jestem naiwnym dzieckiem. Wiem, że niektóre decyzje mojego ojca były niepopularne. Wiem, że są w naszym kraju ludzie przeciwni nowoczesnej konstytucji i Deklaracji Praw dla Mas. Obawiają się utraty wpływów. Tata mówił mi o nich. Wyjaśniał, że chcą napełnić kufry dzięki karolyańskiemu drzewu i złożom żelaza, a cudzoziemcy aż się palą do wycinania naszych lasów i wydobywania rud, do ich kupowania i sprzedawania. Nie znam wszystkich zdrajców naszego kraju, ale mogę się domyślać, którzy to są.

Nie jestem pewna lojalności naszego ambasadora, ale muszę odzyskać koronę. Jestem prawowitą następczynią tronu Saxe-Wallerstein-Karolya. Ojciec zginął, broniąc mojego dziedzictwa, a ja nie zamierzam pozwolić, żeby jego mordercy ukradli to, co mi się należy, ani żeby sprawowali Władzę nad moimi poddanymi dłużej niż to konieczne. Skoro trzeba, zaufam naszemu ambasadorowi i królowej Wiktorii.

Giana czuła się bezpieczna w Larchmont Lodge, ale w Balmoral rząd brytyjski mógłby jej zapewnić lepszą ochronę. Od początku wiedziała, że pobyt w Szkocji jest tymczasowy, że zostaną tutaj, póki nie nadejdzie pora, by pokazać się światu i udowodnić, że kuzyn Victor jest mordercą i uzurpatorem.

Lecz ta świadomość wcale nie ułatwiała wyjazdu. To nie był dom rodzinny, ale dobrze służył jako schronienie. I choć Giana nie chciała się do tego przyznać nawet przed sobą, wiedziała w głębi serca, że głównym powodem jej niechęci do opuszczenia Larchmont Lodge nie jest troska o bezpieczeństwo, tylko Adam McKendrick.

- Co robimy, wasza wysokość?

Giana wzięła głęboki oddech. Max oczekiwał odpowiedzi. I oczekiwał od niej, że będzie prawdziwą władczynią, sercem, duszą i mózgiem kraju, a nie marionetką.

- Postaramy się, żeby McKendrick nie zaprosił gości w czasie regat. - Przygryzła wargę. - Musimy znaleźć sposób, który nie wzbudzi jego podejrzeń.

- Masz jakiś pomysł, księżniczko?

- Proponuję, żebyśmy robili to, co do tej pory, tylko z dużo większym zaangażowaniem.

Max zmarszczył brwi.

Giana się uśmiechnęła.

- Zamiast mitygować Alberta, zachęćmy go, żeby energiczniej wpajał robotnikom remontującym dom zasady dobrego wychowania i właściwego stroju. Niech będzie jeszcze lepszym kamerdynerem niż w Laken. Ty przejmiesz całą korespondencję McKendricka. Rozgość się w jego gabinecie i pracuj tak, jak w Christianbergu dla mojego ojca.

W kącikach ust Gudruna pojawił się uśmiech.

- A reszta personelu?

- Niech sobie wyobrażą, że są u siebie w domu, i stosownie do tego wykonują obowiązki. - Mało eleganckim gestem Giana oparła łokcie na stole i podbródek na dłoniach. - Z Brenna będzie kłopot, bo jej zadaniem jest dbanie o mnie, ale na pewno coś wymyślę. - Strzeliła palcami. - Już wiem. Nie może wykonywać fizycznej pracy, więc pozwolimy jej zająć się wystrojem domu.

Max się skrzywił. Był pewien dezaprobaty McKendricka, bo jak większość pokojówek Brenna lubiła kwiatki i falbanki, a nie o takie dekoracje chodziło właścicielowi Larchmont Lodge.

- McKendrick już jest zły. Nawet groził, że nas zwolni, jeśli nie będziemy prowadzili domu zgodnie z jego życzeniami.

Giana posłała mu królewski uśmiech.

- Chętnie zaryzykuję.

- Kiedy powiemy pozostałym? - zapytał Max.

- Dzisiaj przy kolacji, w pokoju ochmistrzyni. Po tym, jak reszta służby uda się do domu albo na spoczynek.

- A co z panem O'Brienem?

- Zajmę się nim.

Giana dotrzymała słowa. Zapukała do Murphy'ego kwadrans przed umówionym spotkaniem u gospodyni. -Tak?

Gdy O'Brien otworzył drzwi, zobaczył Georgianę z tacą pełną naczyń ze srebrnymi pokrywkami.

- Przyniosłam kolację, panie O'Brien.

Z obawy, że jego posiłek znajdzie się na podłodze, Murphy szybko wziął od niej tacę.

- Widzę. Dziękuję.

- Proszę.

Giana skinęła głową i ruszyła korytarzem.

- Chwileczkę!

Murphy postawił tacę na podłodze przy drzwiach. Giana się zatrzymała.

- Tak, panie O'Brien.

Wyraz jej twarzy i ton głosu świadczyły o zaskoczeniu. Murphy pohamował uśmiech.

- Wszystkim roznosi pani kolację czy ja jestem wyjątkiem?

- Uznaliśmy, że będzie najlepiej, jeśli Henri przygotuje dla pana tacę - wyjaśniła Giana.

- My, panno Langstrom?

- Rodzina. Pokój ochmistrzyni jest dzisiaj zarezerwowany dla członków naszej rodziny.

- To jakaś szczególna okazja, o której powinienem wiedzieć?

Giana potrząsnęła głową.

- Nie, panie O'Brien.

- Po prostu zwykła rodzinna kolacja? -Tak.

- Świetnie. - Murphy westchnął dramatycznie, żeby zyskać jej współczucie i dowiedzieć się czegoś więcej. -Chyba muszę zjeść posiłek w samotności. Niestety nie zmienię nazwiska na Langstrom.

Gianę ogarnęły wyrzuty sumienia. O'Brien miał prawo czuć się odtrącony i urażony. Rozumiała, jak to jest, ale nie знаła go dostatecznie, żeby mu zaufać, zwłaszcza gdy chodziło o życie jej „rodziny”.

- Bardzo nam przykro. Nie zamierzaliśmy ranić pańskich uczuć, ale mamy rodzinne sprawy do omówienia.

Nuta skruchy w głosie Giany była szczerą. Murphy postanowił zlitować się nad dziewczyną,

- Rozumiem, panno Langstrom. Miłego wieczoru.

- Nawzajem, panie O'Brien.

- Jedzenie na pewno jest wyśmienite, ale nie lubię samotnych posiłków. Gdyby pani albo urocza siostra zechciały się do mnie przyłączyć... - Był ciekaw jej reakcji.

- Bardzo dziękuję za zaproszenie - odparła Giana. -Moja urocza siostra i ja będziemy zaszczycone, mogąc jutro zjeść z panem kolację w pokoju ochmistrzyni.

O'Brien się roześmiał, a Georgiana przejrzała jego grę. Posłała mu uśmiech, po czym odwróciła się i ruszyła w dół po schodach.

Murphy jeszcze chwilę za nią patrzył, oczarowany tym uśmiechem, godnym sonetu. Łatwo mógłby się w nim zakochać, gdyby Giana już nie wpadła w oko jego najlepszemu przyjacielowi. Nie miało znaczenia, że Adam dobrowolnie zrezygnował ze wszystkich niebieskookich blondynek w Szkocji. O'Brien się uśmiechnął. McKendrick wprawdzie się zarzekał, że nie chce żadnych walkirii ani Amazonek, ale dorastał

w rodzinie pełnej wyjątkowo pięknych kobiet i nigdy nie byłby szczęśliwy z drobną, niepozorną, pospolitą kobietą, którą uparł się znaleźć. Kiedy sobie uświadomi, że jest zafascynowany wysoką, jasnowłosą i niebieskooką panną Langstrom, zechce ją odzyskać. Szlachetny Baron należał do mężczyzn, których zachowanie łatwo przewidzieć.

„Szlachetny Baron broni praw kobiet i w potrzebie zawsze staje u ich boku. Inne postępowanie nie leży w jego charakterze”.

- „Druga część prawdziwych przygód Szlachetnego Barona, dobroczyńcy pięknych, zdradzonych blondynek”, spisanych przez Johna J. Bookmana, 1874.

Godzinę później, kiedy spotkali się w bibliotece na cowieczorne cygaro i whisky, O'Brien opowiedział przyjacielowi, co go spotkało.

- George przyniosła ci kolację do pokoju? - zdziwił się Adam.

Murphy skinął głową.

- Tak. Wręczyła mi tacę, nawet nie brzęknąwszy naczyniem.

- Byłeś świadkiem cudu - skwitował krótko McKendrick.

O'Brien roześmiał się i zmierzył go wzrokiem.

- Widać nie działałam na nią tak jak ty.

- Ja przyprawiam ją o zdenerwowanie.

- Właśnie. Bo patrzysz na nią jak lis na zająca. Adam uniósł brew.

- A ona na ciebie tak samo.

- Zwracasz uwagę na takie drobiazgi?

- Jestem agentem Pinkertona - przypomniał O'Brien. - Muszę być spostrzegawczy.

Adam nalał whisky do dwóch szklaneczek.

- Nie wiesz, w jakiej sprawie to rodzinne spotkanie?

- Przypuszczam, że w twojej, ale nie potrafię tego udowodnić, choć próbowałem zagrać na jej wyrzutach sumienia.

McKendrick uśmiechnął się, podając trunek przyjacielowi.

- Tracisz wycucie.

- Niezupełnie. Było jej przykro, że wyklucza mnie z rodzinnego spotkania, ale nie na tyle, żeby zdradzić szczegóły.

- Staraleś się.

- Tak. Próbowalem ją również namówić, żeby zjadła ze mną kolację.

-Co?

Teraz z kolei Murphy uśmiechnął się szeroko.

- Widzę, że cię zainteresowałem. '

- O czym ty mówisz?

- O tobie, chłopcze. Udajesz, że walkiria cię nic nie obchodzi, ale trzeba by być ślepym, żeby ci uwierzyć. Kiedy ostatni raz poruszyła cię wiadomość, że zaprosiłem jakąś kobietę na kolację?

McKendrick spiorunował go wzrokiem. Niezle by się nasłuchał, gdyby O'Brien odkrył, jak bardzo pociąga go George. A gdyby dowiedział się o pocałunkach za zamkniętymi drzwiami biblioteki, dopiero Adam miałby za swoje.

- Nie obawiaj się - powiedział lekkim tonem. - Jeśli walkiria budzi we mnie jakieś zainteresowanie, umrze ono śmiercią naturalną, gdy tylko wrócimy do Londynu.

- Do Londynu?

Murphy zakrztusił się szkocką. Kaszlał przez dłuższą chwilę, aż oczy zaszły mu łzami. Adam poklepał go po plecach.

- Widzę, że cię zaciekawiłem.

-Jedziemy do Londynu? - spytał O'Brien cienkim głosem, zupełnie niepodobnym do jego zwykłego barytonu.

- Tak.

- Po co?

Adam wziął białą kopertę ze stosu korespondencji leżącego w rogu biurka i pomachał nią w powietrzu.

- Dostałem dzisiaj list od Kirstin. O'Brien zmarszczył brwi.

- Czyżby jego cholerna lordowska mość wrócił do dawnych zwyczajów?

- Tego Kirstin nie pisze. - Adam wyjął z koperty pojedynczą kartkę i podał ją przyjacielowi.

Murphy przebiegł ją wzrokiem, a następnie złożył i oddał McKendrickowi.

- Domyślasz się powodów jej prośby? Adam wzruszył ramionami.

- Nie. Pewnie się za nami stęskniła. -Przecież widziała nas trzy tygodnie temu.

O'Brien mrugnął okiem. - Ale to całkiem możliwe. Zawsze uważałem, że lady Marshfild ma do mnie słabość.

Whisky rozwiązała mu język. McKendrick przygryzł wnętrze policzka, żeby się nie uśmiechnąć. Zawsze uważał, że to przyjaciel ma słabość do jego siostry. Kirstin oczywiście niczego nie zauważyła, bo O'Brien nie mógł się pochwalić dobrym pochodzeniem, majątkiem ani tytułem. Ale Murphy zawsze okazywał jej wyjątkowo dużo ciepłości. Adam bardzo ją kochał. Choć była starsza o dwa lata,

zawsze budziła w nim opiekuńcze uczucia. Zrobiłby dla niej wszystko, nawet pojechał do Londynu na pierwsze wezwanie.

- Znasz Kirstin równie dobrze jak ja - stwierdził. - Co myślisz o jej prośbie?

- Myślę, że trzeba iść spać. - Murphy odstawił pustą szklaneczkę i wstał z fotela. - Muszę jeszcze się spakować.

Tymczasem w pokoju ochmistrzyni odbywało się inne spotkanie. Giana przyniosła ze sobą gazetę, którą znalazła w bibliotece. Gdy wszyscy obecni przeczytali artykuł, oznajmiła, że Adam McKendrick planuje zaprosić do Larchmont Lodge pierwszych gości. Bogatych arystokratów, którzy stanowią dla nich największe zagrożenie.

Jednocześnie przedstawiła swoje pomysły, jak opóźnić otwarcie klubu do czasu, aż jej matka chrzestna przyjedzie do Szkocji na wakacje. Wtedy zamierzała poprosić o audiencję u królowej, żeby nie ryzykować zdemaskowania przez szpiegów Victora.

Tymczasem sabotaż w Larchmont Lodge bez narażania się na zwolnienie wymagał od nich finezji. Adam McKendrick chciał czerpać zyski z posiadłości i wiadomo było, że nie pozwoli, by ktoś mu w tym przeszkodził. Ale mimo wszystko utrata pracy była lepsza niż śmierć.

Giana wzięła głęboki oddech i zwróciła się do „rodziny”. Dla wszystkich przewidziała określone role i zadania.

- Musimy polegać na sobie nawzajem, bo nie wiemy, komu jeszcze moglibyśmy zaufać. - Spojrzała na Alberta. - Jako kamerdyner

jesteś odpowiedzialny za prasowanie gazet przed oddaniem ich panu domu. Ale są w nich artykuły o nas i o Karolyi, dlatego trzeba je konfiskować.

Langstrom pokiwał głową.

- Nie możemy dopuścić do tego, żeby McKendrick je przeczytał, zobaczył moje zdjęcie i poskładał elementy łamigłówki. Jeśli mnie rozpozna, nasza maskarada się skończy.

Jakby w odpowiedzi na modlitwy, Giana usłyszała szelest papieru. Spojrzała w dół i zobaczyła, że Wagner ściągnął gazetę z krzesła i teraz systematycznie ją drze. Uśmiechnęła się. Choć pies miał prawie trzy lata, nadal czasami zachowywał się jak szczeniak. A jedną z jego ulubionych rozrywek było niszczenie gazet i obuwia. Ojciec dwa razy zbeształ ją za to, że wpuściła swojego pupila do jego gabinetu. Przy obu okazjach Wagner zjadł czubki jego butów oraz porwał stos ważnych dokumentów na setki małych kawałeczków. Wyglądało na to, że wilczur uwielbia smak pasty i farby drukarskiej.

Giana zrozumiała, że złe nawyki Wagnera można wykorzystać, żeby uniemożliwić Adamowi przeczytanie porannej prasy. Wystarczy zadbać o to, żeby pies dopadł jej wcześniej.

Plan nie był pozbawiony ryzyka, bo oznaczał, że od tej pory oboje będą musieli znosić gniew pana domu. Giana westchnęła. Wagner przez całe życie jej bronił. Teraz role się odwrócą. Na biurku w bibliotece było więcej gazet. Zaraz po naradzie trzeba po nie pójść.

- Rozumiecie, o co was proszę?

Wszyscy skinęli głowami.

- To dobrze. Zaczynamy od jutra.

Biblioteka pachniała drogimi cygarami, skórzanymi oprawami książek, cytrynowym woskiem do polerowania mebli i Adamem McKendrickiem. Giana podeszła na palcach do biurka, ostrożnie zdjęła klosz z lampy i przytknęła zapalną do knota.

- Wróciłaś na miejsce zbrodni? Czy na następną lekcję całowania?

Klosz zabrzączał o podstawę lampy.

- Spokojnie - ostrzegł McKendrick. - Jeśli ją zbijesz, spalisz pokój.

Wstał z kanapy i ruszył w jej stronę.

- Skąd pan wiedział, że to ja?

Delikatnie wyjął klosz z rąk dziewczyny i nasadził na lampę,

- Kwiaty pomarańczy.

- Słucham?

- Tylko ty w całym domu pachniesz kwiatami pomarańczy - powiedział Adam cicho.

- A pan drzewem sandałowym i cygarami.

- Zauważyłaś. - W jego głosie brzmiało zadowolenie. Giana zerknęła na sofę.

- Jak mogłabym nie zauważyć?

Adam usłyszał w jej pytaniu to, czego nie wypowiedziała na głos. Zbliżył się i otworzył ramiona.

Giana zrozumiała, że powinna była skorzystać z jego wcześniejszej rady, i trzymać się od niego z daleka. Jak jednak mogła

go posłuchać, skoro on sam lekceważył głos rozsądku? Zrobiła krok do przodu i znalazła się w jego objęciach. Adam nachylił się do jej ust.

Tym razem wiedziała, czego się spodziewać. Więc śmiało odwzajemniła pocałunek. Adam przyciągnął ją bliżej do siebie.

Giana westchnęła. Jego wargi były miękkie, delikatne, czułe, słodkie, a jednocześnie wygłodniałe, gorące i namiętne. Pieściły i żądały, prosiły i wymagały, a ona im ulegała, pilnie ćwicząc to, czego się nauczyła w czasie pierwszej lekcji.

Chwyciła mocno jego koszulę. Nie przypuszczała, że zwykłym pocałunkiem mężczyzna może ukraść jej serce i duszę, ale teraz stwierdziła, że tak właśnie się stało. Była niczym śpiąca królewna z bajki, która czeka, aż zjawi się przystojny książę i ją obudzi. Adam McKendrick całował ją jak najbardziej godną pożądaną kobietę na świecie, wzniecił w niej nieznane do tej pory pragnienia.

Kusił ją, obiecywał, tulił, jakby była do tego stworzona. A ona czuła, że właśnie tam jest jej miejsce. W jego ramionach.

Teraz sobie uświadomiła, jak wielkich wymaga się od niej poświęceń. Jako księżniczka z rodu Saxe-Wallerstein-Karolya nie mogła wyjść za mąż z miłości, nie licząc się z dobrem kraju. I chociaż Karolyańska Karta dopuszczała małżeństwo następczyni tronu z człowiekiem o niższej pozycji, wybranek musiał mieć dziedziczny tytuł. Ponadto konieczna była zgoda najbliższego męskiego krewnego, a Victor nigdy by jej nie udzielił. Wolałby ujrzeć ją martwą. A

ponieważ już zamordował jej rodziców, nie łudziła się, że oszczędzi ją albo mężczyznę, którego sobie wybrała. Zwłaszcza Amerykanina.

Nie mogła poślubić Adama. Ale nikt jej nie zabroni go kochać. Póki są w Larchmont Lodge. W Szkocji. Na ziemi. Puściła koszulę i położyła dłoń na jego sercu.

Adam cofnął się zaskoczony, spojrzał na nią... i odzyskał rozum. Jezu, Józefie, Maryjo! Znowu to zrobił! Pocałował służącą. Długonogą, jasnowłosą pokojówkę, -która u niego pracowała. Co się stało z jego kodeksem honorowym? Z moralnością? Z rozsądkiem?

- Mówiłem ci, żebyś trzymała się ode mnie z daleka - wychrypiał.

- Tak - szepnęła Giana.

- Więc co tutaj robisz?

Nie chciała kłamać, dlatego powiedziała częściową prawdę:

- Przyszłam po coś do czytania.

Adam spojrzał na nią, jakby nic nie zrozumiał.

- Czytania?

Giana kiwnęła głową.

- Tak. Zwykle to się robi z książkami. McKendrick zmarszczył brwi.

- Doprawdy?

Giana zatoczyła ręką koło.

- I zwykle czyta się w bibliotece, bo to jest pokój, w którym trzyma się książki. Tu właśnie jest biblioteka Larchmont Lodge.

Adam popatrzył na sięgające do sufitu półki pełne książek i przewrócił oczami.

- Istotnie.

Giana się roześmiała.

- Zaskoczony? Ja nie jestem taka jak inne pokojówki. Moi rodzice i hrabina Brocavii cenili wykształcenie.

Adam pokręcił głową.

- Nie zaskoczony, tylko głupi. Nie wiedziałem, że pokojówki umieją czytać. - Powiódł wzrokiem po tytułach. Przy okazji zauważył, że kilka tomów nie stoi w porządku alfabetycznym. - Czego szukasz? Milтона? Szekspira? Waltera Scotta?

- Gazet - odparła Giana, zerkając na biurko.

- Gazet?

- Wprawdzie jestem służącą, ale lubię śledzić bieżące wydarzenia. Dlatego chciałabym pożyczyć gazety. Jeśli skończyłeś je czytać. - Wstrzymała oddech.

- Jeszcze nie zacząłem.

- Och.

Adam się uśmiechnął.

- Ale i tak nie będę miał okazji ich przejrzeć przed wyjazdem...

- Wyjeżdżasz z Larchmont Lodge?

- Rano jadę do Londynu, więc możesz wziąć prasę. -Podszedł do biurka, wziął plik gazet i wręczył je Gianie. Nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie dotknąć. Uniósł palcem jej podbródek. - Nie bój się, George. Dostałem list od siostry...

- Siostry?

Adam zaśmiał się krótko.

- Mam siostrę. A właściwie cztery. - Delikatnie po-stukał ją palcem po nosie. - Trzy z nich i matka są w Ameryce, jedna w Londynie. Myślałaś, że znaleźli mnie w kapuście?

-A ojciec?

Adam wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że również jest w Londynie.

- Z twoją siostrą?

- Nie. Z żoną i dziećmi.

Giana zmarszczyła czoło. Adam wygładził je kciukiem.

- Nawet go nie znam. Ożenił się w Ameryce z moją matką, wdową z czterema córkami, ale wrócił do Europy, zanim się urodziłem. Kiedy dowiedział się, że ma syna, przysłał po nas, ale mama nie chciała zrezygnować z farmy i niezależności. Kilka lat później ojciec unieważnił małżeństwo, żeby poślubić inną kobietę.

- Nigdy go nie widziałeś? -Nigdy.

- A on ciebie? Swojego syna i dziedzica?

- O ile wiem, nie.

- Jakie to smutne! Nie wyobrażam sobie, że mogłabym nie znać swojego taty. On był... wspaniałym człowiekiem.

- Nie smuć się z mojego powodu, George. Dobrze mi było z mamą i siostrami. Jedną z nich właśnie zamierzam odwiedzić. - Nachylił się i musnął ustami jej czoło, wdychając zapach kwiatów pomarańczy. - Wrócę, nim zauważysz moją nieobecność.

Cofnął się, obrócił Gianę za ramiona i delikatnie pchnął ją ku drzwiom.

- George... -Tak?

- Trzymaj swoją bestię z dala od mojego pokoju i łóżka. Dziś rano zjadł mi czubek pantofla.

Scandalous

„Szlachetny Baron wie, kim jest i czego chce od życia. Czuje się równie swobodnie w towarzystwie nieokrzęsanych górników, jak w rezydencjach milionerów”.

- „Pierwsza część prawdziwych przygód Szlachetnego Barona, dobroczyńcy pięknych, zdradzonych blondynek”, spisanych przez Johna J. Bookmana, 1874.

Podróż do stolicy trwała dziesięć godzin, w tym pierwsza część, z Glasgow do Edynburga, prawie cztery, a druga, z Edynburga do Londynu ekspresem, sześć. Jechali we względnym komforcie pierwszą klasą. Adam odmówił w duchu modlitwę dziękczynną, że ich pociąg został niedawno wyposażony w ogrzewanie parowe.

Z londyńskiego dworca Adam i Murphy udali się dorożką do miejskiej rezydencji lorda Marshfelda w Mayfair. Choć Kirstin błagała go w liście, żeby zjawił się jak najszybciej, wizyta brata i jego przyjaciela nie zakłóciła jej życia towarzyskiego. Ich przybycie zbiegło się z wieczorem muzycznym i przyjęciem wydanym przez lady i lorda Marshfeld dla londyńskiej śmietanki. Adam i Murphy zdążyli jedynie wykapać się i przebrać do kolacji.

- A oto on! - oznajmiła Kirstin Marshfeld, gdy Adam wszedł do salonu. - Mój brat, słynny Szlachetny Baron z Ameryki!

Uśmiechnęła się do niego promiennie, a goście zebrani wokół niej zaczęli bić brawo.

- Chryste! - mruknął McKendrick pod nosem. - Moja sława dotarła już do Londynu.

Murphy się roześmiał.

Adam przywitał się z siostrą, całując ją w policzek.

- Widzę, że uciekasz się do starych sztuczek, siostrzo. - Odsunął się i przyjrzał uważnie jej pięknej twarzy. - Czy jego lordowska mość również wrócił do swoich zwyczajów?

Kirstin zerknęła na męża, który usunął się na bok, kiedy Adam wszedł do pokoju.

- Od mojego powrotu do Anglii traktował mnie jak królową, zwłaszcza po ukazaniu się opowieści o Szlachetnym Baronie. - Posłała bratu uśmiech. - Szybko stajesz się atrakcją Londynu, równie słynną jak bohaterowie Waltera Scotta. Kiedy moi znajomi zaczęli rozmawiać o „Prawdziwych przygodach”, nie wierzyłam własnym uszom. Prawdę mówiąc, zorganizowałam ten wieczór i zaprosiłam ciebie, bo wiedziałam, że przebiję wszystkie panie domu. Dzięki tobie moje przyjęcie odniesie wielki sukces. Nie licząc członków rodziny królewskiej, zostanę najchętniej odwiedzaną gospodynią w Londynie. - Z zadowolenia jaśniała jak brylanty, które miała na sobie. - Powinieneś być ze mnie dumny, że odkryłam sposób, jak zdobyć lepszą pozycję w londyńskim towarzystwie.

O'Brien skrzywił się, szykując w duchu na nieuchronny wybuch.

- Dumny? - wycedził Adam przez zęby. W środku aż się gotował, ale do twarzy miał przyklejony uśmiech. Wziął od przechodzącego kelnera dwa kieliszki. Jeden podał siostrze, drugi zatrzymał dla siebie. - Chcesz, żebym był dumny z tego, że podstępem ściągnęłaś mnie do Londynu? I za to, że niepotrzebnie się

zamartwiałem, podczas gdy ty jedynie chciałaś umocnić swoją pozycję w towarzystwie?

Kirstin wycisnęła z oczu dwie łzy.

- Nie dążyłam do sukcesu jedynie ze względu na siebie - oświadczyła. - Chodziło mi również o Marshfelda i o ciebie.

Adam łyknął szampana.

- Raczysz mi to bliżej wyjaśnić?

- Marshfeld chce wejść do wyższych kręgów. Kilku członków klubu zaprosiło go do spółki, która będzie kupować i sprzedawać lasy i kopalnie znajdujące się w innych krajach. Jako żona mam obowiązek pomagać mu w każdy dostępny sposób.

- Naprawdę? - syknął Adam. - W zamian za co? Obietnicę, że więcej cię nie uderzy?

- Uderzył mnie tylko raz.

- Nie uderzył, tylko zbił.

- Stracił panowanie nad sobą.

- I co z tego? Ja też traciłem panowanie nad sobą. Murphy również. Ale nigdy nie biliśmy kobiet.

- Nie jesteście żonaci.

- I ty też nie powinnaś wychodzić za mąż, skoro uważasz, że ślub daje mężczyźnie prawo do bicia żony.

- Bo tak jest. Należę do niego.

- Należysz do siebie. Jego miejsce jest w piekle i właśnie tam trafi, jeśli jeszcze raz cię tknie.

- Nie zrobi tego. Zmienił się. Obiecał, że już nigdy nie podniesie na mnie ręki. - Kirstin powiedziała to, co Adam chciał usłyszeć, ale nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. - Jest dla mnie bardzo miły, odkąd książę zaczął się mną interesować.

- Jaki książę?

- Victor z Karolyi. On i Marshfeld mają wspólne interesy.

- Chryste, jesteś mężatką, Kirstin! Daj sobie spokój z księciem - ostrzegł ją brat. - On będzie jeszcze gorszy niż angielski lord. Nie sądzę, żeby miał dla ciebie więcej szacunku niż Marshfeld.

Kirstin wzruszyła ramionami.

- Jest miły. Prawdziwy z niego dżentelmen. - Uśmiechnęła się i zmieniła temat. - Moi znajomi są tacy podnieceni, że tu jesteś. Czy to prawda, że w tygodniu regat planujesz otworzyć posiadłość dla gości?

- Skąd o tym wiesz?

Siostra zignorowała jego pytanie.

- Czy to prawda? Bo już nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć Larchmont Lodge.

- Nie zobaczysz. To klub dla dżentelmenów. Kobiety nie będą miały wstępu.

- Adamie! - Kirstin omal nie tupnęła nogą.

- No, dobrze. Dla ciebie zrobię wyjątek, bo jesteś moją siostrą. - Spojrzał na Marshfelda. - Ale bądź ostrożna. Mam nadzieję, że twój mąż się zmienił, choć nie sądzę. Wilk nigdy nie stanie się barankiem. Nie bije cię tylko ze strachu przede mną. Uważaj jednak. Jeśli kiedyś

uzna, że już dłużej nie ma powodu się mnie bać, na tobie wyładowuje gniew.

Kirstin spiorunowała go wzrokiem.

- Niezależnie od tego, co o mnie myślisz, braciszku, nie jestem idiotką. Podoba ci się to czy nie, ale potrzebujesz tych ludzi.

Adam popatrzył na gości tłoczących się w salonie.

- Tych ludzi? - Uniósł brew. - W przeciwieństwie do lorda Marshfelda nie muszę żenić się dla pieniędzy, żeby zachować poziom życia, do którego jestem przyzwyczajony.

- Może i prawda, ale przecież odnawiasz dom myśliwski w górach Szkocji. Jeśli chcesz mieć gości, musisz zaskarbić sobie względy obecnych tu dzisiaj bogatych i wpływowych osób.

- Ona ma rację, chłopcze - wtrącił O'Brien.

- Ty pilnuj swojego nosa - ostrzegł go Adam.

- I jeszcze jedno. - Kirstin posłała uśmiech przechodzącej obok lady Carstairs. - Nie musisz mi przypominać, że mój mąż ożenił się ze mną dla pieniędzy. Kiedy za niego wychodziłam, nie wiedziałam, jakim jest człowiekiem, ale teraz już wiem.

Adam uniósł jej brodę i spojrzał w oczy.

- Kochasz go, Kirstin?

- Kiedyś kochałam. Teraz nie.

- Więc dlaczego nie odejdziesz?

- Bo jest moim mężem. Obiecałam w kościele, że zostanę z nim na dobre i złe.

Adam uśmiechnął się na to dziecinne oświadczenie.

- Bóg na pewno nie oczekuje, że będziesz narażać życie i zdrowie, żeby dotrzymać obietnicy mężczyźnie, który złamał swoją. Przynurzał, że będzie cię kochał i się tobą opiekował.

Kirstin osłupiała, jakby ta myśl nigdy nie przyszła jej do głowy.

-Naprawdę tak uważasz? Adam skinął głową. -Tak.

- Pomijając gwałtowny charakter Marshfelda, podoba mi się obecne życie. Zawsze o takim marzyłam. -Rozejrzała się po salonie. - Nie pozwolę, żeby mnie jeszcze kiedyś uderzył, ale będę wypełniać obowiązki lady Marshfeld, na przykład zapraszając słynnego Szlachetnego Barona na kolację.

- Zrozumiałem i dzisiaj odegram swoją rolę. Ale uważaj na siebie. Nie naśladuj chłopca, który podnosił fałszywy alarm.

W oczach Kirstin odmalowało się zdziwienie.

- Tyle razy próbował jedynie zwrócić na siebie uwagę, że w końcu wieśniacy mu nie uwierzyli, gdy naprawdę zjawił się wilk - wyjaśnił Adam.

- Tego nie muszę się obawiać - stwierdziła Kirstin z przekonaniem. - Szlachetny Baron nigdy nie odmawia kobiecie w potrzebie.

- Kto ci naopowiadał tych bzdur?

- Przeczytałam w „Prawdziwych przygodach...”

- Nie wierz we wszystko, co czytasz - poradził brat. - Nawet Szlachetny Baron ma czasami dosyć stawania w obronie słabszych.

- Ale ja jestem twoją siostrą i mnie kochasz.

- Tak. Kocham cię bardzo, ale mam jeszcze trzy siostry, które wyglądają tak samo jak ty. Nie będzie mi w brakowało najbardziej nieznośnej.

Adam dotrzymał słowa danego siostrze. Przez resztę długiego wieczoru zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen i gość honorowy. Wysłuchał arii z najnowszej opery w wykonaniu panny Johnstone, a później poprowadził pannę Caldwell do stołu. Po kolacji on i Murphy udali się wraz z gospodarzem i dwunastoma innymi mężczyznami do palarni, gdzie konwersacja skupiła się na polityce i interesach oraz polowaniach na lisy. Nie wzgardzono również najnowszymi plotkami.

Choć Adam niechętnie to przyznawał, Kirstin miała rację. Potrzebował tych ludzi, żeby jego klub odniósł sukces. Oni trzęśli krajem. Byli członkami rządu i rekinami przemysłu. McKendrick miał nadzieję, że za kilka miesięcy Larchmont Lodge stanie się ich ulubionym miejscem wakacyjnych pobytów.

- McKendrick. Adam się obejrzał.

- Bascombe.

- Miło znowu pana widzieć. Słyszałem, że postanowił pan zatrzymać Larchmont Lodge.

-Tak.

- Przypuszczam, że otrzymał pan mój list razem z kluczami i zastał wszystko w najlepszym porządku?

- Klucze dostałem w liście i rzeczywiście wszystko zgadzało się z pańskim opisem. Z wyjątkiem służby. -Adam się uśmiechnął. - Personel sprawił mi niespodziankę.

Lord Bascombe odwzajemnił uśmiech.

- Obecność personelu w rezydencji dla mnie również jest niespodzianką. Dwa lata temu zwolniłem cały oprócz Gordona Rossa.

- Telegrafowałem do Rossa przed przyjazdem i kazałem mu zatrudnić służbę.

- Wypełnił polecenie? Adam skinął głową.

- Zatrudnił swoją siostrę Isobel jako ochmistrzynię i jej męża Alberta jako kamerdynera.

- Więc Isobel wróciła z Karolyi. Bardzo się cieszę. Zawsze lubiła tamten dom. Dobrze się nim zajmie.

- Już się zajęła. Proszę mi powiedzieć, od jak dawna dom był w posiadaniu pańskiej rodziny?

- Od czasów panowania królowej Anny. Ale wtedy nie służył jako dom myśliwski, tylko jako siedziba klanu Moray. Hrabia Moray to mój dziadek.

- Pańska matka była Szkotką?

- Tak. Z gór.

- I wyszła za Anglika?

- Nie, za Szkota z Edynburga, którego rodowe ziemie leżą po obu stronach granicy. A pańska rodzina? McKendrick to szkockie nazwisko, prawda?

- Nazwisko może tak, ale mój ojciec jest Anglikiem.

- A matka?

- Urodziła się w Szwecji. Wyemigrowała ze Sztokholmu do Kansas jako młoda żona. Trzy lata później została wdową z czterema małymi córkami.

- Czterema? Adam się roześmiał.

- Zgadza się. Mam cztery siostry. Moja matka urodziła dwie pary bliźniaczek.

- Lady Marshfeld jest jedną z nich?

-Tak. Astrid i Erika są starsze od Grety i Kirstin.

Bliźniaczka lady Marshfeld mieszka w Kansas, na farmie w pobliżu mojej matki.

Lord Bascombe dokonał w pamięci obliczeń.

- Ojciec musiał umrzeć przed pańskimi narodzinami.

- Nie. Ojciec moich sióstr zginął w wypadku na farmie. Mój poznał moją matkę, kiedy zwiedzał Amerykę w trakcie wielkiej podróży po świecie.

- Osiedlił się w Ameryce? McKendrick potrząsnął głową.

- Wrócił do Anglii, zanim się urodziłem. Później rozwiązał małżeństwo i ożenił się z kimś innym.

Lord Bascombe odchrząknął.

- Przykro mi.

Adam zmarszczył brwi. Lord Bascombe był już drugą osobą, która wyraziła współczucie z powodu tego, że dorastał bez ojca.

- Niepotrzebnie. Jak pan widzi, sam nieźle sobie poradziłem.

- Przynosi pan zaszczyt nazwisku ojca. McKendrick spojrział mu w Oczy.

- Nie osiągnąłem tego wszystkiego, co osiągnąłem, żeby przynieść zaszczyt nazwisku ojca. Według mnie jest draniem i nie zależy mi na jego uznaniu. Pracuję na swój rachunek.

Lord Bascombe w pierwszej chwili wyglądał na skonsternowanego, ale po krótkim namyśle kiwnął głową.

- Racja. - Zaciągnął się cygarem i wolno wypuścił dym. - Pańska siostra, lady Marshfeld, wspomniała, że odnawia pan dom.

Adam chętnie powitał zmianę tematu.

- Nic wielkiego. Budowla jest solidna. Przeciekał dach nad skrzydłem dla służby, więc go naprawiliśmy. Zmieniliśmy również wystrój pokoi, a ponadto wszędzie zainstalowaliśmy kanalizację, bieżącą wodę i łazienki. Bascombe zagwizdał.

- No, no. Proszę mi powiedzieć, Adamie... mogę tak do pana mówić?

McKendrick skinął głową.

- Proszę mi powiedzieć, Adamie, czy zamierza pan na stałe zamieszkać w Szkocji?

- Myślę, że w końcu wrócę do Nevady, żeby być bliżej matki. Ona się starzeje i choć moje siostry wraz z mężami mieszkają w pobliżu, nie chcę, żeby dzielił nas ocean.

- Czy istnieje możliwość, że matka opuści dom w Kansas i przyjedzie tutaj, gdyby jednak postanowił pan zostać w Szkocji?

Adam parsknął śmiechem.

- To mało prawdopodobne. Matka wprawdzie się starzeje, ale jest niezależna jak zawsze. Nigdy nie opuści farmy. To jedyna rzecz, która należy wyłącznie do niej. Nigdy z niej nie zrezygnuje, a ja nawet nie będę próbował jej zmuszać. W razie potrzeby wrócę do Kansas, żeby się nią opiekować.

- Wychowała syna, który przyniósłby chlubę każdej matce - stwierdził lord Bascombe i wstał z fotela. - Cieszę się, że miałem okazję pana poznać, panie McKendrick. - Uśmiechnął się szeroko, wyciągając do niego rękę. - I dobrze, że to pan wygrał ode mnie Larchmont Lodge.

Adam też wstał i uścisnął podaną dłoń.

- Ja również się cieszę.

Wreszcie trafił na angielskiego arystokratę, którego szczerze polubił. To dopiero jeden, ale zawsze jakiś początek. Jeśli przyjaciele lorda Bascombe byli podobni do niego, przyszłość domu myśliwskiego zapowiadała się nieźle.

- A nie ma pan do mnie żalu, że wygrałem dom, który od pokoleń należał do pańskiej rodziny?

Bascombe się roześmiał.

- Ani trochę. Nie stawiałbym go w pokerze, gdybym nie miał go dość. Spędzaliśmy tam zwykle sezon polowań w okresie Bożego Narodzenia. Nigdy nie lubiłem jeździć do Szkocji. Wolałem naszą rezydencję w Londynie. Dla mnie Larchmont Lodge zawsze było ciemne, zimne i, nie licząc łowów, śmiertelnie nudne.

- Mam szczerą nadzieję, że to zmienię - powiedział Adam. -
Lubi pan golfa?

- Mieszkam w Anglii, lecz jestem Szkotem. Nie grałem w golfa od lat, ale zawsze byłem w nim dobry.

- Buduję pole golfowe na terenie posiadłości - poinformował go Adam. - I bardzo bym chciał, żeby pan przyjechał i wypróbował je któregoś dnia.

Lord Bascombe poklepał go po ramieniu.

- Adamie, mój chłopcze, z prawdziwą przyjemnością.

„Szlachetny Baron zawsze zachowuje panowanie nad sobą, nigdy nie zdradza gniewu, rozczarowania ani niezadowolenia”.

- *„Druga część prawdziwych przygód Szlachetnego Barona, dobroczyńcy pięknych, zdradzonych blondynek”, spisanych przez Johna J. Bookmana, 1874.*

- Sądziłem, że lord Bascombe ma reputację małomównego Anglika - powiedział O'Brien, kiedy następnego ranka jedli śniadanie.

- Bo taki chyba jest - odparł Adam, kładąc na grzanek plaster szynki. - A co?

- Ostatniego wieczoru spędziliście razem dużo czasu w kacie palarni, pograżeni w rozmowie. - Murphy zabrał się za bekon, jajecznicę z czterech jaj i pół bochenka chleba.

McKendrick podniósł wzrok na przyjaciela i uśmiechnął się szeroko.

- Zazdrosny?

- A żebyś wiedział! - burknął O'Brien. - Musiałem słuchać, jak Marshfeld stara się zrobić wrażenie na lordzie Carstairsie i na tym bałwanie wicehrabim Shepherdsonie, podczas gdy ty i Bascombe doskonale się bawiliście. -

Murphy łypnął na niego spode łba. - Próbował cię przekonać, żebyś odsprzedał mu Larchmont Lodge? Adam potrząsnął głową.

- On wcale go nie chce. Słyszał, że odnawiam dom, i zainteresował się szczegółami.

- A ty złożyłeś mu drobiazgowy raport - domyślił się O'Brien.

- Raczej ogólny. Rozmawialiśmy o wielu rzeczach i... -I?

McKendrick się roześmiał.

- O ile zdążyłem się zorientować, lord Bascombe jest dostatecznie bystry, żeby zadbać o swoją własność.

- Dlatego pytałem.

- Choć może się to wydać dziwne, lubię go, Murph. Ty również polubisz.

- Kiedy będę miał okazję zawrzeć znajomość?

- Wcześniej, niż myślisz. Zaprosiłem go na golfa, jak tylko skończymy budować pole.

- Do diabła, Adamie! Już mam po uszy cudzoziemskich służących, którzy patrzą na mnie z góry, bo jestem Irlandczykiem, i na ciebie, bo jesteś Amerykaninem z prowincji, a ty chcesz jeszcze zapraszać Anglików, najbardziej aroganckich drani, jacy chodzą po ziemi!

McKendrick wzruszył ramionami.

- Polubiłem lorda Bascombe'a. Nie uważam, żeby był arogancki.

-I dobrze, ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, pozostanę przy swojej opinii Kto mówił wczoraj siostrze, że wilk nie zmieni się w baranka?

- Przyznaję się do winy. - Adam uniósł rękę. - Uważasz, że byłem dla niej za surowy?

- Nie. Tylko szczery, i chyba słusznie, ale Kirstin to uparta kobieta. Źle zrobiła, kłamiąc, żeby ściągnąć cię do Londynu i wykorzystać dla własnej chwały.

- Wykorzystała mnie, żeby popisać się przed przyjaciółmi. - Nadal był na nią zły, ale gniew nie usprawiedliwiał okrucieństwa. Adam obawiał się, że potraktował siostrę zbyt okrutnie. Mimo że samolubna i bezmyślna, miała dobry charakter. - Mogłem wykazać więcej zrozumienia, zachować panowanie nad sobą i cierpliwość. Znam Kirstin. - Dolał sobie kawy.

- Obaj znamy Kir... lady Marshfeld i obaj wiemy, że potrafi wystawić na próbę cierpliwość świętego.

- Tak, ale ja z nią dorastałem. Dobrze poznałem jej mocne strony i słabości. Śmietanka towarzyska przyciąga ją jak płomień ćmę. Kocham Kirstin, ale to nie znaczy, że nie jestem na nią zły. Nie musiałem jednak przypominać, że mąż ożenił się z nią przede wszystkim dla mojego majątku, a nie dla jej wdzięków.

-Nie zaszkodziło jej przypomnieć - stwierdził Murphy. - Marshfeld pod warstwą poluru jest dzikusem. - Zaczekał, aż Adam dokończy kawę, i spytał: - Chcesz przeprosić lady Marshfeld, kiedy zejdzie na śniadanie, czy wsiadamy do porannego pociągu i wracamy do Szkocji?

- Wracamy. - McKendrick odsunął krzesło od stołu i wstał. O'Brien wydał dramatyczne westchnienie.

-I znowu będę twoim lokajem zamiast przyjacielem.

- Naprawdę bardzo mi przykro, że skracam twój urlop. Możesz zostać, jeśli chcesz, ale ja mam już dość gościnności mojej siostry. Zaprosiła pół tuzina przyjaciółek, żeby wpadły dziś po południu na herbatkę ze Szlachetnym Baronem.

-Jadę z tobą. - Murphy zerwał się od stołu. - Do diabła! Kirstin jest albo najodważniejszą, albo najbardziej nieroztropną kobietą, jaką znam. Chyba jej to powiem.

- Najbardziej nieroztropną - stwierdził Adam. - Bo nie jestem w nastroju do wybaczenia.

- W takim razie będzie dla niej najlepiej, jeśli się wyniesiemy, nim zejdzie na śniadanie.

- Istotnie - zgodził się McKendrick.

Przebiegł wzrokiem pierwszą stronę porannego wydania Timesa, po czym złożył gazetę i wsunął ją do kieszeni. Nie musiał spieszyć się z czytaniem, zanim w jadalni zjawią się inni goście. Miał przed sobą dziesięć godzin jazdy pociągiem.

W czasie podróży do Szkocji Adam starał się nadrobić godziny snu stracone w nocy, ale tym razem w przedziale było aż sześciu pasażerów, więc nie mógł zasnąć.

Zanim dotarli do stacji Kinlochen i wsiedli do powozu, z głodu, niewyspania i hałasu rozboleła go głowa, a mięśnie zeszywniały od twardych siedzeń.

Był w podłym nastroju. W drodze przez Kinlochen, gdzie ożywiony ruch zmusił ich do jazdy z szybkością żółwia, wyglądał przez okno.

W wiosce wrzała praca: bielono ściany domów, naprawiano dachy. Grupa cieśli wznosiła płoty między błoniami a polem golfowym, malarze malowali szyldy gospody, szewca, piekarza, zieleniarza i rzeźnika.

Adam był zdumiony przemianą wioski, tętniącej życiem i handlem. Wzdłuż ulicy Old McElreath stały reklamy sprzętu golfowego i ubrań dla golfistów. Wiejscy chłopcy wypisali swoje nazwiska na tabliczkach umieszczonych obok stajni i stacji kolejowej jako chętni do noszenia kijów w Larchmont Lodge. Adam trącił przyjaciela łokciem.

- Obudź się i popatrz. Murphy usiadł prosto.

- Wioska.

McKendrick pochylił się do okna.

- Robotnicy malujący frontowe drzwi domów wyglądają znajomo. To nasi?

O'Brien skinął głową.

- Twoi.

- Wszyscy?

- Tak. - Murphy się uśmiechnął. - Nie wiedziałeś? Co dzień w wiosce pracują twoi robotnicy.

- Na czyje polecenie?

- Myślałem, że na twoje. - Dostrzegłszy zdumienie na twarzy przyjaciela, O'Brien dodał: - Gordon codziennie organizuje ekipy i wysyła je do Kinlochen. Sądziłem, że o tym wiesz. - Murphy wzruszył ramionami. - Bóg wie, że dzięki Larchmont wioska zmieniła się nie do poznania.

-Klub jeszcze nie jest otwarty - przypomniał mu Adam. - Kto to wszystko finansuje?

- Oni. - O'Brien wskazał skinieniem głowy na mieszkańców. - Dostali pracę, więc mają pieniądze do wydawania, a w nowym przedsięwzięciu upatrują swoją szansę. Wiedzą jednak, że nikt nie chciałby spędzać wolnego czasu w zapadłej dziurze, która nie ma nic do zaproponowania. Podobnie jak ty, wieśniacy z Kinlochen liczą na to, że klub odniesie wielki sukces.

- Jeśli zostanie otwarty - burknął Adam. - Nic dziwnego, że opóźniamy się z remontem. Nasi fachowcy odnawiają całą okolicę.

-I dobrze - powiedział Murphy i wzruszył ramionami. - Przecież to wszystko należy do ciebie. Kinlochen i posiadłość.

Adam wiedział, że O'Brien ma rację, ale nie chciał słuchać, jak przyjaciel wychwalał tutejszych Szkotów, ani przyznać się, że w swoich planach nie poświęcił ani jednej myśli wiosce sąsiadującej z Larchmont. W tej chwili marzył jedynie o sypialni, w której zamierzał spędzić kilka najbliższych godzin na mocnym, nieprzerwanym śnie.

Ale kiedy przekroczył próg domu, wręcz oniemiał.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin w Larchmont nastąpiły takie same zmiany jak w wiosce. Robotnicy byli porządnie ubrani, buty mieli wyczyszczone. Uchylali kapelusza przed pokojówkami, wszędzie rozbrzmiewało „proszę”, „dziękuję”, „przepraszam”. Zupełnie jakby zbieranina nieokrzesanych wieśniaków magicznie zmieniła się w chór anielski.

I to nie wszystko. W drzwiach powitał ich Albert i łamanym angielskim przekazał wieść, że tynkarze malują sufit w głównym salonie, dlatego popołudniowa herbatka została przeniesiona do

biblioteki. Herbata? Dla kogo? Przecież dom jeszcze nie był otwarty dla gości. Adam spojrział na O'Briena, ale przyjaciel miał również zdziwioną minę jak on.

-Kto je podwieczorek w bibliotece? - zapytał McKendrick.

- Kobiety - odparł kamerdyner.

- Jakie kobiety?

- Wszystkie. Proszę za mną, sir.

Adam wybierał się raczej do sypialni, ale ciekawość wzięła górę nad zmęczeniem. Musiał zobaczyć to zgromadzenie na własne oczy.

A zobaczywszy, uwierzył, bo w jego bibliotece rzeczywiście urządzono popołudniową herbatę i uczestniczyły w niej wszystkie pokojówki z Larchmont oraz służące, które dochodziły ze wsi. Nie był to zwykły podwieczorek. Jego sanktuarium zamieniono w kobiecy salon. Brenna czesała dziewczynę siedzącą na kanapie, podczas gdy Isobel, George i osiem innych kobiet siedziało w fotelach z robótkami, wymieniało się przepisami oraz nowinkami o modzie i kosmetykach.

Duży stół był nakryty białym obrusem, ozdobiony kwiatami w wazonach, zastawiony kryształami, porcelaną

McKendrick zdjął kapelusz i przetarł oczy wierzchem dłoni.

- Czy ja dobrze widzę? - zapytał przyjaciela, który stał za nim w progu.

Po prawie bezsennej nocy i dziesięciu godzinach jazdy pociągiem nie dowierzał własnym zmysłom.

- Nie jestem pewien - wyznał Murphy.

- Na co ci to wygląda?

- Na fantazję każdego mężczyzny. Albo koszmar. -O'Brien zmarszczył brwi. - To babskie przyjęcie.

- Wiem - burknął Adam. - Ale dlaczego tutaj, do diabła?

- Dzień dobry, sir - powiedziała wesoło Isobel. - Prosto ze stacji?

-Tak.

- Pili panowie herbatę?

- Nie.

-Może zechcą panowie się do nas przyłączyć? Adam łypnął na stół. Na widok małych kanapeczek, rogalików, ciastek i herbatników ślinka napłynęła mu do ust.

- Nie, dziękuję - odparł, choć w brzuchu mu zaburczało.

Isobel wstała.

- Proszę, sir. Przygotuję panu talerz. McKendrick potrząsnął głową.

- Idę się przespać do kolacji, ale zanim to zrobię, chciałbym się dowiedzieć, z jakiej okazji to zebranie i dlaczego najecha... wybrały panie akurat bibliotekę.

- Robotnicy malują sufit w głównym salonie - wyjaśniła ochmistrzyni.

- A pani pokój? - zapytał Adam. - Czy nie używa się go zwykle do przyjmowania służby?

- Tak, sir, ale robotnicy wymieniają tam tapetę.

- Na czyje polecenie?

- Pańskie, sir.

- Moje? - McKendrick był szczerze zaskoczony.

-Tak. - Isobel się uśmiechnęła. - Sam pan powiedział, żebym zrobiła wszystko, co trzeba, żeby poczuć się tam jak u siebie.

Zdecydowałam się na tapetę.

- Mówiłem to parę tygodni temu.

- Tak. No i wybrałam tapetę.

- Kiedy? Wczoraj? - Adam starał się nie podnosić głosu.

-Uznałam, że to bardzo rozsądne, skoro malarze i tak pracują w całym domu - rzekła pani Langstrom.

Adam powstrzymał się od pytania, co malarze mają wspólnego z tapeciarzami.

- Może mi pani wyjaśnić, co to za okazja? Wskazał na pokój pełen kobiet. Dostrzegł dwie nowe twarze, ale pozostałe rozpoznał. Widział je w dniu, kiedy zostały zatrudnione jako pomoce kuchenne, pomywaczki i praczki.

- Nie ma żadnej okazji.

- Nie rozumiem.

Adam spojrział na O'Briena, szukając u niego pomocy, ale przyjaciel tylko wzruszył ramionami.

- Każdego popołudnia pijemy herbatę, sir. McKendrick osłupiał, a Murphy z trudem powściągnął uśmiech. Adam trącił go łokciem w żebra.

- Oczywiście. Po prostu nie wiedziałem, że w tak licznym gronie. - Wskazał głową na nieznajome kobiety. - Nie przypominam sobie tych dwóch pań.

- Ma pan dobrą pamięć do twarzy, sir - stwierdziła Isobel z podziwem. - Rzeczywiście jeszcze pan ich nie poznał. Ta po lewej to Martha, a po prawej Sally.

Kobiety wstały i dygnęły uprzejmie.

- A co tutaj robią? - spytał McKendrick.

- Zatrudniłam je do pomocy Gianie.

Adam odruchowo skierował wzrok na George. Dziewczyna opuściła spojrzenie na robótkę.

- Rozumiem.

- Pokojówka ma dużo obowiązków - wyjaśniła ochmistrzyni. - Giana nie mogła uporać się z nimi sama, a poza tym... Uznałam, że to dobry pomysł, żeby ktoś inny odkurzał kruche przedmioty i porcelanę.

- A George zostanie ciężka fizyczna praca - stwierdził Adam.

Nie mógł znieść myśli, że George sprząta jego dom. Wolałby, żeby tłukła porcelanę, niż szorowała podłogi i czyściła kominki.

- Zapewniam pana, że Giana sobie poradzi - oświadczyła Isobel.

- Jest zdrowa i silna.

- A Brenna?

- Nie popuścisz, co? - syknął za nim Murphy. Ochmistrzyni zrobiła zdziwioną minę.

- Brenna to pokojówka pani domu.

- Która czesze inne służące.

- Musi ćwiczyć, żeby nie wyjść z wprawy - odparła sucho pani Langstrom.

McKendrick zmierzył Brennę wzrokiem. Jak w ogóle mogło przyjść mu do głowy, że woli ją od George? I to jedynie z powodu wzrostu, koloru włosów i oczu. Wiedział jednak, że przy tej dziewczynie nie spotkałyby go żadne niespodzianki. Jeden dzień byłby podobny do drugiego. Wszystkie bezpieczne, spokojne i nudne. Adam wziął głęboki oddech. Nie wątpił, że mała panna Langstrom stanowiłaby lepszy wybór, gdyby chodziło mu o święty spokój, gdyby szukał kobiety, która zawsze ustąpi przed jego wiedzą i mądrością. Nieśmiała i potulna Brenna nigdy nie kwestionowałaby jego wyborów ani nie popychała go do większych osiągnięć.

Miała to wszystko, czego, jak mu się wydawało, oczekiwał od towarzyszki życia, niestety zupełnie go nie pociągała. Była dość ładna, ale bezbarwna, podczas gdy jej siostra aż jaśniała... choć zawsze widywał ją tylko w bieli i czerni. Dlaczego pragnął jej wbrew rozsądkowi i swoim wyobrażeniom o ideale kobiety? Chryste, ależ był zmęczony! Przeczesał włosy dłonią. Zbyt zmęczony, żeby dyskutować z panią Langstrom albo zastanawiać się nad tajemniczą siłą, która przyciągała go do George.

- Niech Bóg broni, żeby Brenna wyszła z wprawy, choć nie ma tu pani domu, którą musiałaby się zajmować.

Nie zdawał sobie sprawy, że powiedział to na głos, póki nie usłyszał komentarza Isobel:

- Pewnego dnia się pojawi i wtedy będzie zadowolona z umiejętności Brenny.

- Oczywiście. Jak można być niezadowolonym z panny Langstrom? A teraz panie wybaczą, idę do swojego pokoju.

W żołądku znowu mu zaburczało.

- A co z herbatą? - spytała ochmistrzyni. - O'Brien ma ją panu zanieść na górę, zanim rozpakuje pański bagaż?

Adam zerknął na Murphy'ego.

- O'Brien też jest zmęczony i głodny. Proszę przygotować tace dla nas obu.

- Zaraz przyślę Marthę i Sally.

Adam omal nie poprosił, by Isobel przysłała George, ale się rozmyślił. Nie chciał kusić losu i wprawiać dziewczyny w zakłopotanie, gdyby stłukła kolejną porcelanę. Poza tym nie byłby w stanie się pohamować, gdyby został z nią sam na sam w pokoju.

- Świetnie.

Wyszedł z biblioteki i ruszył ku schodom. Murphy człapał za nim z dwiema walizami. W marmurowym holu dogonił ich Max.

McKendrick jęknął. .

- Dzień dobry, sir - powiedział sekretarz, ignorując O'Briena, który stał tuż za panem domu.

- Proszę, nie teraz, Max. Spałem zaledwie kilka godzin i właśnie idę do łóżka.

- Rozumiem, sir. Chciałem jedynie pana poinformować, że na biurku nie ma żadnych pilnych spraw. Pozwoliłem sobie załatwić pańską korespondencję...

-Co?!

- Zająłem się pańską korespondencją, z wyjątkiem osobistego listu od lady Marshfeld.

- Czytałeś moją pocztę? - McKendrick był poruszony.

- Oczywiście, sir. Wysłałem listy, które zostawił pan na biurku. To jeden z obowiązków prywatnego sekretarza. Podzieliłem sprawy na pilne, które trzeba załatwić natychmiast, i na te, które mogą poczekać. Pozwoliłem sobie również ułożyć pański kalendarz towarzyski oraz dokonać selekcji próśb o pieniądze nadsyłanych przez różne organizacje charytatywne. Sporządziłem listę tych, które znam i uważam za godne zaufania. Resztę musimy przejrzeć razem, póki nie zaznajomię się bliżej z pańską działalnością, rozkładem zajęć i rutynową korespondencją. -Max nie wspomniał o tym, że nie wysłał ogłoszeń, które McKendrick planował zamieścić we wszystkich głównych gazetach w Ameryce i Europie. - Czy jeszcze czegoś pan sobie życzy przed udaniem się na odpoczynek?

Adam zmarszczył brwi. Niczego nie chciał od Langstroma. Zwłaszcza sugestii, że jest starym głupcem, który codziennie potrzebuje drzemki. Nie oczekiwał również, że ktoś będzie zajmował się jego pocztą, układał kalendarz towarzyski i rozpatrywał, prośby o datki.

- Porozmawiamy później.

- Dobrze, sir. - Max stuknął obcasami, ukłonił się i oddalił.

- Co o tym wszystkim myślisz? - zapytał O'Brien, kiedy wchodzili po schodach.

Adam wziął od niego jedną walizkę.

- Nic nie rozumiem - przyznał. - Albo to jest zły sen, albo ten przeklęty dom stanął na głowie.

Scandalous

„Księżniczka królewskiego rodu Saxe-Wallerstein-Karolya zawsze jest miłym gościem. Nie wprawia gospodarzy w zakłopotanie, nie stawia wygórowanych żądań ani nie pozwala na to członkom swojej świty”.

- Zasada 483 protokołu i etykiety dworskiej rodu Saxe-Wallerstein-Karolya, Zatwierdzonych przez Jaśnie Oświeconego Księcia Karola V, 1641.

Giana haftowała dalej, w myślach odliczając czas. Słyszała, jak Max zatrzymuje McKendricka i O'Briena w holu, widziała, jak kilka minut później idzie do pokoju, który przywłaszczył sobie na gabinet, a który niegdyś służył zarządcy Larchmont Lodge. Tysiąc trzynaście, tysiąc czternaście, tysiąc pięć...

- Panno Langstrom!

Ryk wstrząsnął krokwiemi, odbił się echem od marmurowych posadzek. Wydawało się, że zaraz roztrzaska szyby i obłupie świeży tynk z sufitu.

Giana podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Brenny. Skinęła głową. Pokojówka rzuciła grzebień i wybiegła z biblioteki. Zgodnie z opracowanym wcześniej planem to ona miała zareagować na wezwanie. Adam

McKendrick radził Gianie trzymać się od niego z daleka, więc zamierzała go posłuchać.

- Nie ty! - dobiegł z podestu krzyk gospodarza. -Druga panna Langstrom! George!

Giana odłożyła robótkę i wstała z fotela.

- Weź to. - Isobel podała jej talerz kanapek i ciasteczek. - Może jedzenie ułagodzi bestię.

Giana się zawahała. Choć doceniała gest, podejrzewała, że trzeba by czegoś więcej niż kilku smakołyków, żeby ugłaskać bestię, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Minęła Brennę w drzwiach biblioteki i uśmiechnęła się w podziękowaniu za jej gotowość do wejścia do jaskini lwa. Rozprostowała plecy, uniosła brodę i wyszła na korytarz. Stukając obcasami o marmur, zaczęła wspinać się po schodach.

Gdy dotarła na górę, McKendrick wziął od niej talerz i wskazał na otwarte drzwi swojego pokoju.

- Co to ma znaczyć?

Giana zajrzała do środka. Na łożu pana domu niedawno musiał leżeć Wagner. Samego psa nigdzie nie było widać, ale na poduszkach zachował się odcisk jego łba i cielska. Na kołdrze wały się strzępy londyńskich gazet.

- Nie rozumiem - bąknęła.

Adam odstawił talerz na stół, posłał George groźne spojrzenie i gestem zaprosił ją do sypialni.

- Wagner?

- Mówiłem, żebyś trzymała go z dala od mojego pokoju.

Na końcu zdania zawisło niewypowiedziane „bo inaczej

- Zwolni nas pan?

Adam ściągnął brwi.

- Skąd ten pomysł?
- Skoro jest pan niezadowolony z naszej pracy...
- Nie jestem niezadowolony z waszej pracy. I nie zamierzam was zwalniać. Po prostu chcę, żebyś lepiej pilnowała bestii i trzymała ją z dala od mojego łóżka.

Giana zrozumiała, że na razie jej „rodzina” jest bezpieczna. Postanowiła przejść do porządku nad obraźliwym określeniem „bestia”.

- Wagnera nie ma w pańskim łóżku. -Ale był.
Giana rozejrzała się po pokoju.
- Więc gdzie się podział?
- Spał jak dziecko, z głową na mojej poduszce i łapami w powietrzu. Potem zniknął.
- Nienawidzi hałasu - wyjaśniła Giana, zaglądając pod łóżko.
- Nienawidzi mnie - sprostował Adam.
- Ależ nie! On pana lubi.
Giana sprawdziła za drzwiami i pod biurkiem.
- To dyskusyjne stwierdzenie - rzekł McKendrick. -

Bezdyskusyjny jest fakt, że bydlę lubi moje łóżko. Powiedz mi, George, czy spałaś tutaj w czasie mojej nieobecności?

- Oczywiście, że nie!
- Tylko chciałem się upewnić. - Adam posłał jej szeroki uśmiech. - Pomyślałem, że może za mną tęskniłaś.

- Tęsknił... - Giana najchętniej odgryzłaby sobie język. - Cóż, może i tęskniłam, ale nie tak bardzo, żeby tutaj spać podczas pańskiej nieobecności.

- Ale pozwoliłaś na to Wagnerowi - rzucił Adam marzycielskim tonem.

W tym momencie rozległo się skomlenie. Dochodziło z otwartej szafy. Giana natychmiast do niej podbiegła i zobaczyła skulonego na dnie wilczura.

- Wagner?

Jej pupil wysunął nos spomiędzy wełnianych garniturów. Na ten widok Giana nie zdołała powstrzymać się od uśmiechu. Wydawało się jej również, że dostrzega cień rozbawienia na przystojnej twarzy Adama.

- Nie wpuszczałam Wagnera do pańskiego pokoju - oświadczyła zgodnie z prawdą. Wydała takie polecenie Isobel. - Już dobrze. - Pogłaskała psa po głowie. - Adam nie chciał cię przestraszyć.

- Adam jak najbardziej chciał go przestraszyć, żeby wypędzić z własnego łóżka. Adam pada z nóg i nie ma ochoty spać ze stufuntowym bydlęciem. Co innego z jego panią...

Giana przygryzła wargę. Nie wiedziała, co myśleć o słowach McKendricka.

- Mniejsza o to - rzekł Adam. - Nie wpuszczaj go tu więcej.

- Nie wpuszczałam - powtórzyła George.

- Więc jak wyjaśnisz strzępy gazet rozrzucone po łóżku?

Przypominam sobie, że pożyczyłem ci je, zresztą na twoją prośbę.

- Po przeczytaniu odniosłam prasę do pańskiej sypialni.

Adam przyjrzał się jej uważnie i stwierdził, że dziewczyna mówi prawdę. Nie umiała kłamać.

- Dlaczego nie do biblioteki?

- Skończyłam je czytać dopiero dziś rano. - Giana nie potrafiła skupić się na jego pytaniach i własnych odpowiedziach. Przyłapała się na tym, że patrzy na jego usta i zastanawia się, czy on też pragnie ją pocałować. - Przyniosłam je tutaj i położyłam na biurku, bo Is... moja matka szykowała bibliotekę do podwieczorka Wagnera tu nie było, ale ktoś mógł go później wpuścić. Łatwiej utrzymać go z dala od pańskiej sypialni niż od zastawionego stołu.

- Naprawdę? Nie zauważyłem.

Mimo że zasłużony, jego sarkazm ciął jak odłamki porcelany w dłoń. Giana opuściła głowę.

- Przepraszam. - Mówiła szczerze. Było jej przykro, że musiała go oszukiwać. Przykro, że pozwoliła Wagnerowi zniszczyć jego własność, choćby jedynie plik gazet. - Nie tylko ja wchodzę do tego pokoju w ciągu dnia.

- Od tej pory tak.

Giana nie odpowiedziała. Wzrok trzymała utkwiony w podłodze.

- Hej. - Adam uniósł jej brodę palcem wskazującym. -Ja też przepraszam.

Tym razem na niego spojrzała. McKendrick dostrzegł lśnienie łez w jej oczach.

- Nie płacz - powiedział cicho.

- Bzdura. Osoby o mojej pozycji nigdy nie płaczą.

- Naprawdę? Dlaczego? - Adam kciukiem otarł łzę z jej policzka.

- Bo nie mogą sobie na to pozwolić. Poza tym płacz niczego nie zmienia.

- Czasami człowiek czuje się po nim lepiej.

- Wcale nie. Ma czerwone oczy, zapchany nos, piecze go gardło i boli głowa.

- Ale na sercu mu łżej. I skąd tyle wiesz, skoro nigdy nie płaczesz?

Giana posłała mu wyniosłe, królewskie spojrzenie.

- Nie powiedziałam, że nigdy. Jak wszyscy płakałam w dzieciństwie. I dobrze pamiętam, że źle się później czułam, a mazgajstwo niewiele pomagało.

Adam chwycił palcem następną łzę i pokiwał głową.

- Oczywiście. Dlatego ja też przestałem się mazać. - Wykrzywił twarz, a kiedy Giana się roześmiała, mruknął: - No, już lepiej.

- Tak? - Nachyliła się ku niemu.

Adam przesunął kciukiem po jej ustach. Miał wielką ochotę ją pocałować, ale wiedział, jakie to może być niebezpieczne dla jego spokoju ducha. Musiał nad sobą zapanować.

- Chciałbym, ale... - Potrząsnął głową. - W tej chwili nie jestem najlepszym towarzystwem, a tym bardziej kochankiem...

Giana wytrzeszczyła oczy.

- W porządku - powiedział Adam. - Nie musisz nic mówić ani niczego się obawiać. Po prostu zabierz Wagnera i idź.

Giana naprawdę się starała, ale po kwadransie rozkazywania, błagania, przymilania się, a nawet przekupywania kęsami z talerza Adama, musiała przyznać się do porażki Wagner, najbardziej posłuszne stworzenie na świecie,; bardzo ją zawiódł. Za nic nie chciał wyjść z szafy. W końcu schyliła się, żeby wynieść go z przytulnej kryjówki.

- O, nie! - Adam otoczył ją ramieniem w pasie i odciągnął. - Jest za duży i za ciężki. Zrobisz sobie krzywdę.

Choć miał całkiem niewinne zamiary, dotyk jej ciała sprawił mu przyjemność. Byli jak dwie łyżeczki, pasowali do siebie idealnie.

- Więc pan musi spróbować...

- Nie. - Adam niechętnie puścił Gianę, odsunął się i potrząsnął głową. - Może wyjdę na tchórza, ale nie będę ryzykował własnego krzyża.

Z wielkim łbem, łagodnymi, brązowymi oczami i aksamitną obrożą, Wagner nie wyglądał groźnie, ale nie darmo jego rasę nazwano wilczurami.

- Więc co zrobimy? - spytała Giana.

Adamowi przychodziło do głowy wiele rzeczy, które miałby ochotę z nią robić, ale nie takich propozycji George oczekiwała.

- Zostawmy go, gdzie jest - postanowił.

- Słucham?

McKendrick się uśmiechnął.

- Dobrze słyszałaś. Zaproponowałem, żeby zostawić go tu na noc.

- Na pewno?

- Nie, ale póki będzie cicho, jakoś wytrzymam. -Stłumił ziewnięcie, po czym obrócił George za ramiona i skierował ją ku wyjściu. - Dobranoc.

Giana spojrzała w okno. Na dworze było jeszcze jasno. Adam powędrował za jej wzrokiem.

- Zamierzam przespać kolację i, mam nadzieję, całą noc. - Otworzył drzwi i lekko wypchnął ją na korytarz. - Jak przyjdiesz rano po psa, przynieś mi śniadanie i gazetę.

- On wychodzi bardzo wcześnie - ostrzegła Giana.

- Trudno. Ale jeśli narobi tutaj szkód...

- Wiem. Proszę się nie obawiać. W razie czego zapłacę za wszystko.

„Księżniczka królewskiego rodu Saxe-Wallerstein-Karolya przynosi chlubę swojemu nazwisku i rodowi. Nie wolno jej zrobić nic, co wywołałoby skandal i okryło je hańbą”.

- Zasada 10 protokołu i etykiety dworskiej rodu

Saxe-Wallerstein-Karoya, zatwierdzonych przez Jaśnie Oświeconego Księcia Karola I, 1432.

Giana zjawiła się w sypialni pana domu o wpół do szóstej rano, niosąc na tacy śniadanie, dzbanek kawy i jedną, lekko osmaloną, gazetę. Była zadowolona, że karolyańska księżniczka zniknęła z nagłówek i pierwszych kolumn, relegowana na trzecią stronę. Sama wyprasowała gazetę, ćwicząc umiejętność, której przed siedmiu laty uczyła się w Karolyi. Na szczęście teraz musiała wypalić tylko mały fragment jednego dziennika. Ponieważ wstała przed resztą domowników, w kuchni natknęła się jedynie na panią Dunham i Henry'ego, do którego obowiązków należało szykowanie śniadań. Jeśli nawet zastanawiali się, dlaczego poprosiła o tacę, nic nie powiedzieli. Za pewne dzbanek kawy mówił sam za siebie. Tylko trzy osoby w Larchmont Lodge nie pijały herbaty

Adam McKendrick, Murphy O'Brien i Henri Latour.

Giana oparła tacę na biodrze i zapukała do drzwi pana domu. Gdy nie usłyszała odpowiedzi, zrobiła to ponownie. Po trzecim razie przekreśliła gałkę i zajrzała do środka. Gospodarz spał w najlepsze.

I nie miał na sobie koszuli nocnej.

Jego szerokie plecy, opalone na złoty kolor, były nagie. Giana z trudem opanowała pokusę, żeby ich dotknąć, sprawdzić, czy skóra jest tak gładka i ciepła, na jaką wygląda.

Rozejrzała się po pokoju. Koszula, kamizelka, surdut i spodnie wisiały na poparciu krzesła przy biurku, kapelusz wieńczył stos. Giana na palcach zbliżyła się do stolika nocnego i ostrożnie postawiła na nim tacę.

Na podłodze obok łóżka leżały wysokie skórzane buty. Czubek jednego był trochę mniej błyszczący i widniały na nim ślady psich zębów. Winowajca spał zwinięty na kołdrze obok McKendricka.

Giana podniosła but i obejrzała go dokładnie. Tak, bez wątpienia dobrał się do niego Wagner. Co zrobić, żeby właściciel nie od razu się zorientował? Rąbkim fartucha zaczęła energicznie polerować zniszczoną skórę, wydzielając zapach pasty używanej do impregnacji. Kiedy postawiła but obok drugiego, stwierdziła, że ślady są nadal widoczne, zwłaszcza przy tamtym lśniącym. Odłożyła więc but tam, gdzie go znalazła. Pozostawało jej jedynie zapłacić za szkodę. Odpięła górne guziki sukni i sięgnęła po wszytą w gorset biżuterię. Zdawało się jej, że trafiła na diamentowy kolczyk, ale okazało się, że wyciągnęła złoty pierścień z wielką czarną perłą z Mórz Południowych, otoczoną przez małe brylanty. Westchnęła. Zawsze podziwiała ten klejnot. W dzieciństwie stawała przed portretem swojej prababki, księżnej Rosamund, i ćwiczyła liczenie na diamentach. Było ich szesnaście.

Szybko, żeby się nie rozmyślić, wrzuciła pierścień do buta Adama. Poczowała w oczach gorące łzy i przygryzła wargę, żeby się nie rozpłakać. Stało się. Zapłaciła za zbrodnię Wagnera i rolę, którą w niej odegrała. Bardziej zależało jej na pupilu niż na ulubionym rodowym klejnocie, części dziedzictwa.

Wagner był tylko psem. Nie mógł oprzeć się zapachowi piżma, podobnie jak pszczoła woni nektaru. A ona sile przyciągania Adama McKendricka. Westchnęła cicho. Nie powinna się na niego gapić, zwłaszcza kiedy spał, ale nie potrafiła odmówić sobie tej przyjemności.

Leżał pośrodku łóżka. Jego jedynym przykryciem było prześcieradło owinięte wokół bioder. Włosy miał zmierzwione, na szczęce czernił się zarost. Na policzki kładł się cień gęstych czarnych rzęs. W rozkwicie młodości, nagi i bezbronny, powinien sprawiać wrażenie niewinnego chłopca. Lecz drobne zmarszczki w kącikach oczu, silne mięśnie ramion i pleców oraz dawno wygojona blizna świadczyły o dojrzałości. Adam McKendrick wyglądał niebezpiecznie. Dla jej spokoju ducha.

Przygryzła wargę i zacisnęła pięści, żeby zwalczyć przemożną ochotę zrzucenia z siebie ubrania i wskoczenia do łóżka. Krew napłynęła jej do twarzy. Usta pragnęły być całowane, ciało dotykane.

Marzyła, żeby otworzył oczy. Chciała zobaczyć w nich pożądanie. Tęskniła za tym, żeby poczuć jego dłonie na swoich nagich piersiach, na udach, jak wtedy gdy leżeli na kanapie w bibliotece.

Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że chęć, by się do kogoś przytulić, może być tak silna. Wychowana pod kloszem, w ogóle nie wiedziała, że takie pragnienia istnieją. Teraz sama je poznała. Te dziwne uczucia wzbudził w niej Adam McKendrick. Mężczyzna, którego pokochała.

Giana potrząsnęła głową, próbując odpędzić niechcianą myśl. Tylko nie to! Nie mogła kochać Adama McKendricka. Księżniczki nie wychodziły za mąż z miłości. Wybierano im kandydatów do ręki, kierując się dobrem kraju i dynastii. Dobrze o tym wiedziała, bo była następczynią tronu uciekającą przed mężczyzną, który chciał ją dostać żywą lub martwą. Wyłącznie dla królewskiego sygnetu.

Adam McKendrick do wszystkiego w życiu doszedł sam, nie wywodził się z wielkiego rodu. Nie mogła być taka głupia, żeby się w nim zakochać. To tylko pożądanie, wmawiała sobie. Zdrowa, zwierzęca żądza. Więc dlaczego do tej pory nie pragnęła innych mężczyzn, przystojniejszych, miłszych, bardziej dla niej odpowiednich? Zadrzała. Kiedy straciła głowę? Kiedy zadurzyła się w Adamie McKendricku?

- Wagner! - wyszeptała, lekko ciągnąc za obrozę. -Chodź.

Wilczur otworzył oczy, przeciągnął się i ziewnął, a następnie zeskoczył na podłogę i natychmiast ruszył do buta leżącego przy łóżku. Zaczął go obwąchiwać i trącać łapą.

- Nie! - syknęła jego pani.

- George? - zamruczał Adam.

Gianie mocniej zabiło serce. Wydawało się mówić: idź za moim głosem, idź za moim głosem.

- Słucham?

McKendrick poruszył nosem.

- Czyżbym czuł kawę? Giana się uśmiechnęła.

- Tak. Przyniosłam śniadanie, kawę i gazetę, tak jak pan kazał.

- Dokąd się wybierasz?

- Muszę wyprowadzić Wagnera, nim będzie za późno.

Adam przekręcił się na plecy.

- Wrócisz do mnie?

Giana patrzyła na niego z fascynacją, ale niestety prześcieradło zasłaniało wszystkie tajemnicze części ciała oprócz paska ciemnych włosów biegnących ku miejscu, które wyraźnie rysowało się pod cienkim płótnem.

- A chciałby pan? McKendrick się uśmiechnął.

- Nie sądzę, żeby istniały co do tego jakiegokolwiek wątpliwości.

Spojrzał w dół.

Giana poszła za jego wzrokiem i oblała się rumieńcem.

- Nie jestem pewna. Adam zmarszczył brwi.

- Nie jesteś pewna, czy chcesz tego samego co ja?

- Nie wiem, czego pan chce - odparła zgodnie

z prawdą. - Ale podejrzewam, że sprawiłoby mi to przyjemność.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo lubię pańskie pocałunki - odparła zachrypniętym głosem, niewiele głośniejszym od szeptu.

Adam z trudem zachował panowanie nad sobą.

- Więc wyprowadź psa i przyjdź do mnie szybko. Zobaczymy, co dalej...

Giana przygryzła wargę.

- Nie bój się - powiedział McKendrick kojącym tonem. -

Zacniemy od pocałunków. A potem... będę otwarty na propozycje.

- Zaraz wracam.

Giana strzeliła palcami. Gdy Wagner do niej podbiegł, zerknęła na but. Pierścień nadal był w środku.

- Pospiesz się - rzucił Adam. Przeciągnął się i ziewnął. Nic dziwnego, że był taki niecierpliwy! Nie dość, że przez całą noc śniła mu się George w różnych pozach i strojach, przeważnie niekompletnych, to jeszcze obudził go zapach kwiatów pomarańczy i kawy. -Wspólnie się zastanowimy, jak mam zawrzeć pakt z bestią.

- Na początek niech pan przestanie nazywać go bestią.

- Jemu to obojętne.

- Ale mnie nie. - Giana obdarzyła Adama tajemniczym uśmiechem księżniczki i ruszyła do drzwi. -A Wagner rozpoznaje ton głosu.

- Nie zapomniałaś o czymś?

- Śniadanie i kawa są na stoliku obok łóżka.

- A gazeta?

- Obok talerza.

- Sama przyniosłaś tacę?

- Tak - odparła Giana z dumą. - I wszystkie naczynia są w jednym kawałku.

- Dziękuję.

- Proszę.

Giana otworzyła drzwi sypialni.

- Mam nadzieję, że w nocy pies siedział w szafie i zachowywał się grzecznie.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

- George?

- Chodź, Wagner! - rzuciła Giana, pośpiesznie wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi.

Adam przez chwilę nasłuchiwał kroków i szurania psich pazurów na marmurze, ale zamiast tych dźwięków dobiegł go skruszony głos George.

- Przykro nam z powodu pańskiego buta. Wagnera skusił zapach pasty. Mamy nadzieję, że przyjmie pan nasze przeprosiny i zapłatę.

- Co się stało z moim butem? - Adam wyskoczył z łóżka i podbiegł do drzwi. - George!

Była już w połowie korytarza, kiedy się obejrzała i zobaczyła McKendricka w całej męskiej okazałości.

Przełknęła ślinę. Widok nagiego Adama zapierał dech w piersiach. Jej wyobrażenia nie oddawały mu sprawiedliwości. Był piękny! Doskonały jak posągi w Watykanie, które okryto na czas oficjalnej wizyty karolyańskiej rodziny panującej.

Pobiegła do schodów, żeby natychmiast nie zawrócić.

- George!

Gdy usłyszała trzask drzwi, zaczęła cicho liczyć:

- ... pięć, sześć, siedem, osiem...

- Wagner! Ty bestio! To ręcznie szyte buty! Kosztowały trzysta dolarów!

Ale wilczur już pędził w dół po schodach. Po chwili wypadł do ogrodu, strasząc robotników.

Scandalous

„Szlachetny Baron jest mężczyzną dumnym, śmiałym, pewnym każdego swojego kroku”.

- „Pierwsza część prawdziwych przygód Szlachetnego Barona, dobroczyńcy pięknych, zdradzonych blondynek”, spisanych przez Johna J. Bookmana, 1874.

Nie wracała.

Wyrowadzenie psa nie mogło tak długo trwać.

Adam doszedł do tego błyskotliwego wniosku po trzech kwadransach od chwili, kiedy George zbiegła po schodach, jakby uciekała przed szaleńcem. Prawdę mówiąc, tak właśnie się zachowywał. Wołał za nią. Wrzeszczał na przeklętego psa. Stojąc w drzwiach sypialni o szóstej rano, ryczał tak, że obudziłby umarłego. W dodatku zupełnie nagi. Dobry Boże! Nic dziwnego, że się nie zjawiała. On by nie wrócił na jej miejscu.

- Adam?

McKendrick podniósł wzrok i zobaczył w progu O'Briena.

- Pukałem, ale nie odpowiadałeś.

- Przepraszam. Nie słyszałem. Murphy się roześmiał.

- To zrozumiałe. - Postawił tacę w nogach łóżka. -

Chyba masz dużo na głowie. Przyniosłem ci świeżej kawy.

- Dzięki.

McKendrick podał mu pustą filiżankę, a przyjaciel ją napenił.

- Masz kłopot, chłopcze. - Nie tracąc czasu, O'Brien przeszedł do sedna: - Ona jest tym kłopotem.

- Tak, wiem - mruknął Adam.

- Ta druga byłaby dla ciebie lepsza - ciągnął Murphy. - I jest bardziej w twoim typie. Zawsze mówiłeś, że szukasz takiej kobiety.

McKendrick zacisnął powieki, po chwili je otworzył i rozejrzał się po pokoju, jakby miał nadzieję, że ujrzy go cudownie zmienionym. Zaśmiał się lekceważąco.

- Chryste! Nie mówisz mi niczego nowego. Nie ma wątpliwości, że Brenna byłaby dla mnie o wiele lepsza niż George. Pod każdym względem. Mniej gadatliwa, mniej uparta, mniej skomplikowana. Wszystko bym dał, żeby móc wziąć ją do łóżka i pozbyć się tego dręczącego pragnienia! Co ja bym dał, żeby uwolnić się od... - Zawiesił głos i spojrzał na drzwi. - Słyszałeś?

O'Brien potrząsnął głową. Adam wzruszył ramionami.

- Pewnie mi się wydawało.

Murphy podszedł do drzwi. Były uchylone. Pchnął je, ale nie doczekał się charakterystycznego szczęknięcia zamka. W szparze tkwił kawałek czarnej satyny. O'Brien wyciągnął materiał i zamknął drzwi do końca.

- Ta mała Brenna wydaje się łagodna.

- Tak - zgodził się Adam.

- Jest drobna, kobieca, ma krągłości we właściwych miejscach.

Każdy mężczyzna byłby zadowolony, trzymając ją w ramionach.

- Nie mogę się spierać z tą oceną.

- Dużo bardziej nadawałaby się na żonę niż Amazonka.

- Gdybym szukał żony, byłaby właściwym typem kobiety...

O'Brien zagwizdał cicho, żeby zagłuszyć stłumiony okrzyk i kroki pospiesznie oddalające się korytarzem.

- Ale ja nie śnię o Brennie. Nie zapominam przy niej o zasadach moralnych. Nie mam trudności z trzymaniem rąk przy sobie. - Adam wstał z fotela i podszedł do okna. - I nie robię z siebie głupca z jej powodu.

- Właśnie - przyznał Murphy skwapliwie,

- Pamiętaj, żebym kiedyś zapomniał się ubrać, wybiegając za kobietą?

O'Brien potrząsnął głową.

- Nie. - Po prawdzie, nigdy nie widział, żeby przyjaciel gonił za kobietą. Jakąkolwiek. W dodatku nagi. Co najwyżej proponował im pomoc albo się z nimi żegnał. - Ale cieszę się, że naprawiłeś błąd.

McKendrick był już ogolony i ubrany, ale bez butów.

- Tyle przynajmniej mogłem zrobić po przedstawieniu, które dziś rano dałem. Jezu, Józefie, Maryjo! Chyba postradałem rozum.

- Jedynie rozsądek - pocieszył go O'Brien. -I jeśli to poprawi ci samopoczucie, wiedz, że tylko Georgiana i ja byliśmy świadkami przedstawienia, choć inni mogli słyszeć krzyki.

- Nie czuję się lepiej, ale dzięki. Adam wrócił do stolika.

- Cóż, widywałem w życiu gorsze rzeczy - stwierdził Murphy swoim najlepszym irlandzkim akcentem.

- Tak, ale czy ona również? Przyjaciel się uśmiechnął.

- Miała trochę inny widok niż ja. I zaryzykuję domysł, że zrobiłeś na niej większe wrażenie.

- Tak. Wystarczające, żeby przyprawić młodą dziewczę o koszmary.

- Albo podsycić ciekawość.

Adam dokończył kawę i odstawił filiżankę.

- Jak widzisz, nie wróciła.

- Pewnie ma więcej rozsądku niż ty. - Murphy zaczął sprzątać pokój. - Podobno pies zjadł ci buty.

- Przeżuł czubek jednego - potwierdził McKendrick. O'Brien z bliska obejrzał szkody.

- Tylko tyle?

Adam popatrzył na niego zmieszany.

- Obawiam się, że straciłem panowanie nad sobą.

- To mało powiedziane. Zwłaszcza że odrobina czarnej pasty zamaskuje ślady zębów.

- Czego używasz do impregnacji?

- Niczego. Płacę jednemu ze stajennych, żeby czyścił twoje i moje buty.

- A on czego używa?

O'Brien schylił się po nieuszkodzony but i powąchał skórę.

- Pachnie olejem piżmowym.

- Tak myślałem. Powiedz chłopakowi, żeby go nie używał.

- Dlaczego? Nie ma lepszego środka.

- Zapach piżma przyciąga psa.

- Racja - przyznał O'Brien. - Może każę chłopakowi wypastować buty i zobaczymy, czy Wagner drugi też pogryzie.

- Zaczekaj. - Adam rzucił spojrzenie na zegar i westchnął. -
Dobrze, że się ubrałem, bo ona już nie przyjdzie.

- Pewnie chce ci dać czas, żebyś ochłonał, zjadł śniadanie, wypił kawę i przeczytał gazetę. - Murphy nakrył talerze srebrnymi pokrywkami.

- Nie musisz tego robić - powiedział Adam. - Jesteś detektywem Pinkertona, a nie lokajem.

Pierwsza rzecz, jakiej się uczysz u Pinkertona, to wczuwanie w rolę, którą odgrywasz. Ja wybrałem akurat tę i póki jestem w Larchmont Lodge, będę twoim lokajem. - O'Brien sięgnął po starannie złożoną gazetę i cisnął ją przyjacielowi. - Widzę, że udało się jej nie stłuc porcelany i że nie zapomniała o twojej porannej lekturze. Zadała sobie nawet trud jej wyprasowania, więc przynajmniej możesz ją otworzyć.

- Skąd wiesz, że ją wyprasowała? - Adam rozłożył Timesa i, zanim przyjaciel zdążył się odezwać, dodał: -Chyba nie musisz odpowiadać, - Uniósł gazetę, demonstrując trójkątny ślad żelazka, i pokręcił głową. Dwie szpalty na trzeciej stronie były spalone i całkiem nieczytelne. - Nie wiem, co sobie myśleli jej rodzice, kiedy wykształcili ją na służącą. Dziewczyna na pewno ma wiele talentów, ale nie do prac domowych.

Złożył gazetę, cisnął ją na łóżko i wybuchnął śmiechem. O'Brien łypnął na niego podejrzliwie, jakby obawiał się powtórki porannego wybuchu.

- Co cię tak rozbawiło?

- To! - Adam wskazał na gazetę. - Jeszcze żadnej nie miałem okazji przeczytać, odkąd tu przyjechałem.

- Nie do wiary! - wykrzyknął Murphy z udawaną konsternacją. - Adam McKendrick? Człowiek, który nie może żyć bez stron finansowych?

- Lepiej uwierz - rzucił Adam sucho. - Odkąd tu jestem, wciąż coś się dzieje z prasą. W zeszłym tygodniu Wagner podarł całą dostawę, kolejną zniszczyła George.

Słowa przyjaciela nie rozśmieszyły Murphy'ego O'Briena.

- A nie przyszło ci do głowy, że ktoś nie chce, żebyś je przeczytał?

McKendrick spoważniał i zmierzył go wzrokiem.

- Co masz na myśli?

- Nie wierzę w tego rodzaju przypadki. - Popatrzył Adamowi w oczy. - A ty?

- Ja też nie. Podaj mi buty, proszę.

Gdy przyjaciel spełnił prośbę, Adam wciągnął prawy, a następnie wsunął stopę w lewy.

- Co jest, do licha? - Zdjął but, obrócił go i potrząsnął nim lekko. Ze środka wypadł jakiś przedmiot. - A niech mnie!

Na dywanie leżał złoty pierścień z ogromną czarną perłą otoczoną diamentami. Adam nie był jubilerem, ale tyle lat spędził na kopaniu srebra, że potrafił rozpoznać cenną rzecz. Klejnot, który trzymał w ręce, wart fortunę, musiał pochodzić z rodowej kolekcji i tylko jedna osoba mogła go włożyć do jego buta.

Murphy zagwizdał z podziwem.

- Nigdy takiego, nie widziałem.

- Ja również. Chyba że na portretach z muzeum, na palcach królów, królowych i papieży. Skąd u George taki pierścień?

- Jest pokojówką - przypomniał mu O'Brien. - Oczywiście odpowiedź brzmi, że go ukradła.

- Na pewno nie mnie.

- Hrabinie Brocavii? - podsunął Murphy.

- Możliwe, ale nie sądzę. Jeśli go ukradła, dlaczego miałyby wkładać do mojego buta? - Adam podrapał się po brodzie. - Poza tym nie wierzę w istnienie hrabiny Brocavii. Uważam, że wymyślili to nazwisko i całą resztę, żeby dostać pracę w Larchmont Lodge.

- Skąd taki wniosek? - zapytał O'Brien.

Adam zrelacjonował mu rozmowę w bibliotece, kiedy to George przez pomyłkę nazwała dawną pracodawczynię hrabiną Brocadii. Murphy pokiwał głową.

- Skłamacz. Ale dlaczego? - Spojrzał na pierścień. - Z jakiego kraju pochodzą, według ciebie?

- Z Karolyi - odparł McKendrick bez namysłu.

- Z Karolyi? - O'Brien zmarszczył brwi - Czy to nie tam. -

- Lord Bascombe wspomniał, że Isobel i Albert mieszkali w Karolyi. - Adam oddał pierścień Murphy'emu, podszedł do szafy i zaczął czegoś szukać w płaszczu. - Jest w tym domu jedna cała gazeta. - Triumfalnie pomachał złożonym egzemplarzem. - Wczoraj kupiłem ją w Londynie i schowałem do kieszeni, żeby przeczytać: w pociągu.

Niestety zdążyłem jedynie spojrzeć na nagłówki i strony finansowe, bo rozboleła mnie głowa. Pamiętam jednak tytuł. Jest. „Zaginęła karolyańska księżniczka. Możliwe, że nie żyje”.

Przebiegł wzrokiem artykuł i przyjrzał się małemu! zdjęciu. Uwidoczniona na nim osoba była uderzająco] podobna do George McKendrick wręczył gazet O'Brienowi.

- Sądysz, że to możliwe? - spytał Murphy zaskoczony.

- Tak - odparł McKendrick. - Mało prawdopodobne, ale możliwe. Niestety jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

- Adamie? - W głosie O'Briena zabrzmiał niepokój. -Chcesz zapytać ją o pierścień?

- W określony sposób.

- Co to znaczy? Adam westchnął.

- Jeśli to ona jest zaginioną księżniczką, skłamała wiele razy.

Najwyraźniej ma powody, żeby się ukrywać i oszukiwać, więc jakie są szanse, że mi zaufa i powie prawdę?

- Jeśli to ona jest zaginioną księżniczką, musi jej bardzo zależeć na tym, żeby zostać w Larchmont Lodge, bo inaczej nie pracowałaby tu jako pokojówka,

-Właśnie. - McKendrick spojrzał przyjacielowi. -Jak bardzo?

- Nie rób tego, Adamie - ostrzegł go Murphy. - Proszę, opamiętaj się w porę. Jeśli jest, jak mówisz, lepiej, żebyś nie miał żadnych wspomnień,

McKendrick uśmiechnął się krzywo.

- Chciałbym, żeby to było takie proste.

„Księżniczka królewskiego rodu Saxe-Wallerstein-Karolya panuje nad silnymi emocjami. Poddanym zawsze ukazuje przyjemne oblicze”.

- Zasada 217 protokołu i etykiety dworskiej rodu Saxe-Wallerstein-Karolya, zatwierdzonych przez jaśnie oświeconego Księcia Karola I, 1432.

Odszukał ją samą w świeżo odnowionym skrzydle dla służby. Leżała na łóżku, z kolanami podciągniętymi pod brodę i zgarbionymi plecami. Obok niej spał Wagner.

Adam miał w głębi duszy nadzieję, że jej nie znajdzie. Z drugiej strony wyobrażał sobie, że George po wita go radosnym uśmiechem albo rzuci mu się w ramiona i obsypie gorącymi pocałunkami. Ale ona nawet na niego nie spojrzała, kiedy wszedł do pokoju, ani nie dała żadnego znaku, że wie o jego obecności.

Zbliżywszy się, Adam dostrzegł, że jej ramiona drżą gwałtownie. I zrozumiał, dlaczego go nie usłyszała. Płakała spazmatycznie, żałośnie.

Zatrzymał się w pół kroku, a po chwili cofnął ku drzwiom, wstrząśnięty, niepewny, jak zareagować. Sciskało go w żołądku, czuł się nieswojo, zrobiłby wszystko, żeby ją pocieszyć. Może dlatego, że rozpaczała w samotności, w ukryciu. Jego siostry wybuchały płaczem z byle powodu, używały łez, żeby wymusić na nim ustępstwa albo przysługi. Ta żalność była inna, szczerza.

Zaledwie poprzedniego dnia George oświadczyła, że ludzie z jej sfery nie płaczą.

Ale teraz zanosila się szloch. Na ten widok rozboleło go serce. Chciał wziąć ją w ramiona i przytulić. Ukołysać i obiecać, że wszystko będzie dobrze. Zapewnić, że jej sekret jest bezpieczny. Chciał... Pożądał jej. Pragnął George Langstrom, jasnowłosej kobiety, dumnej, upartej, nieokiełznanej.

Ruszył w jej stronę.

Wagner obudził się i warknął głucho. McKendrick zlekceważył ostrzeżenie i usiadł na brzegu łóżka.

- George?

- Odejdź. - Nie spojrzała na niego, tylko ukryła twarz w poduszce.

Adam spróbował ponownie.

- Giano?

Położył dłoń na jej ramieniu. George ją strąciła.

- Nie wolno mnie dotykać.

McKendrick czym prędzej zabrał rękę, zaskoczony urazą brzmiącą w głosie dziewczyny. Nie wiedział, czy to jego krzyk wprowił George w ten nastrój, ale życie z czterema siostrami nauczyło go, jak rozpoznawać znaki, kiedy się wycofać, a kiedy postąpić inaczej.

- Płaczesz?

Giana wierzchem dłoni otarła łzy z policzków i usiadła.

- Nigdy nie płaczemy przed obcymi.

- W takim razie dobrze udajesz. Ale ponieważ nie jestem obcy, możesz sobie pofolgować.

- Naprawdę?

- Tak - odparł z łagodnym uśmiechem. - Jak mogę być obcy, skoro to ja pierwszy raz cię pocałowałem?

- Bo nie miał pan ciekawszego zajęcia - odparowała Giana. - Ale wolałby pan całować kogo innego.

- Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy ani za kogo mnie uważasz. Nie mam zwyczaju prowadzić podwójnej gry.

Adama zaskoczył sposób, w jaki George na niego patrzyła. Łzy lśniły w jej niebieskich oczach, zaczerwienionych od płaczu. Źrenice ciskały pioruny, a głos był pełen jadu. McKendrick wstał i zaczął spacerować po pokoju.

- Sam pan to powiedział!

- Ja? - Zaskoczenie szybko ustąpiło miejsca gniewowi.

Tymczasem Giana chciała, żeby McKendrick sobie poszedł, a ona mogła zwinąć się w kłębek. Z drugiej strony czuła, że musi dać nauczkę tchórzliwemu kłamcy.

- Słyszeliśmy, jak rozmawiał pan ze swoim lokajem.

- Kiedy „słyszeliśmy”? - zapytał Adam wyzywającym tonem. - Czy to królewskie „my”?

- Wagner i ja. My... ja wróciłam do pańskiej sypialni. Pod drzwiami zatrzymały mnie wasze głosy.

- Czekałem na ciebie. Dlaczego się nie pokazałaś?

- Po co? Lokaj pomógł panu w ubieraniu i właśnie sprzątał pokój. Moja obecność nie była już potrzebna.

Adam wiedział, że stąpa po kruchym lodzie, ale postanowił zaryzykować.

- Twoja obecność była potrzebna, żebyśmy mogli, kontynuować to, co zaczęliśmy...

- Teraz pan tak mówi - rzuciła Giana oskarżycielskim tonem. McKendrick ostrzegawczo uniósł brew.

- Już drugi raz insynuujesz, że cię zwodzę. Pozwól, że wyjaśnię sprawę. Choć nie zawsze mówię wszystko, co myślę, nie mam zwyczaju oszukiwać kobiet, żeby zwabić je do łóżka. Może nie powiedziałem tego wprost, ale nie wierzę, żebyś się pomyliła co do moich zamiarów. Nie sądzę, żebym zostawił miejsce na jakiegokolwiek wątpliwości.

Giana prychnęła pogardliwie.

- Uważaj, George. Dziewczyna zlekceważyła jego radę.

- Nie pozostawił pan wątpliwości, że pragnie innej kobiety.

O'Brien stwierdził, że Brenna byłaby dla pana lepsza, a pan się z nim zgodził.

- Sukin... - Adam przeczesał włosy palcami. - Owszem, przyznałem mu racje, bo taka jest prawda.

W Gianie zamarło serce. Wszystkie jej marzenia rozwiały się w jednej chwili. Słowa McKendricka sprawiły jej taki ból, że nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wciągnęła powietrze przez zęby, usiłując zapanować nad łzami.

- To prawda, że Brenna byłaby dla mnie odpowiedniejsza. -
Wbił sztylet głębiej w jej pierś.

- Więc idź do niej! - wrzasnęła Giana i umilkła raptownie. Ale nie na długo, bo stwierdziła, że krzyk może być bardzo pomocny. Spróbowała jeszcze raz, głośniejsze. - Znajdź ją! Pocałuj! Masz moje pozwolenie. Idź i zostaw mnie samą!

- Do diaska, George! Nie chcę Brenny!

- Mówiłeś...

- Wiem, co mówiłem. Zgodziłem się z O'Brienem, kiedy powiedział, że Brenna byłaby dla mnie lepsza. A wiesz, dlaczego? - Nie czekał na jej odpowiedź. - Bo wiem, nie grozi mi zakochanie się w twojej siostrze. Ona ma w sobie wszystko, czego szukałem w kobiecie, a nic do niej nie czuję. Zupełnie nic. - Potrząsnął głową. - To ty doprowadzasz mnie do szaleństwa. Ty krzyczysz, bo cię nie chcę. Ja krzyczę, bo chcę. Do licha, George, nie marzę o Brennie. Nie złamałbym dla niej moich zasad. Nie tracę głowy w jej obecności. - Wycelował w nią palec. - Widziałaś, żebym całował Brennę? Widziałaś, żebym za nią biegał?

Giana potrząsnęła głową.

- Właśnie. Nie widziałaś. A wiesz, dlaczego? Bo nie pragnę Brenny. Myślę tylko o tobie! - Ruszył do wyjścia. - Ale rób, co chcesz. Uciekaj. Schowaj się. Płacz. Użalaj nad sobą. Nie będę przeproszał za mówienie prawdy. I już skończyłem wyjaśnienia.

Giana strzeliła palcami i wskazała na drzwi. -Wagner! Pilnuj!

Zanim Adam się zorientował, pies już warował pod drzwiami i groźnie szczyrzył zęby. Nie było wątpliwości, że gdyby jego pani wydała rozkaz do ataku, bydlę wkrótce miałoby łóżko i buty właściciela Larchmont Lodge tylko dla siebie.

- Odwołaj go - powiedział cicho McKendrick.

- Nie. - Giana wstała z łóżka i podeszła do wilczura.

- To nie jest zabawne, George - rzucił Adam przez zęby.

- Istotnie. Ale nie chcę, żebyś wyszedł.

- Mówiłaś, że mam sobie iść i zostawić cię w spokoju - przypomniał McKendrick.

- Myliłam się. Wcale tego nie chcę. Adam zmierzył ją wzrokiem.

- A czego?

- Żebyś mnie pocałował, a co dalej, zobaczymy. Jej niebieskie oczy się iskrzyły.

- Wiem, do czego to doprowadzi. Pytanie brzmi, czy chcesz tam iść.

- Pocałuj mnie - rozkazała Giana. - Pójdę wszędzie, dokąd mnie zaprowadzisz.

- A jeśli zaprowadzę cię do łóżka?

George zbliżyła się, zarzuciła mu ramiona na szyję i przywarła do niego mocno.

- Przekonajmy się.

Adam z pasją odwzajemnił pocałunek. Gdy zabrakło im powietrza, odsunął się i uprzedził:

- Ja nie żartuję, George. Chcę się z tobą kochać. Zdjął surdut i pozwolił mu opaść na podłogę, rozwiązał krawat, odpiął kołnierzyk i rzucił je na stos.

- Zrób to. - Giana przesunęła językiem po jego wargach.

- Więc wyrzuc psa.

- Nic ci nie grozi. Wagner po prostu pilnuje drzwi, tak jak został nauczony. Dzięki niemu nikt nam nie przeszkodzi.

- Ale on na nas patrzy. - Adam się uśmiechnął. - Jego obecność będzie przeszkadzać.

- Aha.

- Każ mu wyjść. Może siedzieć z tamtej strony. Adam otworzył drzwi, a Giana strzeliła palcami.

- Wagner, wyjdź. Pilnuj.

- Dziękuję - powiedział Adam i przywarł ustami do jej ust.

Było tak, jakby nagle między nimi przeleciała błyskawica.

McKendrick wziął George na rękę i ruszył w stronę łóżka. Giana zadrżała. Nikt jej nie nosił, odkąd w wieku dwunastu lat spadła z konia i złamała nogę. Gdyby to było możliwe, pokochałaby Adama jeszcze bardziej. Niemal dorównywała mu wzrostem, ale przez chwilę jej się wydawało, że jest drobna i lekka jak piórko.

Położył ją na kołdrze i sam wyciągnął się obok. Giana była dziewczicą. Zasługiwała na delikatność. Zasługiwała na czułość i na jego niepodzielną uwagę, więc postanowił dać jej to wszystko.

Przytulił ją i musnął wargami jej usta. Jedną ręką sięgnął do włosów, wyjął szpilki spinające dwa warkocze i rozplótł je, nie przestając jej całować.

Tymczasem Giana odkryła, że w jego ramionach z taką samą radością bierze, jak daje. Adam miał wiele do przekazania, a ona wiele do nauczenia się. I z pewnym zaskoczeniem stwierdziła, że lubi, gdy ktoś inny przejmuje inicjatywę. Poddawała się autorytetowi i znajdowała w tym radość, stawała się chętną niewolnicą własnych pragnień.

Adam potarł nosem zagłębienie pod jej uchem, wdychając zapach kwiatów pomarańczy. Wargami nakreślił ślad od ust do szyi i z powrotem do różowego płatka z finezją, o której niemal zapomniał. Chciał jej dotykać całej, smakować.

Pamiętał, jak wyglądały jej piersi pod nocną koszulą, kiedy pierwszy raz ją zobaczył, pamiętał, jak ich różowe koniuszki stwardniały pod jego wzrokiem. Zapragnął je pieścić.

Rozpiął jej biały fartuch, zdjął go i rzucił na nocny stolik. Potem zajął się długim rzędem małych guziczków u sukni. Giana obserwowała go, leżąc na plecach.

Pod stanikiem ukazał się czarny koronkowy gorset. Halka była takiego samego koloru, co Adama trochę zdziwiło, bo spodziewał się białej bielizny. Uśmiechnął się lekko. Nigdy nie przepadał za czarną. Nie robiła na nim specjalnego wrażenia. Zawsze przede wszystkim patrzył na kobietę, a dopiero potem na jej strój, ale teraz... I w tym momencie uświadomił sobie, że Giana ubiera się w ten sposób nie ze

względu na posadę służącej ani po to, żeby uwodzić. Ona po prostu nosiła żalobę.

Przesunął dłońmi po gorsecie i wyczuł kilkanaście twardych zgrubień. Nagle zrozumiał, że pierścień z czarną perłą nie jest jedynym klejnotem rodzowym, który ukrywa George. Ale jeśli po nim sądzić, miała na sobie sporą fortunę, choć pracowała jako pokojówka w domu myśliwskim.

Wziął głęboki oddech, żeby uspokoić galopujący puls, i wolno wypuścił powietrze z płuc.

- Sama zdejmiesz gorset czy ja to mam zrobić? - zapytał cicho, pieszcząc ciepłym oddechem płatek jej ucha.

Giana drgnęła i otworzyła oczy, kiedy musnął kciukiem koniuszek jej piersi, a następnie przesunął dłoń w prawo, gdzie wszyła parę diamentowych kolczyków.

-Och!

Adam się uśmiechnął.

- Bądź moją Amazonką - poprosił zachrypniętym głosem, od którego przeszedł ją dreszcz. - Rozbierz się. - Pocałował ją z żarem. - Pokaż mi swoje ukryte skarby.

Pomógł jej usiąść.

Giana wysunęła ręce z rękawów sukni, ściągnęła halkę przez głowę i rzuciła ją na podłogę. Sięgnęła do sznurowania gorsetu, ale okazało się, że jego rozpięcie nie jest takie proste.

- Haftki - wysapała. - Ukryte pod czarną plisą.

- Ukryte? Po co? Przecież wiadomo, że tam są. - Nie musiał jednak znać się na niuansach damskiego stroju, żeby obnażyć kobietę, więc posłusznie sięgnął do zapięcia na plecach Giany. Jęknął, kiedy trafił palcami na co najmniej setkę haftek. - Do licha!

Odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie się z nimi uporał. Giana zdjęła gorset i cisnęła go w powietrze. Wylądował na dywanie obok innych części garderoby.

Gdy ukazała mu się naga do pasa, Adam oniemiał z zachwytu. W jednej chwili nabrał pewności, że nie zapomni jej czystego piękna, kształtnych piersi i ślicznego uśmiechu, nawet gdyby żył tysiąc lat.

Wyciągnął do niej ręce, ale George się odsunęła, więc opadł na plecy i zaczekał, aż sama do niego przyjdzie.

Kiedy się nad nim pochyliła, uniósł głowę i dotknął językiem różowego koniuszka piersi.

Gianę przeszył ogień, jakby wypila kieliszek brandy na pusty żołądek. Gwałtownie zaczerpnęła oddechu.

- Jeszcze - wyszeptała. Adam spełnił polecenie.

- Jeszcze?

Bez słowa kiwnęła głową.

- Więc się przysuń.

Nachyliła się tak, że jej piersi znalazły się tuż nad jego twarzą, niczym zakazane owoce.

Adam zaczął pieścić jedną, potem drugą. Gdy Giana wygięła plecy w łuk, objął ją w talii i posadził na sobie. Pragnął ją dotykać,

smakować, zanurzyć się w niej, poczuć żar jej ciała, tłumić jęki pocałunkami, gdy razem będą wspinać się na szczyt rozkoszy.

Nie przestając jej całować, wsunął rękę pod spódnicę, a po chwili, poczynając sobie coraz śmieiej, pod koronkowe pantaloney. Powędrował dłonią w górę po jedwabistym udzie.

- Adamie! - krzyknęła Giana, ale nawet nie próbowała się opierać.

Zaczął ją pieścić z wprawą i wyczuciem. Giana oddychała coraz szybciej, rozkoszując się zupełnie nowymi, ale cudownymi doznaniem.

Powinna się oburzyć, lecz Adam był tak delikatny i czuły, że nie potrafiła go skarcić. Jak mogła się gniewać, skoro sprawiał jej tyle przyjemności? Niewiarygodnej przyjemności.

- Proszę... - wyszeptała takim tonem, że nie wiadomo było, o co błaga.

Doświadczenie podpowiedziało Adamowi, żeby nie przestawać. Po chwili Giana zaczęła się wić, jęknęła głośno i zawołała jego imię.

Adam pocałował ją, najpierw delikatnie, potem mocniej. Z trudem nad sobą panował, ale nie zamierzał się spieszyć. W końcu Giana zadrzała i z cichym westchnieniem opadła na jego pierś.

„Księżniczka królewskiego rodu Saxe-Wallerstein-Karolya musi zachować cnotę”.

- Zasada 15 protokołu i etykiety dworskiej rodu Saxe-Wallerstein-Karolya, zatwierdzonych przez jaśnie oświeconego księcia Karola I, 1432.

Giana uniosła powieki i spojrzała na niego z takim zachwytem, że Adamowi zaparło dech w piersiach. Wyraz jej oczu był dla niego najwspanialszą nagrodą za powściągliwość.

Ujęła w dłonie jego twarz.

- Dziękuję - powiedziała i sięgnęła ustami do jego ust.

- To był dla mnie zaszczyt - wyszeptał Adam. Włożył w pocałunki całą namiętność i hamowane pragnienie. Giana odwzajemniła je z takim żarem, że Adamowi zakręciło się w głowie od nadmiaru emocji. Odsunął się, drżąc z pożądania.

- Co się stało? - zapytała George.

- Nic złego.

- Więc dlaczego przestałeś mnie całować?

- Bo cię pragnę. - Oparł czoło o jej czoło i wziął urywany oddech. - Całej.

- Masz mnie całą.

- Niezupełnie. Moglibyśmy teraz przestać i nadal byłabyś dziewczyną.

Giana wytrzeszczyła oczy. Adam dotykał jej w miejscach, o których istnieniu nawet nie wiedziała. Jak to możliwe, żeby pozostała nietknięta?

- Rozumiesz, co próbuję powiedzieć? - spytał.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Mówię, że moglibyśmy ubrać się i rozejść. Dla ciebie nic by się nie zmieniło.

Giana zmarszczyła brwi.

- Dla ciebie - powtórzył Adam, unosząc się na łokciu. - Moją największą nadzieją jest, że nigdy tego nie zapomnisz. Ale w tym momencie możesz odejść i poślubić innego mężczyznę albo wziąć innego kochanka i nikt, oprócz ciebie i mnie, nie będzie wiedział, co między nami zaszło.

Giana zrozumiała tylko to, że Adam pozwala jej dokonać wyboru. Jej rodzice pobrali się z miłości, ale należeli do wyjątków. Królewskie małżeństwa aranżowano dla dobra kraju. Giana westchnęła. Jej obowiązkiem było zachować cnotę do ślubu, żeby zapewnić sukcesję tronu. Lecz ona pragnęła Adama McKendricka. Nie miało dla niej znaczenia, że nigdy nie zostanie jego żoną. Chciała kochać i czuć się kochana, zanim przyjdzie jej pełnić funkcję władczyni i poddać się rygorom.

Postanowiła zapomnieć, że jest księżniczką, i przez jeden dzień być tylko kobietą, która może sama wybrać ukochanego. Z uśmiechem wyciągnęła rękę do Adama.

- Nie chcę być nietknięta.

Tylko takiej zachęty było mu trzeba. Adam pospiesznie zaczął rozbierać Gianę z sukni, halek, koronkowych pantalonów, a na koniec z falbaniastych czarnych podwiązek i czarnych jedwabnych pończoch.

- Co to jest? - Dotknął opasującego jej smukłą talię złotego łańcuszka z zawieszonym na nim ciężkim złotym pierścieniem. Widział podobne ozdoby u egipskich tancerek w Paryżu, ale nigdy takiej, zapiętej na kluczyk. Sygnet miał na sobie wygrawerowane motto i herb. Musiał należeć do mężczyzny. - Nowy rodzaj pasa cnoty czy pamiątka od rycerza w lśniącej zbroi?

Giana spojrzała w dół. Całkiem zapomniała o pieczęci! Była kompletnie naga, nie licząc medalionika na szyi i złotego łańcucha w talii.

- Ojciec mi go dał. Jest w jego rodzinie od wieków. Adam prychnął. No tak, więc jednak pas cnoty. Całe szczęście, że mało skuteczny.

Giana poczerwieniała i zamknęła oczy.

- Otwórz oczy, George, i zobacz, jaka jesteś piękna - wyszeptał Adam.

Posłuchała go, żeby sprawdzić, czy wyraz jego twarzy odpowiada tonowi głosu. Przekonała się, że tak.

- Twój widok zapiera mi dech w piersi. Księżniczka oblała się rumieńcem.

- Co teraz? - spytała.

Adam uniósł ją bez słowa i posadził sobie na brzuchu. Giana poczuła na udach chłodną satynę kamizelki i płótno koszuli. Spojrzała mu w oczy.

- Zaufaj mi - poprosił.

I zaufała, ale jego gorący oddech całkiem ją zaskoczył. Gwałtownie zacisnęła nogi.

- Nie zrobię ci krzywdy - uspokoił ją Adam. - Pozwól mi się kochać.

Kiedy tak na nią patrzył, nie mogła niczego mu odmówić... i wcale nie chciała. Był nauczycielem, a ona uczennicą. Był rzeźbiarzem, a ona gliną. Mógł z jej ciałem robić wszystko.

-Dobrze-powiedziała.

Wydawało się jej, że największe rozkosze już poznała, ale kiedy Adam zaczął pieścić ją jeszcze śmieiej niż poprzednio, zrozumiała, że czeka ją dużo więcej wspaniałych przeżyć.

Doprowadził ją na skraj ekstazy i dalej, a potem łagodnie położył na plecach i stłumił okrzyki pocałunkiem. Odgarnął włosy z jej twarzy, wytarł łzy z oczu i szeptał do ucha słowa miłości, podczas gdy ona drżała w jego ramionach.

Kiedy uniosła powieki, zobaczyła, że Adam na nią patrzy.

- Już całkiem mnie wzięłeś? Roześmiał się.

- Nadal jesteś dziewicą, choć już nie tak nietkniętą -odparł.

- Istnieją jeszcze większe przyjemności?

- Dużo większe, ale wiąże się z nimi odrobina bólu. Giana popatrzyła na niego czujnie.

- Dla kogo?

- Dla ciebie. -Aha.

Adam skubnął jej dolną wargę zębami i szybko ukoił ból pocałunkiem.

-Już rozumiesz, że warto?

- Pokaż mi - zażądała Giana.

- Autokratka!

- Nie jestem autokratką, tylko monarchinią konstytucyjną.

Adam się roześmiał.

- A ja demokratą z przekonania. Zostawmy jednak tę dyskusję na później. Teraz są do omówienia ważniejsze sprawy...

- Jakie?

- Jedno z nas ma na sobie za dużo ubrań.

Z figlarnymi ognikami w oczach Giana sięgnęła do guzików jego koszuli.

- Mogę?

Adam odpowiedział jej szerokim uśmiechem.

- Skoro tak ładnie prosisz, pozwalam ci dotknąć mojej osoby.

- Jeszcze nigdy nie rozbierałam mężczyzny - wyznała Giana.

- Idzie ci tak doskonale, że nikt by się tego nie domyślił -

stwierdził Adam żartobliwym tonem.

Giana zsunęła koszulę z jego ramion, obnażając umięśniony tors i płaski brzuch. Powiodła po nich dłońmi.

Adam, ogarnięty żarem, nagle zapragnął skończyć te rozkoszne tortury. Objął ją w talii i delikatnie przewrócił na plecy. Gdy Giana

zaczęła rozpinąć mu spodnie, aż jęknął z niecierpliwości. Po chwili zrzucił je po-spiesznie i otoczył sobie biodra jej nogami.

Dziewczyna przyciągnęła go do siebie, a on zamknął oczy i wszedł w nią powoli, starając się ze wszystkich sił zachować panowanie nad sobą.

Giana krzyknęła i próbowała się cofnąć, ale ją przy-trzymał i zaczął koić słowami i pocałunkami.

- Wszystko w porządku, najgorsze masz za sobą. Leż spokojnie, kochanie. Pierwszy raz zawsze jest dla kobiety bolesny, ale ból szybko ustąpi, a potem będzie bardzo przyjemnie. Obiecuję.

Rzeczywiście stało się, jak mówił. Wkrótce z zapalem odwzajemniała jego pieśczoćy, przywierając do niego mocno.

Gdy poczuła pierwsze spazmy rozkoszy, poddała się szalejącym w niej emocjom, a z jej ust wyrwały się niezrozumiałe okrzyki.

Adam zanurzył twarz w jedwabistych splotach. Gdy z kąćików jej oczu popłynęły łzy, uniósł głowę. Ależ była piękna! Zadrżał wstrząśnięty. Powinien szeptać jej słowa- miłości, a nie namięćności. Powinien traktować ją czule, a nie folgować własnej żądzy. Była dziewczicą. Zasłużyła na noc poślubną. Zasłużyła na to, żeby...

Skarcić ją, dać klapsa... albo kochać. Adam westchnął. Po miłosnych uniesieniach obudziły się w nim wyrzuty sumienia. Do diabła! Pozwoliła, żeby ją uwiódł, odebrał jej dziewictwo, choć mogła go powstrzymać. Co też najlepszego zrobił?! Co oboje zrobili? Jak teraz cofnąć czas?

Spojrzał w niebieskie rozpromienione oczy i zrozumiał, że jest zgubiony. Postanowił nie myśleć o przyszłości, wyrzekać na szczęśliwy los i prosić o więcej, niż może dostać. Po prostu będzie ją kochał.

Nachylił się i pocałował Gianę tak delikatnie i czule, że znowu przyprawił ją o łzy.

- Dziękuję, Adamie.
- Proszę, księżniczko.

Scandalous

„Księżniczka królewskiego rodu Saxe-Wallerstein-Karolya nie oczekuje małżeńskiego szczęścia. Ono nie istnieje dla członków rodu panującego. Radość można znaleźć poza małżeństwem, ale płaci się za nią wysoką cenę”.

- Zasada 517 protokołu i etykiety dworskiej rodu Saxe Wallerstein-Karolya, zatwierdzonych przez jaśnie Oświeconą księżnę Darię, 1782.

- Wiedziałeś?

-Podejrzywałem, ale nie byłem pewien, póki nie spojrzałem w twoje oczy i nie dostrzegłem w nich prawdy.

Od początku czułem, że George nie jest zwykłą służącą, ale lekceważył liczne drobiazgi, które powinny obudzić jego wątpliwości: jej sposób mówienia, zachowanie, stosunek „rodziny”. Ale dopiero pierścień z perłą i artykuł w gazecie otworzyły mu oczy.

- Mogę ci wszystko wyjaśnić.

- Wyjaśnić, co się zdarzyło, czy dlaczego się zdarzyło? Bo ja wiem, co się stało. - Adam przeczesał włosy ręką. - Jesteś księżniczką, na litość boską! Dałem ci szansę! Mogłaś mnie powstrzymać! - Zerwał się z łóżka i zaczął chodzić po pokoju. - Do diaska! Jestem Amerykaninem. U nas nie ma królów! Nawet nie wiem, jak się do ciebie zwracać!

- My... ja... jestem jaśnie oświeconą księżniczką Georgianą Victoria Elizabeth May Saxe-Wallerstein-Karolya. Należy się do mnie zwracać: „wasza królewska mość”. W miejscu publicznym możesz mi

mówić „wasza wysokość”, a prywatnie George. Nie powiedziałam „nie”, bo nie chciałam, żebyś przestał. Zresztą wcale tak bardzo nie starałeś się pohamować.

Adam spojrzał jej w oczy.

- Masz rację. Wcale nie próbowałem nad sobą zapanować.

- Dlaczego?

McKendrick potrząsnął głową.

- Nie wiem. Może dlatego, że chciałem być księciem z bajki, który ratuje piękną księżniczkę. A może przez chwilę naprawdę wierzyłem, że będą „żyli długo i szczęśliwie”.

Po policzkach George stoczyły się łzy.

- Nie wybawisz mnie od moich obowiązków, Adamie. Ani nie uchronisz przed przeznaczeniem. - Próbowała się uśmiechnąć, niestety bez powodzenia. - Ale dałeś mi cudowny dar, o którym nie zapomnę do końca życia.

- Możliwe, że więcej niż jeden, księżniczko - powiedział Adam bez ogródek. - Niewykluczone, że drugim okaże się dziecko.

Giana zbladła.

- Najwyraźniej niechciane - skomentował McKendrick sucho.

Od razu pożałował tych słów. To on był starszy i bardziej doświadczony. On powinien wykazać się rozsądkiem! Zupełnie stracił rozum.

Ale to żadne usprawiedliwienie i jeśli George rzeczywiście zaszła w ciążę, on musi wziąć na siebie odpowiedzialność.

- Jak śmiesz w ogóle myśleć, że nie chciałabym naszego dziecka? - Giana rzuciła w niego poduszką.

- Zbladłaś jak prześcieradło.

- Bo zapomniałam o takiej możliwości. W moim kraju dzieci rzadko się rodzą poza małżeństwem.

- Dzieci rodzą się poza małżeństwem w każdym kraju - stwierdził Adam. - Rody panujące nie są wyjątkiem. - Zebrał z podłogi ubrania i zaniósł je do łóżka. - Ale masz rację. Byłem niepotrzebnie okrutny, bo jestem wściekły. Nie na ciebie, tylko na siebie. - Nachylił się i pocałował ją w czoło. - Wybacz.

Giana skinęła głową.

- Nie gniewasz się na mnie?

- Przecież nie zdawałaś sobie sprawy ze skutków naszego postępowania - odparł szczerze. - To moja wina.

- Ale jesteś na mnie zły z innych powodów. - Spojrzała mu w oczy. - A mimo to mnie całujesz.

- Miałbym ochotę cię całować, nawet gdybym nienawidził - rzekł Adam cierpkim tonem.

- Chodzi o Wagnera i porcelanę? Adam potrząsnął głową.

- Zapłaciłaś za szkody. - Sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął z niej pierścień z perłą.

Chciał jej oddać klejnot, ale Giana go nie przyjęła.

- Jest twój - powiedziała.

- Nie. Należy do ciebie albo raczej do narodu Karolyi, a więc nie miałaś prawa mi go dawać.

Położył pierścień na dłoni George i zacisnął wokół niego jej palec.

- Nie mam dość pieniędzy, żeby zapłacić za szkody.

- Nieważne. Nie chcę twoich pieniędzy. - Adam nakrył jej rękę swoją. - A już z pewnością nie domagam się klejnotów koronnych jako zadośćuczynienia.

Tym razem Giana dostrzegła w jego oczach miłość i wdzięczność.

- Pierścień nie należy do klejnotów koronnych. To część rodowej kolekcji księżnej Rosamund, jedna z moich ulubionych kosztowności. Uczyłam się liczyć na tych diamentach. - Uśmiechnęła się i na dowód policzyła do szesnastu w kilku językach. - Jest ich...

- Szesnaście. - Adam pocałował ją czule. - Znam francuski. I trochę hiszpański, szwedzki, niemiecki i chiński.

Giana odwzajemniła pocałunek, trzymając w dłoniach jego twarz.

- Chiński?

Adam skinął głową.

- Majątku dorobiłem się na budowie kolei i wydobyciu srebra. Jedną połowę robotników stanowili Chińczycy, drugą Irlandczycy. A ty jak zdobyłaś fortunę, księżniczko?

Wskazał na jej gorset.

- Część odziedziczyłam w chwili narodzin, a resztę w noc, kiedy zginęli moi rodzice.

- Przykro mi - mruknął Adam.

- Mnie również. Zasztyletowano ich w pałacowej sypialni w Christianbergu, gdy wrócili z uroczystej kolacji wydanej z okazji otwarcia sesji parlamentu. - Mówiła rzeczowym tonem, pozbawionym emocji. - Lojalne służki też zostały zabite.

- Przez anarchistów? George potrząsnęła głową.

- Nie, przez mojego kuzyna, księcia Victora Saxe-Wallerstein-Karolya.

- Twojego kuzyna? - Adam osłupiał. - Człowieka, który szuka uprowadzonej następczyni tronu?

- Tego samego.

- Sukinsyn!

- Istotnie.

- Nie ma żadnych anarchistów? Ani porywaczy?

- W Karolyi jest wielu anarchistów, ale to nie oni zabili moich rodziców. Victor podburzał młodych ludzi z klasy rządzącej, żeby wystąpili przeciwko mojemu ojcu za popieranie nowej konstytucji i Deklaracji Praw dla Mas. Młodszym synom z arystokratycznych rodów obiecał nadania ziemskie, tytuły i pieniądze. Namawiał ich do zdrady, twierdząc, że książę Christian zamierza wynagrodzić swoich zwolenników, rozdając im posiadłości bogatych. Tak więc Victor kazał zabić moich rodziców.

- Dlaczego?

- Z chciwości. Zależy mu przede wszystkim na karolyańskich złożach rud żelaza i lasach.

Minęła chwila, nim Adam zrozumiał.

- Twój kuzyn zabił panujących władców, żeby uzyskać kontrolę nad rudami żelaza i drzewem?

- Jednego i drugiego jest bardzo dużo. Ojciec ujawnił mi ich wartość, kiedy obce rządy zaczęły składać mu oferty. Ale ja nie rozumiałam roli, jaką odgrywał Victor, póki Max nie wyjaśnił mi tego po śmierci moich rodziców. Tata nie chciał sprzedawać naszych skarbów. Odmówił nawet rozmów na ten temat. Uważał, że bogactwa naturalne Karolyi należą do jej mieszkańców. A jego obowiązkiem jako władcy jest chronić je dla przyszłych pokoleń. Karolya jest bogatym krajem. Nie musi prowadzić rabunkowej gospodarki, żeby zapewnić ludziom pieniądze i pracę.

- A Victor potrzebuje pieniędzy? Giana potrząsnęła głową.

- Nie. Jemu chodzi o władzę. Ojciec dowiedział się o jego wstępnych umowach z innymi krajami, że będzie dostarczał im karolyańskie żelazo i drzewo.

- I co zrobił książę?

- Nie wiem. W każdym razie Victor poprosił o moją rękę, a tata odmówił. - Giana zaczęła miać w palcach róg prześcieradła. - Ale to teraz nie ma znaczenia. Kuzyn nie spocznie, póki mnie nie znajdzie.

Adam wziął od niej pierścień, żeby nie zginął w pościeli, i położył go na stoliku nocnym. Uśmiechnął się do siebie. Przynajmniej w rocznicę ślubu nie musiałby zasypywać jej kosztownościami, bo George miała ich więcej, niż potrzebowała, a w dodatku nie przykładała wagi do klejnotów. Jediną biżuterią, którą nosiła, nie licząc fortuny wszytej w gorset, był medalion na szyi, łańcuszek w

talii i małe złote kolczyki. A, i jeszcze ozdobna szpilka przypięta do halki. Nie, George z pewnością nie domagałaby się drogich prezentów. Wolałaby pewnie zwierzęta... albo dzieci. Dużo dzieci i psów.

Nie znał księcia Victora, ale spotykał ludzi takich jak on, więc doskonale potrafił sobie wyobrazić jego furję, kiedy zostanie zmuszony do rezygnacji ze złóż żelaza, drzewa i ręki księżniczki. A Adam wiedział, że to księżniczka jest największym skarbem, nawet bez bogactw i władzy.

- Jak uciekłaś?

- Nie było mnie w domu. Ojciec bał się o mnie, dlatego wysłał mnie do naszego letniego pałacu w Laken. - Giana mówiła smutnym głosem - Powinnam być przy nich, kiedy umarli. Powinnam umrzeć razem z nimi, ale tata zadbał o moje bezpieczeństwo i razem z mamą stawiał czoło wrogom.

Zaczęła drzeć, a potem wybuchnęła szlochem. Adam wziął ją w objęcia i przytulił.

- Nie, skarbie, wcale nie powinnaś z nimi umrzeć. Ojciec cię kochał, zrobił to, co uznał za słuszne. Wysłał cię w bezpieczne miejsce, żebyś przeżyła, wyszła za męża, urodziła dzieci i zachowała ród. Ja na jego, miejscu zrobiłbym to samo.

- Ale mnie opuścili! Zostawili samą! Adam potrząsnął głową.

- Nie mieli wyboru. Byłaś ich najdroższą córeczką i przyszłością kraju. Kochali cię i nie mogliby patrzeć, jak giniesz. A zginęłabyś na pewno, George. Gdybyś została w stolicy, spiskowcy też by cię zabili

i nie miałyby kto rządzić Karolyą. Zrobiłaś to, czego rodzice od ciebie oczekiwali. - Odgarnął włosy z jej twarzy, musnął ustami czoło. - Przeżyłaś.

- Przeżyłam, bo nikt nie wiedział, gdzie jestem, z wyjątkiem personelu z Laken.

- Niech zgadnę: Maxa, Isobel, Alberta, Brenny i Josefa

- Nie, Max był w Christianbergu z moimi rodzicami.

Adam wziął głęboki oddech.

- W Timesie przeczytałem, że to lord Maximillian Gudrun, prywatny sekretarz księcia Christiana, uknuł spisek, żeby pozbyć się władcy i porwać następczynię tronu.

- Lord Maximillian Gudrun uratował mi życie -oznajmiła Giana z dumą w głosie. - Został ranny w czasie próby ratowania moich rodziców. Ojciec przekazał mu pieczęć stanu i rozkazał wywieźć mnie z Karolyi w bezpieczne miejsce. - Spojrzała na łańcuszek zapięty wokół w tali.

- Domyślam się, że to królewska pieczęć Saxe-Wallerstein-Karolya - rzekł Adam, idąc za jej wzrokiem.

-Tak.

- Kiedy powiedziałaś, że to od ojca, pomyślałem, że to rodzaj pasa cnoty - wyznał z błyskiem wesołości w oczach.

- Póki nie zostanę koronowana na władczynię Karolyi, nie mogę ani na chwilę rozstać się z sygnetem. Dlatego zawiesiłam go na łańcuszku i noszę przy sobie.

- Gdzie jest klucz?

- Wyrzuciłam go do Oceanu. Nie mogliśmy ryzykować, że pieczęć zginie albo zostanie ukradziona. To jest najbezpieczniejsze dla niej miejsce. Nie wie o nim nikt oprócz Maxa i Brenny.

- Do dzisiaj.

Adam rzucił jej halkę.

Dziewczyna uśmiechnęła się, a następnie wstała z łóżka i wciągnęła halkę przez głowę.

- Skoro już znam sekret, czy moje życie jest zagrożone? - spytał Adam półzartem.

Giana potrząsnęła głową.

- Nie twoje. Moje.

„Szlachetny Baron najbardziej ceni prawdę. Nie lubi niespodzianek”.

- *„Pierwsza część prawdziwych przygód Szlachetnego Barona, dobroczyńcy pięknych, zdradzonych blondynek”, spisanych przez Johna J. Bookmana, 1874.*

- Co? - Adam zmartwił, gdy usłyszał jej spokojne stwierdzenie.

- Żeby objąć tron Karolyi, Victor musi pokazać pieczęć i moje ciało albo ożenić się ze mną rok po śmierci mojego ojca. - Giana pogłaskała ukochanego po policzku. - Ale nawet gdybym przyjęła oświadczyzny mordercy moich rodziców, Victor się ze mną nie ożeni, bo już nie jestem dziewczyną.

Jej słowa wypowiedziane rzeczowym tonem wzbudziły w Adamie gniew i przerażenie.

- On cię zabije. - Zerwał się z łóżka i zaczął ubierać. - Jezu Chryste! George! Larchmont Lodge może się roić od agentów Victora. Jeśli on się o nas dowie.... - Nie dokończył zdania. - W dodatku wcale nie staraliśmy się być dyskretni. Zniknęliśmy na cały ranek i każdy, kto chciał, mógł nas wysledzić. - Pospiesznie zapiął koszulę. - A Wagner siedzi pod drzwiami na posterunku. Co ja sobie myślałem, do licha? Co ty myślałaś? Giana włożyła suknię.

- Myślałam, że nie chcę umrzeć ani iść do łóża innego mężczyzny, nie wiedząc, jak jest z tobą.

Pod Adamem ugięły się kolana. Opadł na brzeg łóżka.

- Wiedziałaś, co cię czeka, a mimo to narażałaś życie, żeby się ze mną kochać?

- Jestem księżniczką. Wątpię, czy dla takich osób jak ja istnieje szczęście. Moi rodzice byli jedyną królewską parą w dziejach Karolyi, która pobrała się z miłości, a nie ze względu na rację stanu. I jak skończyła się sielanka? Zamordował ich członek rodziny. Nie wiem, czy mogłabym wyjść za mąż z innych powodów niż dobro kraju. Wiem tylko, że gdybym mogła, ciebie wybrałabym na księcia małżonka. Pamiętaj o tym, cokolwiek się stanie.

Serce Adama zaczęło bić szybciej, oddech uwiązł w krtani, nogi jeszcze bardziej osłabły. Zaląła go fala czułości. Pewna myśl poraziła go jak grom z jasnego nieba. Uświadomił sobie, że ją kocha. Podobały mu się uczucia, jakie budziła w nim Giana. Lubił jej dotyk. Ale na razie musieli ukrywać swoją miłość.

- Ten wybór kosztowałby cię życie.

- Byłoby warto.

- Giano, ja...

Dziewczyna położyła palec na jego ustach.

- George. Wolę, jak tak mnie nazywasz.

- Nie brzmi to po królewsku.

- Mam wiele królewskich tytułów, ale tylko ty, nie licząc moich rodziców, zwracasz się do mnie pieszczotliwym imieniem.

- Naprawdę? -Tak.

- A jak oni cię nazywali?

- Mama mówiła na mnie Fleur, a tata czulej, ale nie tak ładnie.

-Jak?

- Jej wysokość księżniczka Małpka.

- Księżniczka Małpka?

- Według niego, jak się urodziłam, miałam same ręce i nogi.

- Chyba polubiłbym twojego ojca - stwierdził Adam.

- Ja też tak sędzę. - Giana sięgnęła do medalionu zawieszzonego na cienkim złotym łańcuszku. - Chciałbyś ich zobaczyć?

McKendrick skinął głową.

Giana zdjęła medalion z szyi, otworzyła go i podała Adamowi.

- Tu są rodzice mojej mamy, markiz i markiza Barracksford. -

Wskazała na miniaturę po lewej stronie. -To kopia oficjalnego portretu ślubnego. A tutaj moi rodzice i ja w dniu chrzcin.

-Jaśnie oświecony książę Christian, jaśnie oświecona księżna May i jej królewska wysokość księżniczka Małpka. - Adam zrobił zabawną minę.

Giana zachichotała.

- Ładny portret - stwierdził Adam. - Ładna rodzina.

- Tak. Zawsze lubiłam wyraz ich twarzy, kiedy tak na mnie patrzą. - Giana wytarła łzę z kącika oka i zdobyła się na smutny uśmiech.

- Byłaś bardzo kochana - stwierdził Adam, przyglądając się miniaturom. - A to kto?

Pod portretem dziadków znajdowała się jeszcze jedna podobizna: przystojnego mężczyzny ubranego podobnie jak oni, w stylu Regencji.

- Znalazłeś rodzinny szkielet ukryty w szafie. To George Ramsey, piętnasty markiz Templeston.

- Kim był?

- Mężczyzną, który dał życie mojej matce. Adam uniósł brew.

- Moja babka była Francuzką. Paryską aktorką i kobietą z ludu. Wyszła za mąż bardzo młodo, za ukochanego z dzieciństwa. Kiedy miała dwadzieścia lat, poszedł na wojnę. W wieku dwudziestu dwóch lat zginął w Rosji, walcząc za Napoleona. Babcia znalazła pracę na scenie. George'a Ramseya poznała, kiedy przyszedł za kulisy z bukietem kwiatów i zaproszeniem na kolację. Zawsze powtarzała, że to była miłość od pierwszego wejrzenia. Bardzo się kochali. Templeston kupił jej dom w Paryżu, a ona modliła się codziennie, żeby ją poślubił, ale markiz obiecał swojej nieżyjącej żonie, że nigdy więcej się nie ożeni. I dotrzymał słowa. Babcia zakończyła romans, kiedy zrozumiała, że choć George Ramsey darzy ją szczerym uczuciem, bardziej kocha zmarłą żonę. Templeston wrócił do Londynu, babcia do teatru. Niedługo potem koleżanka z chóru przedstawiła jej innego Anglika. Markiz Barracksord, dużo starszy od niej, był jeszcze kawalerem, ale uchodził za dobrą partię i wielbiciela kobiet Często jeździł do Paryża w interesach i chętnie przyjmowano go w najmodniejszych paryskich salonach. Zakochał się w pięknej aktorce i zaczął jej nadszkiwać. Babcia próbowała go zniechęcić, mówiąc, że nadal kocha George'a Ramseya, ale lord Barracksford wytrwale o nią zabiegał, aż w końcu zgodziła się go poślubić. - Giana umilkła, żeby wybadać reakcję Adama.

- A co się stało z lordem Templestonem? - zapytał.

- Zginął u wybrzeży Irlandii, zanim urodziła się moja mama. Nie dowiedział się, że ukochana nosiła jego dziecko.

- A Barracksford znał prawdę? Giana skinęła głową.

- Babcia powiedziała mu od razu, jak tylko się zorientowała.

Myślała, że Barracksford zmieni zdanie, ale on był naprawdę zakochany. Chętnie uznał dziecko za swoje. On i babcia pobrali się i zamieszkali w Paryżu. Po narodzinach córki przeprowadzili się do Londynu. Po śmierci George'a Ramseya nowym markizem Templeston został jego najstarszy syn i dziedzic. Lord Barracksford wychował moją mamę jak własne dziecko i kochał ją bardzo, choć prawdziwym ojcem był lord Templeston.

- Jak się o tym wszystkim dowiedziałas?

- Babcia opowiedziała całą historię mojej mamie, kiedy dała jej medalion. A mama powtórzyła ją mnie, przekazując rodzinną pamiątkę. Lord Templeston poczynił w testamencie zapisy dla swoich kochanek i ich potomstwa. Gdyby któreś znalazło się w potrzebie, miało pokazać medalion szesnastemu markizowi. - Giana się uśmiechnęła. - Babcia i mama miały szczęście, że wyszły za mąż z miłości i nie musiały troszczyć się o byt.

Adam schował miniaturę lorda Templestona pod portret dziadków Giany i oddał jej medalion.

- Dlaczego nie pokazałaś go obecnemu markizowi? Giana włożyła łańcuszek na szyję.

- Zamierzałam. Ale kiedy dotarłam do Anglii, gazety rozpisywały się o moim zniknięciu i oskarżeniach Victora. Donosiły, że rząd brytyjski pomaga regentowi w poszukiwaniach karolyańskiej następczyni tronu oraz lorda Gudruna i jego bandy anarchistów. Przeczytałam również, że królowa wyznaczyła swojego doradcę, markiza Templestona, na łącznika między dworem świętego Jakuba a dworem Saxe-Wallerstein-Karolya. Bałam się pokazać medalion, póki Max nie będzie bezpieczny i póki się nie upewnię, że Anglii bardziej zależy na zwróceniu mi tronu niż na karolyańskim żelazie i drewnie. Nie wiedziałam, czy markiz mi uwierzy i czy nie jest w zмовie z moim kuzynem...

Adam dotknął złotego medalionu i musnął wargami jej usta.

- Nie wolno nam więcej się kochać, póki nie będziesz bezpieczna.

Giana zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go z uczuciem.

- Lecz wtedy może się okazać, że już nigdy tego nie zrobimy.

- Wiem, ale nie warto ryzykować twojego życia. Albo życia, które, być może, w sobie nosisz. Tak?

- Tak.

Giana położyła dłoń na brzuchu. Gdy ich spojrzenia się zwały, Adama ogarnęło pożądanie.

- Żałujesz tego, co się stało? - zapytała Giana, jakby czytała w jego myślach.

Potrząsnął głową i sięgnął po kamizelkę. Oczy George zaślniły od nieprzelanych łez.

- Przepraszam za kłamstwa i za zamieszanie, które spowodowaliśmy w domu. Wiedzieliśmy, że tu jesteśmy bezpieczni, a nie mieliśmy dokąd pójść. Ruszyła razem z nim do drzwi.

- Nie musicie nigdzie odchodzić - uspokoił ją Adam. -
Zostaniecie tutaj, jak długo będzie trzeba.

Giana posłała mu smutny uśmiech.

- A więc tylko do czasu, kiedy królowa przyjedzie do Balmoral na wakacje. To moja matka chrzestna. Muszę się z nią zobaczyć i wszystko wyjaśnić. Max nie będzie bezpieczny, póki z nią nie porozmawiam.

Adam ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Nie mogę o nic cię prosić- - zaczęła Giana z wahaniem

- Ależ możesz! O wszystko.

- W takim razie mam dwie prośby.

- Mów.

- Chciałabym tu zostać, póki królowa nie przybędzie do Szkocji.

Praca w Larchmont Lodge odwraca myśli mojej świty od domu i pozwala zapomnieć o strachu.

- Zgoda. - Adam podrapał się po brodzie. - Ale musisz wiedzieć, że pracowitość twojego personelu pozostawia dużo do życzenia.

Zauważyłem, że ty harujesz ciężiej niż oni

Giana się roześmiała.

- Tylko dlatego, że karolyańskie prawo zabrania im wszelkich czynności, które przeszkodziłyby w wypełnianiu tradycyjnych

obowiązków wobec władcy. Mogą zarabiać pieniądze, ale przede wszystkim muszą dbać o moje potrzeby.

Adam się skrzywił.

- To chyba wyjaśnia, dlaczego nikt nie przestrzega moich poleceń co do rozkładu dnia.

Giana kiwnęła głową.

- Kiedy w rezydencji przebywa monarcha, służba musi najpierw jemu usługiwać, a pozostałym w drugiej kolejności.

- Królewskie pochodzenie ma swoje plusy.

- Ale jak wszystko, również swoją cenę.

- Jak brzmi druga prośba? - zapytał Adam.

- Zastanowisz się nad moją propozycją? Jeśli będę mogła wybierać, chciałabym mieć ciebie u swojego boku.

- George, nie...

- Cii! - Giana przytknęła palec do ust. - Nie odpowiadaj teraz.

Zastanów się dobrze. Twoje poświęcenie będzie ogromne...

- Prosisz mnie, żebym się z tobą ożenił? Giana się uśmiechnęła.

- Proszę, żebyś przyjął rolę księcia małżonka, jeśli będę mogła ci ją zaproponować.

- Przecież jestem człowiekiem bez tytułu i w dodatku Amerykaninem. Czy to w ogóle realne?

Giana wzruszyła ramionami.

- Na pewno nie będzie łatwe...

Siedziała na stołku i patrzyła w lustro jeszcze długo po tym, jak Adam wyszedł.

Chyba straciła rozum. Poprosiła Adama McKendricka, żeby się z nią ożenił. Co ona w ogóle sobie myślała? Zmarszczyła brwi, patrząc na swoje odbicie. Dobrze wiedziała, o co jej chodzi, kiedy oświadczyła się ukochanemu. Po prostu miło byłoby budzić się w jego ramionach każdego ranka do końca życia.

Samolubnie pomyślała tylko o sobie, a nie o Adamie. Dotknęła ust Jak mogła oczekiwać, że on opuści dom w Ameryce i Larchmont Lodge, przy którym tak ciężko pracował? Jak mogła wymagać, żeby zostawił własne interesy i zajął się jej sprawami? Jak mogła prosić, żeby zrezygnował z wolności, z dotychczasowego sposobu życia, i przyjął na siebie ciężar obowiązków wobec nie swojego kraju?

Giana westchnęła. Wiedziała lepiej niż ktokolwiek, jakich wyrzeczeń będzie musiał dokonać Adam, żeby z nią żyć. Ślub z następczynią tronu zmusi go do porzucenia wszystkiego, co kochał. Czy ona mu wystarczy? Czy potrafi wynagrodzić mu to, co stracił?

Ona również się poświęci, ale na razie nie chciała mu nic mówić. Będzie na to dużo czasu później... jeśli się z nią ożeni. Przygryzła wargę. Jeśli Adam nie przyjmie oświadczyń, złamie jej serce, ale nie zamierzała wyzbyć się dumy i go przekupić.

Choć Karolyańska Karta zniosła prawo zabraniające kobietom wstępowania na tron, parlament w inny sposób ograniczył im władzę.

Żeby otrzymać koronę, księżniczka musiała wyjść za męża, ale tym samym, zgodnie z karolyańską tradycją, stawała się całkowicie od męża zależna. Księżę małżonek automatycznie zyskiwał równe, a

czasami większe prawa do wszystkiego, co posiada żona, z wyjątkiem dziedzicznego tytułu.

Wychodząc za Adama, ryzykowała utratę władzy nad własnym krajem. Powiedziałyby mu o dodatkowych postanowieniach Karolyńskiej Karty, ale bała się, że właśnie one skłonią go do ślubu.

Chyba by umiała żyć ze świadomością, że jej wybrankowi bardziej zależy na roli księcia małżonka niż na niej. Ale jak miałyby się tego dowiedzieć?

Scandalous

„Księżniczka królewskiego rodu Saxe-Wallerstein-Karolya nigdy nie wątpi w słuszność swoich decyzji. Nie wolno jej okazywać wahania ani słabości”.

- Zasada 519 protokołu i etykiety dworskiej rodu Saxe-Wallerstein-Karolya, zatwierdzonych przez jaśnie Oświeconą księżnę Rosamund, 1782.

- No, przyjacielu, czas na rozmowę.

O'Brien wpadł po południu do biblioteki, machając gazetą, którą kupił w Kinlochen. Ujrzał Adama za biurkiem zasłanym papierami.

McKendrick potrząsnął głową.

- Nie teraz.

- Zaczynam myśleć, że znalazłeś wesołego kompana i dlatego mnie unikasz - rzucił Murphy.

- Dobrze, że wszystko rozumiesz w lot. Naprawdę mam pracę do wykonania.

O'Brien podszedł do biurka i wziął do ręki jeden z listów, nad którymi ślęczał przyjaciel.

- Myślałem, że już dwa tygodnie temu wysłałeś zaproszenia na otwarcie klubu.

- Owszem. A teraz piszę kolejne.

- Powiadamasz, że uroczystość została odwołana?

- Nie odwołana, tylko przełożona na inny dzień. Zapraszam królową. Słyszałem, że wkrótce przybywa do Balmoral.

O'Brien zmarszczył czoło.

- Sądziłem, że postanowiłeś...

- Tak, ale zmieniłem zdanie. - Adam rzucił okiem ku drzwiom, jakby chciał sprawdzić, czy w pobliżu nie ma robotników.

O'Brien poszedł za jego wzrokiem. Biblioteka była otwarta, a w pokoju po drugiej stronie korytarza pracował jeden z tapeciarzy.

-Wracając z wioski, spotkałem Josefa - powiedział Murphy. - Pytał, czy wybiera się pan dzisiaj na przejażdżkę.

Adam wstał zza biurka i sięgnął po kapelusz.

- Przyda mi się trochę ruchu. A poza tym muszę zobaczyć, jak postępują prace na polu golfowym.

Pół godziny później obaj wyruszyli spod stajni. Gdzie jedziemy? - zapytał Murphy.

- Na pole. Tam będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

W milczeniu dotarli do osiemnastego dołka. Niedaleko budynku klubowego przerobionego ze stróżówki zsiadli z koni i ruszyli przez trawę.

- Jest czy nie jest? - O'Brien już dłużej nie potrafił hamować ciekawości.

-Jest.

Murphy pokiwał głową.

- W Kinlochen też się tak szepcze. Wieść o zniknięciu następczyni tronu nie zrobiła dużego wrażenia na małej szkockiej wiosce, ale renowacja domu myśliwskiego sprawiła, że ludzie poskładali elementy łamigłówek. Ci, których wynajęliśmy do pracy, trzymają język za zębami, ale inni sądzą, że księżniczka jest tu

przetrzymana wbrew swojej woli. W dodatku księżę Victor z Karolyi zaoferował hojną nagrodę za informacje, które doprowadzą do jej bezpiecznego powrotu. Niedługo ktoś postanowi zgłosić się po pieniądze.

- Regent chce zobaczyć ją martwą.

- Płaci za jej bezpieczny powrót - sprostował O'Brien.

- Księżę Victor popełnił królobójstwo. Zależy mu na powrocie kuzynki, żeby jego siepacze mogli dokończyć to, co zaczęli. George uciekła im tamtej nocy tylko dlatego, że nie było jej w stolicy. Jej ojciec zwiertzył spisek i wysłał ją w bezpieczne miejsce. Nie znał go nikt oprócz Maximilliana.

- Cholera! - zaklął O'Brien.

- Właśnie.

- Gazety wskazują palcem na Maxa - stwierdził Murphy. - Victor oskarżył go, że to on kazał anarchistom porwać księżniczkę.

- Nie było żadnych anarchistów i żadnego porwania. Księżę Victor wszystko tak zorganizował, żeby nikt go nie podejrzewał,

- Co z tego będzie miał? - zapytał O'Brien. - O ile się orientuję, rządzi teraz jako regent w imieniu księżniczki Giany, bo sam nie może zasiąść na tronie.

- Władzę - odparł Adam. - Władzę nad George, a przede wszystkim nad karolyańskimi złożami rud żelaza i tysiącami akrów lasów. Już próbuje zawierać umowy. A z Maxa chce zrobić kozła ofiarnego, bo sekretarz księcia Christiana był świadkiem morderstwa.

W jednym z zabójców rozpoznał człowieka Victora. -Adam powtórzył przyjacielowi opowieść Giany.

- Może i Max nie jest winny zbrodni, o którą się go oskarża, ale jak myślisz, ile czasu minie, zanim ktoś postanowi go wydać? Victor dobrze zatarł za sobą ślady. Księżniczka Giana ma rację. Z gazetowych artykułów wynika, że brytyjski rząd istotnie pomaga mu w poszukiwaniach. Choć monarchini odmawia uznania go za prawowitego władcę, moje źródła mówią, że regent Karolyi przyjechał do Szkocji, żeby spotkać się z jej królewską mością.

-Co?!

- Niemieckie gazety piszą, że jego wysokość książę Victor, regent Saxe-Wallerstein-Karolya, opuścił kraj, żeby złożyć wizytę w Wielkiej Brytanii. Spekuluje się, że królowa Wiktoria porzuciła nadzieję, że księżniczka Giana żyje, i przy okazji tej wizyty uzna prawo Victora do tronu.

- Do diabła! - zaklął Adam. - George ukrywa się w Szkocji między innymi dlatego, że królowa Wiktoria jest jej matką chrzestną. Chciała wykorzystać jej pobyt w Balmoral, żeby wyjaśnić okoliczności swojego zniknięcia.

O'Brien potrząsnął głową.

- Ona nie może jechać do Balmoral, skoro jej kuzyn postanowił się tam wybrać. - Murphy popatrzył Adamowi w oczy. - Mówiłeś, że regent chce sprzedawać karolyańskie żelazo?

- Tak, ale książę Christian się temu sprzeciwiał. O'Brien milczał przez chwilę.

- Słyszałem na przyjęciu u twojej siostry, jak kilku ludzi rozmawiało o kupowaniu rud żelaza.

Adam poczuł ściskanie w żołądku.

- Marshfeld! Kirstin wspomniała o jego planach i o księciu Victorze, ale wtedy nie powiązałem tych dwóch rzeczy.

- Nie tylko Marshfeld. Są też inni. Tworzą spółkę, której głównym celem będzie import surowców.

- Sukinsyn! Nie mogę oprzeć się przeświadczeniu, że to wszystko moja wina - powiedział Adam. - George i jej świta byli bezpieczni w Larchmont, póki się nie zjawiłem i nie zacząłem przerabiać odludnego domu myśliwskiego na modny klub dla dżentelmenów.

- Nie mogłeś wiedzieć, że zbiegła księżniczka postanowiła ukryć się w domu, który wygrałeś w pokera od pewnego bogatego Anglika. A oni nie mogli wiedzieć, że ich schronienie zmieni właściciela. Człowiek nie ma wpływu na przeznaczenie.

„Nie wybawisz mnie od moich obowiązków, Adamie. Ani nie uchronisz przed przeznaczeniem” - zadźwięczały mu w uszach słowa Giany.

- Przeznaczeniem Giany nie jest śmierć w młodym wieku. Gdyby tak było, Max nie zdołałby jej uratować przed zabójcami. W każdym razie nic jej tu nie groziło, póki ja nie przyjechałem. Dlatego moim zadaniem jest ją chronić.

- Opowieści o Szlachetnym Baronie namieszały ci w głowie - stwierdził O'Brien. - Wiem, że Giana jest piękną blondynką, i do tego

zdradzoną, ale za wysoko mierzysz. Poza tym nie zdołasz uratować wszystkich!

McKendrick łypnął na niego z ukosa.

- Muszę uratować tę jedną. Ona jest moją przyszłością.

- Niekoniecznie. Sam tak powiedziałeś i miałeś rację. Igrasz z losem.

-Trudno. - Adam spojrzał przyjacielowi w oczy. - Chętnie za nią umrę. Jest tego warta. Ale musisz mi przyrzec, że w razie czego się nią zaopiekujesz. - Rozejrzał się po polu golfowym i wrócił wzrokiem do O'Briena. - Budynek klubu to najbezpieczniejsze miejsce w całej posiadłości. Jest z kamienia i ma piwnicę na wina. Gdyby Victor trafił do Larchmont Lodge, przyprowadź ją tutaj i ukryj. Obiecuj, że zostaniesz z nią, jak długo będzie cię potrzebowała.

- Nie chodzi o ochronę następczyni tronu, prawda? Adam potrząsnął głową.

- O ochronę kobiety, którą kocham.

Kochał ją. Nie miał kłopotu z przyznaniem się do miłości. Zastanawiał się jednak, czy jego uczucie wystarczy.

Zaproponowała mu rolę księcia małżonka, ale Adam nie był pewien, czy potrafiłby ją przyjąć.

Jeden miłosny poranek nie mógł decydować o całej przyszłości, choć był wspaniały. Małżeństwo z księżniczką oznaczałoby prawdziwą rewolucję w jego życiu i wymagało od niego ogromnych poświęceń. Musiałby opuścić swój kraj, zostawić wszystko, do czego przywykł, stać się kimś innym. I zrezygnować z wolności.

Zwłaszcza tej ostatniej ofiary nie był jeszcze gotów złożyć. Od przyjazdu do Szkocji bardzo się zmienił. Zakochał się szaleńczo w kobiecie silnej, odważnej, godnej podziwu i lojalnej. Ale nawet ten nowy Adam McKendrick drżał na myśl o tym, czego musiałby się wyrzec, żeby być z George.

Nie mógł jednak zapomnieć o swojej odpowiedzialności wobec ukochanej. Wiedział, że chcąc ją ratować, powinien się z nią ożenić, ale jako człowiek obdarzony instynktem samozachowawczym i zdrową dozą szacunku do samego siebie wzdragał się przed małżeństwem z władczynią kraju. Nie miał ochoty zrzec się obywatelstwa amerykańskiego ani zostawić wszystkiego, co z takim trudem osiągnął. Nie chciał, by ktoś inny kierował jego życiem. Ściągnął brwi. Musiałby zamieszkać w Karolyi, daleko od rodziny i przyjaciół, żeby od czasu do czasu stanąć u boku żony, a najczęściej w tle.

Czy potrafi wyrzec się dawnego życia dla George? Czy potrafi siebie znieść, jeśli to zrobi?

- Miał pan rację, milordzie.

Everleigh stał przed swoim przyjacielem i mentorem, Andrew Ramseyem, szesnastym markizem Templeston, w prywatnym gabinecie jego londyńskiego domu, i relacjonował mu szczegóły audiencji u jego wysokości księcia Victora Saxe-Wallerstein-Karolya.

Templeston zmarszczył brwi.

- Bardzo mi przykro z tego powodu. Czasami się obawiam, że za długo żyję, że przestałem być użyteczny. Świat się zmienia, a ja nie

zazdroszczyć wyzwania, które przed panem stoją. - Westchnął. -
Widziałem tak dużo chciwości, zazdrości i zła, w rodzinach i wśród
przyjaciół, że już nic mnie nie zaskoczy. - Wyglądał na smutnego,
zamyślonego. - Wchodzimy w ostatnie dwudziestopięciolecie wieku.
Kiedy się zaczynał, walczyliśmy z Napoleonem, teraz mamy tego
młodego pretendenta do tronu Karolyi.

- Książę Victor nie jest Napoleonem, sir - zauważył Ashford
Everleigh.

- To prawda. Ambitni geniusze tacy jak Napoleon rodzą się
rzadko. - Templeston oparł łokcie na biurku

i splótł palce. - Dzięki Bogu. Ale drobni tyrani tacy jak książę
Victor są równie niebezpieczni jak ludzie, którzy aspirują do
rządzenia światem, może nawet bardziej.

- Jak to?

Everleigh z uwagą patrzył na mentora. Znał go przez całe życie,
chodził do szkoły z jego synem Kitem. Odczuwał dumę, że należy do
kilku wybrańców, którzy mogą z nim pracować. Templeston miał
ogromną wiedzę i doświadczenie, a poza tym w całej Anglii trudno
byłoby znaleźć lepszego człowieka.

- Ludzie tacy jak książę Victor są przebiegli i podstępni, ale
subtelni. Pokazują światu czarującą twarz, ale to diabły przebrane za
anioły. Ludzie rzadko widzą ich takimi, jacy są w rzeczywistości, a
większość i tak nie uwierzy, gdy pozna prawdę. Napoleon nie miał w
sobie nic subtelnego ani podstępnego. Był prostolinijny. Stawiał sobie
cele i robił wszystko, żeby je osiągnąć, ale wszyscy wiedzieli, że jest

zołnierzem. I tyranem, czarującym tyranem. Zebrał armię i ogłosił, że podbije świat, więc świat zrozumiał, że przed podbojem może się uchronić, jeśli utworzy sojusz i stanie do walki. Napoleon był drapieżnym wilkiem. Książę Victor jest wilkiem w przebraniu owcy. Czy księżniczka Giana jeszcze żyje?

- Nie wiadomo, sir. Ale poprosiłem naszego ambasadora, lorda Sissinghama, o egzemplarz Karolyańskiej Karty. Dowiedziałem się z niej, że koronacja może nastąpić rok po śmierci panującego księcia. Żeby zostać prawowitym władcą, książę Victor musi pokazać karolyańska pieczęć stanu oraz dowód śmierci księżniczki Giany. I musi się ożenić. Nasze tamtejsze źródła mówią, że regent oświadczył się o rękę kuzynki, ale książę Christian mu odmówił.

Lord Templeton się uśmiechnął.

- Więc ona jeszcze żyje. Od śmierci księcia Christiana minęło ponad pięć miesięcy. Przygotowanie nawet skromnej koronacji zabierze sześć albo siedem miesięcy. Gdyby Victor miał pieczęć, już dawno by ją pokazał. Przeprowadził pan śledztwo w sprawie morderstw. Wpadł pan na jakikolwiek ślad anarchistów?

-Nie.

- Żadnych wystąpień przeciwko księciu Christianowi? Manifestów? Żądań? Gróźb pod adresem innych królewskich rodów?

Everleigh potrząsnął głową.

- Nic. Zupełnie jakby zapadli się pod ziemię. Podobnie jak następczyni tronu.

- Różnica polega na tym, że księżniczka Giana istnieje - przypomniał Templeston. - Czego nie można powiedzieć o domniemanych anarchistach. Podejrzewam, że książę Victor zapomniał o szczegółach. Zapomniał, że anarchiści musieliby zostawić po sobie jakiś ślad.

- Dlatego oskarżył lorda Gudruna.

- Który również istnieje i również zniknął. - Gospodarz zastanawiał się przez chwilę. - A co z porywaczami? Były od nich jakieś wieści?

-Nie.

- Więc mamy tylko wersję księcia Victora.

- Zgadza się, sir. Ale ja znam Maximilliana Gudruna. On nie zabił księcia Christiana i księżnej May ani nikogo do tego nie namówił. Był lojalny wobec swojego pracodawcy, jak ja wobec pana. Nie porwał ich córki. Nic nie skłoniłoby Maxa do zdrady księcia albo kraju. Z pewnością nie złoży rud żelaza i wielkie obszary dziewiczych lasów.

- A, właśnie. Drewno i żelazo. Bogactwa naturalne powinny należeć do ludu Karolyi i znajdować się pod pieczęcią księżniczki Giany. Ale nie możemy jej o to zapytać, więc musimy się dowiedzieć, kto ma prawo je sprzedawać i kto jest gotów za nie zapłacić.

- Książę Victor jako regent może sprzedawać surowce. Pod warunkiem, że księżniczka Giana nie wróci do Karolyi i nie odzyska tronu.

Lord Templeston klasnął w dłonie.

- Więc przyjrzyjmy się księciu Victorowi. Znamy jego plany i ostatnie posunięcia?

- Teraz przebywa w Londynie - odparł Everleigh. - Wyjechał z Karolyi wkrótce po mnie.

Markiz uśmiechnął się szeroko.

- Tak, czytałem we wczorajszych gazetach, że planuje podróż do Szkocji, żeby spotkać się z królową. Ale nie zapowiedział oficjalnie swojej wizyty w Londynie ani nie poprosił o audiencję u jej królewskiej mości, więc do kogo i po co przyjechał?

- Odwiedza wicehrabiostwo Marshfeld, którzy mieszkają niedaleko stąd. Wiem z naszych źródeł, że nazwisko wicehrabiego dołączono ostatnio do listy biznesmenów, którzy utworzyli konsorcjum w celu importu surowców potrzebnych do budowy kolei, w tym drewna i...

- Rudy żelaza - dokończyli razem.

- Dlaczego Szkocja? - zapytał Templeston. - Czego albo kogo księżę tam szuka?

- Oprócz królowej?

Gospodarz pokiwał głową. Everleigh wzruszył ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Musimy się dowiedzieć, bo podejrzewam, że dziewczyna zrobiła to samo co Margo.

- Słucham?

- Księżniczka Giana. - Widząc zdziwienie na twarzy protegowanego, Templeston wyjaśnił: - Wiele lat temu moja żona

miała lisiczkę. Wychowała ją od małego. Margo była oswojona jak pies. Często zdarzało nam się zapominać, że to lis. Ale gdy ktoś ją przestraszył, zachowywała się jak jej dzicy pobratymcy. Wchodziła na drzewo albo chowała się do nory. Gdyby nasza księżniczka, uciekając przed wrogami, wybrała pierwsze rozwiązanie, zwróciłaby się do naszej miłociwej pani. Lecz jeśli z jakiegoś powodu nie mogła tego zrobić, ukryła się, żeby przeczekać niebezpieczeństwo.

- Ale jak ją teraz skłonić do wyjścia z kryjówki? - spytał Everleigh.

- Trzeba zapędzić ogary do budy - odparł Templeston. - Złożymy wizytę Marshfeldom i zaprosimy ich do Balmoral. Królowa za dwa tygodnie rozpoczyna szkockie wakacje. Victor nie przepuści takiej okazji.

- Sir?

- Bez obaw. Porozmawiam z jej królewską mością. Pułapkę musimy zastawić w Szkocji, a nie w Anglii.

Lord Everleigh zmarszczył brwi.

- Anglia i Szkocja połączyły się, tworząc Wielką Brytanię, jedno państwo pod jednymi rządami... naszej miłociwej królowej.

- To prawda - przyznał Templeston. - Nasza miłociwa pani rządzi Wielką Brytanią, ale przede wszystkim jest władczynią Anglii i nie powinna mieszać się w sprawy Karolyi ani pomagać w obaleniu księcia Victora. On zapewne jest mordercą i osobnikiem godnym najwyższej pogardy, ale reszta świata o tym nie wie. Dla niej Victor jest ostatnim żyjącym członkiem karolyańskiej rodziny królewskiej,

obecnym regentem i kandydatem do tronu. Tak więc nie możemy swobodnie działać w Anglii, ale Szkocja zachowała sporą autonomię, jeśli chodzi o prawo, politykę, religię i system edukacji. Możemy to wykorzystać. -Jak?

- Uzurpator, któremu angielskie prawo daje pewną ochronę, nie może oczekiwać jej w Szkocji.

- A co z księżniczką Gianą? - zapytał Everleigh.

- Jako córka chrzestna królowej ma zapewnioną ochronę w całej Wielkiej Brytanii. - Templeton westchnął. - Pod warunkiem, że znajdziemy ją, zanim uczyni to Victor.

„W nadchodzących latach kobiety z zachodu będą wychwalać Szlachetnego Barona i opowiadać o nim historie, tak jak Anglicy o królu Arturze i rycerzach okrągłego stołu”.

- „Druga część prawdziwych przygód Szlachetnego Barona, dobroczyńcy pięknych, zdradzonych blondynek”, spisanych przez Johna J. Bookmana, 1874.

Minęły trzy dni, odkąd trzymał ją w ramionach. Trzy długie, męczące dni, które upłynęły mu na rozważaniu jej propozycji.

Starał się jej unikać, żeby zyskać więcej czasu na przemyślenie swojej decyzji, ale nic nie mógł poradzić na to, że pragnie George, gdy tylko na nią spojrzy. Mijając ją na korytarzu, od razu chciał porwać ją w objęcia, pocałować, obiecać wszystko. Ale nie miał prawa składać jej przyrzeczeń, póki nie był pewien, czy ich dotrzyma.

- Sir?

Zatopiony w myślach podniósł wzrok na Maxa, który stanął przy jego biurku. -Tak?

- Z wioski dostarczono pilny telegram z Londynu -oznajmił sekretarz.

Adam zmarszczył brwi. Od trzech dni od Maximilliana Gudruna wiało chłodem. Mógł istnieć tylko jeden powód jego rezerwy.

McKendrick uznał, że teraz jest równie dobra pora jak każda inna, żeby poruszyć najważniejszą kwestię. Odłożył telegram na biurko.

- Przepraszam, sir, ale zaznaczono go jako „pilny” -powiedział Karolyńczyk.

- Nie tak pilny jak sprawa, którą muszę z tobą omówić. - Adam się uśmiechnął. - Zamknij drzwi, Max.

Sekretarz spełnił polecenie.

- Jestem panu dozgonnie wdzięczny za uratowanie życia księżniczki Giany - rzekł McKendrick.

Max tak mocno zbladł, że Adam się przestraszył.

- S-s-sir? - wymamrotał sekretarz.

Jego najgorsze obawy się potwierdziły, gdy McKendrick oznajmił:

- George opowiedziała mi, co się wydarzyło.

- Wydarzyło? - Głos sekretarza drżał.

- W Christianbergu.

Max zaczął na oślep szukać krzesła, bo nogi się pod nim ugięły. Widząc to, Adam wstał z fotela, okrążył biurko i pomógł mu usiąść.

- Treść naszej rozmowy nie wyjdzie poza drzwi tego pokoju.

Jeśli szpiegzy Victora są wszędzie, nie mogę obiecać, że któryś z nich tutaj nie dotarł. Mogę jednak zapewnić, że o tym, co wiem, nie wspomniałem nikomu oprócz O'Briena...

Max jęknął. Dlaczego wielu dżentelmenów lubi zdradzać swoje sekrety krawcom i garderobianym?

Zamiast uspokoić sekretarza, Adam jeszcze bardziej go zdenerwował, więc dodał pośpiesznie:

- Murphy O'Brien nie jest lokajem, tylko moim najbliższym przyjacielem i detektywem słynnej agencji detektywistycznej Pinkertona. To wzór dyskrecji. - Adam zrobił pauzę. - Giana wszystko

mi opowiedziała. O księciu Victorze i o ostatniej prośbie księcia Christiana, żeby przekazał pan pieczęć stanu jego córce i chronił ją za cenę swojego życia. Widziałem sygnet zawieszony na złotym łańcuszku, który Giana nosi w talii.

Max zerwał się z krzesła.

- Widział pan... Jak to możliwe? Adam znacząco uniósł brew.

- Jest pan draniem, sir! - Maximillian Gudrun aż się zatrzęsł z oburzenia. Ściągnął białą rękawiczkę i cisnął ją McKendrickowi w twarz. - Uwiódł pan niewinną dziewczynę!

Adam nawet nie mrugnął powieką na tę zniewagę. Uznał prawo lorda Gudruna do żądania satysfakcji, W jego przekonaniu popełnił wyjątkowo niecny czyn, którego należało się wstydić. Lecz on nie czuł wstydu.

- Nie, sir - rzekł z godnością.

- A jak by pan określił swój postępek?

Kochałem się z nią. Ta myśl przemknęła przez głowę Adama, ale mądrze zachował ją dla siebie. Wyprostował plecy.

- To sprawa między księżniczką Gianą a mną -oświadczył. - Nie bronię się ani nie tłumaczę. Co się stało, to się nie odstanie. Nie zamierzam rozmawiać o intymnych szczegółach łączących nas stosunków. Powiem tylko, że nie miałem pojęcia, że jest następczynią tronu, póki... - Adam zawiesił głos i odchrząknął. -Gdybym wiedział... W każdym razie po fakcie już nic nie mogłem zrobić.

Sekretarz gwałtownie zaczerpnął powietrza i jeszcze bardziej zbladł.

- Ujawniła swoją tożsamość po tym, jak...

Adam skinął głową.

- Wybiera pan pistolety czy szable? Czy mi pan pomoże?

Max zaczął nerwowo spacerować po gabinecie.

- Nie zdaje pan sobie sprawy z tego, co zrobił. Książę Victor pana zabije, jeśli się dowie.

- Właśnie dlatego zwracam się do pana. Potrzebuję pańskiej pomocy, żeby Victor nie odkrył prawdy... póki Giana nie wyjdzie za mąż.

Gudrun osłupiał.

- Księżniczka Giana nie może wyjść za mąż.

- Dlaczego?

- Książę Victor nigdy nie pozwoli jej poślubić innego mężczyzny, a ona nigdy nie wyjdzie za mordercę rodziców.

- Dlaczego potrzebuje pozwolenia Victora na ślub? -zapytał Adam.

- Bo jest kobietą. Według karolyańskiego prawa kobiety nie mogą wychodzić za mąż bez zgody najbliższego męskiego krewnego - wyjaśnił Max.

- Nawet księżniczki?

- Zwłaszcza księżniczki. W ich wypadku stawka jest dużo wyższa.

Adam zaklął pod nosem.

- A jeśli nie ma krewnego? Kto wtedy wydaje zgodę?

- Sąd kościelny. Ale księżniczka Giana ma krewnego. -Victor jest jej kuzynem, tak? - Adam znał odpowiedź, ale chciał usłyszeć potwierdzenie.

-Tak.

McKendrick się uśmiechnął.

- Proszę mi powiedzieć, lordzie Gudrunie, co pan wie o George'u Ramseyu, markizie Templeston?

Wyraz twarzy Maxa świadczył o prawdziwym wstrząsie. Tylko księżna May, lord i lady Barracksford, książę Christian i piętnasty markiz Templeston znali prawdę o pochodzeniu księżny. Matka Giany uparła się, żeby przed ślubem Wyznać prawdę przyszłemu mężowi, i jej rodzice wyrazili zgodę. Jako prywatny sekretarz władcy Gudrun został poproszony o spisanie przebiegu audiencji i umieszczenie dokumentu w prywatnym archiwum księcia. Pismo wraz ze złotym medalionem miało stanowić dowód dla lorda Templestona, gdyby księżna lub jej dzieci musiały zwrócić się do niego o pomoc, a jednocześnie świadectwo dla karolyńskiego parlamentu, że książę Christian wiedział o pochodzeniu narzeczonej, zanim ją poślubił. W noc morderstwa Max zabrał dokument z archiwum i ukrył go w obcasie buta.

Nie zdradził się ani słowem, a inni wtajemniczeni już nie żyli. Z wyjątkiem Giany. Max był oszołomiony. Nie miał pojęcia, że dziewczyna zna rodzinny sekret.

- W medalionie, który księżniczka nosi na szyi, jest podobizna George'a Ramseya, piętnastego markiza Templeston - powiedział.

- To by znaczyło, że piętnasty markiz Templeston był jej dziadkiem ze strony matki, a zatem obecny jest jej wujem.

- Zgadza się.

-Krewnym, który może wydać zgodę na małżeństwo? -Tak.

- Gdzie go znajdziemy? - zapytał Adam.

- W Londynie. Jest jednym z najbardziej zaufanych doradców królowej Wiktorii. Ale pozwolenie na małżeństwo to nie jedyny warunek, jaki powinna spełnić księżniczka. Jeśli postanowi wyjść za członka innego królewskiego rodu, musi przejść badanie lekarskie potwierdzające jej dziewictwo. - Max spojrzał McKendrickowi w oczy. - Ponieważ już nie jest dziewczyną, kto się z nią ożeni, wiedząc, że księżniczka być może nosi w łonie dziecko innego? Jaki mężczyzna byłby gotów zrezygnować z dotychczasowego życia, żeby poślubić następczynię tronu, która miałaby nad nim całkowitą władzę?

-Ja.

- Zgodnie z karolyańskim prawem księżniczka może poślubić mężczyznę nie pochodzącego z królewskiego rodu, ale utytułowanego.

- Czy tytuł barona wystarczy? Max zmarszczył brwi.

- Baron stoi niżej od wicehrabiego, hrabiego, markiza, diuka i księcia. W czasie uroczystości państwowych idzie w tyle za wszystkimi osobami przewyższającymi go rangą.

- Nic mnie to nie obchodzi. Czy Giana może wyjść za barona?

- Oczywiście. To stary i szanowany tytuł. - Gudrun zachował nieprzeniknioną minę. - Jakiego barona ma pan na myśli?

- Szlachetnego Barona Adama McKendricka.

- Na pewno jest to do przyjęcia.

- Dla pana? Czy dla ludu Karolyi?

Lord Gudrun się uśmiechnął.

- Książę Christian zwrócił się do mnie z ostatnią prośbą. Już byłem przekonany, że nie potrafię jej spełnić, ale dwa dni temu przyszła do mnie księżniczka Giana i powiedziała, że jest gotowa wypełnić swój obowiązek wobec ludu Karolyi, lecz gdyby jej propozycja nie została przyjęta, chciałaby pójść za głosem serca, a ja muszę jej w tym pomóc. Kiedy zapytałem, co ma na myśli, odparła, że wybrała pana na księcia małżonka i jeśli pan się zgodzi, moim zadaniem będzie przekonać karoiański rząd, żeby pana zaakceptował. Jeśli odrzuci pan jej oświadczenia, znajdę sposób, żeby mogła abdykować, bo jej miejsce jest przy panu. - W oczach Maxa zalśniły łzy. - Ostatnie słowa księcia Christiana brzmiały: „Powiedz Gianie, żeby nie bała się iść za głosem serca. Obiecuj, że pomożesz jej znaleźć drogę”. Spełniłem jego prośbę. - Gudrun wziął z biurka przesyłkę i podał ją McKendrickowi. - Wczoraj rano pozwoliłem sobie nadać w pańskim imieniu telegram do markiza Templestona. Oto odpowiedź.

Adam rozłożył kartkę telegram i przeczytał: „Lord Templeston za dwa dni przyjeżdża do Szkocji jako gość jej królewskiej mości Wiktorii Reginy, zgodnie z wolą Boga władczyni Anglii. Zaprasza pana i wybrane osoby z personelu do Balmoral, na audiencję u jej

wysokości. Bardzo pragnie zobaczyć medalion i dokument oraz porozmawiać o pańskiej prośbie. Ashford, markiz Everleigh".

McKendrick spojrzał na Maxa.

Lord Gudrun stanął na baczność i po wojskowemu strzelił obcasami.

- Chciałbym panu towarzyszyć, sir. Adam się uśmiechnął.
- Przykro mi, ale to niemożliwe.
- Należę do pańskiego personelu.
- Owszem, ale jest pan również jedynym świadkiem morderstw.

Nie możemy ryzykować. Musi pan zostać tutaj z księżniczką.

- Kto z panem pojedzie, sir?
- Gordon i Josef.

Max skinął głową i usiadł w skórzanym fotelu. Oparł lewą nogę na udzie, schylił się i odkręcił obcas buta. W środku tkwił zwinięty papier umazany krwią. Gudrun wyjął go ostrożnie i podał McKendrickowi.

- Proponuję, żeby księżniczka również napisała list polecający z jej własnym podpisem i zaopatrzony w pieczęć.

Adam zrozumiał go w lot.

- Może być trudno ją uzyskać. Gudrun spojrzał mu w oczy.
- Jestem pewien, że wszyscy możemy polegać na pańskiej dyskretnej pomocy.

Giana zjawiała się w jego sypialni późnym wieczorem.

McKendrick podniósł wzrok, gdy weszła do pokoju. Była świeżo po kąpieli i pachniała kwiatami pomarańczy.

Za nią wśliznął się Wagner. On niestety cuchnął mokrym psem.
Adam skrzywił nos.

- Wykapałam go, ale na dworze pada. Jak wyschnie mu sierść, będzie trochę lepiej.

Adam postanowił uwierzyć jej na słowo.

- Próbowałam trzymać się od ciebie z daleka, ale nie mogę - powiedziała Giana.

- Bardzo się z tego cieszę.

- Obiecałam sobie, że nie będę cię namawiać, żebyś przyjął moje oświadczyzny, ale... - Opuściła wzrok na swoje nagie stopy.

Adam ujął jej dłonie i przyciągnął ją do siebie.

- Wszystko w porządku, księżniczko. - Musnął wargami jej oczy, policzki, szyję i usta. - Już powziąłem decyzję.

Gianie oddech uwiązł w krtani. -Tak?

McKendrick skinął głową.

- I... - ponagliła go George.

- W rezultacie zostałem zaproszony do Balmoral na weekend.

- Po co?

- Mam spotkanie z obecnym markizem Templeston. Księżniczka głośno zaczerpnęła powietrza.

- Postanowiłem przyjąć oświadczyzny, zatem będzie mi potrzebny twój medalion. - Giana wpatrywała się w niego bez słowa, więc delikatnie ujął w dłonie jej twarz i pocałował w usta. - Przydałby mi się również list z twoim podpisem i pieczęcią. Po tym spotkaniu Victor już nie będzie mógł cię skrzywdzić.

- Chcesz zostać księciem małżonkiem? - wykrztusiła w końcu George.

Adam posłał jej uśmiech.

- Jeśli się nie rozmyśliłaś. Giana zmarszczyła czoło.

- Jesteś gotów wziąć na siebie tę odpowiedzialność? Jeszcze nie objęłam tronu. Może będę musiała o niego walczyć. A jeśli mi się nie uda? Jeśli nie zostanę koronowana, nie będę mogła dotrzymać obietnicy i obdarzyć cię tytułem.

- Próbujesz mnie odwieść od tego zamiaru? Ostrzegam, że ci się nie uda. - McKendrick wzruszył ramionami. - Dopóki cię nie poznałem, nie miałem dobrego zdania o utytułowanych ludziach.

Giana otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Adam wykorzystał okazję i znowu ją pocałował.

- Chcę się z tobą ożenić. Jedyne przyrzeczenia, jakich od ciebie oczekuję, to te złożone w dniu ślubu.

- Och, Adamie!

George zdjęła medalion, wręczyła mu go i wybuchnęła płaczem.

- Czy to oznacza „tak”?

Giana bez słowa zarzuciła mu ręce na szyję, przytuliła się i obsypała go pocałunkami. Adamowi aż zakręciło się w głowie od jej zapachu i dotyku.

Wytarł łzy z jej policzków.

- Słyszałem, że prawdziwe księżniczki nigdy nie płaczą.

- A kto tu płacze? - Wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę łóżka.

- Ty, księżniczko. Giana potrząsnęła głową.

- To są łzy radości.

- W takim razie przypieczętujmy naszą umowę - szepnął jej Adam do ucha. W tym momencie zobaczył, że Wagner próbuje wdrapać się na łożo. - O, nie! Zmykaj stąd!

George zachichotała, gdy pies cofnął się z opuszczonym łbem.

- Chyba uraziłeś jego uczucia.

- Możliwe, ale musi się pogodzić z tym, że dzisiaj nie będzie z tobą spał.

- My też nie będziemy spać - oznajmiła Giana. - Musimy ćwiczyć.

- Co? - zapytał z ciekawością Adam.

- To, czego się ostatnio nauczyłam.

- W takim razie będziesz bardzo zajęta kobietą, bo doskonalenie umiejętności wymaga czasu.

- Wagnera też trzeba czymś zająć. Adam strzelił palcami i wskazał na drzwi.

- Wagner! Pilnuj!

Pies podbiegł do drzwi i położył się pod nimi.

- Tak lepiej - stwierdziła Giana, zdejmując koszulę nocną. Światło lampy odbiło się od złotego łańcuszka zapiętego w talii. - Masz dla mnie jakieś rozkazy?

Adam bez słowa wyciągnął do niej ramiona.

„Szlachetny Baron jest ideałem Amerykanina. Pojechał na zachód, żeby zdobyć fortunę, i odniósł sukces tam, gdzie innym się nie powiodło. Do wszystkiego w życiu doszedł sam. Jest milionerem, dżentelmenem i bohaterem pogranicza”.

- „Pierwsza część prawdziwych przygód Szlachetnego Barona, dobroczyńcy pięknych, zdradzonych blondynek”, spisanych przez Johna J. Bookmana, 1874.

Cztery dni później Adam wszedł w Kinlochen do pociągu. Jazda do Balmoral trwała o połowę krócej niż podróż do Londynu. O'Brien chciał mu towarzyszyć, ale McKendrick poprosił go, żeby został w Larchmont Lodge i pilnował George. Na wszelki wypadek.

Murphy się zgodził, więc zamiast niego pojechali Gordon i Josef.

Ze stacji odebrano ich i zawieziono do zamku powozem. Drzwi otworzył kamerdyner, a w progu powitał gości dystyngowany mężczyzna.

- Jak się pan miewa, panie McKendrick? Jestem Ash-ford Everleigh, współpracownik lorda Templestona.

Gordon Ross i Josef Sommers zostali w holu, a McKendricka zaprowadzono do gabinetu markiza.

- Będę w przedpokoju, gdyby pan czegoś potrzebował, sir - powiedział Everleigh do dżentelmena siedzącego za masywnym biurkiem, a następnie cicho się wycofał, zostawiając Amerykanina sam na sam z gospodarzem.

- Witam, panie McKendrick. Miło pana poznać. Andrew Ramsey, szesnasty markiz Templeston, był wysokim mężczyzną, starszym, niż Adam się spodziewał, ale nadal przystojnym i młodzieńczym w ruchach. Rażno wstał z fotela, obszedł biurko i uściskał gościowi dłoń.

- Nawzajem, sir - odparł Adam z lekkim ukłonem.

- Przyjechał pan w sprawie zaginionej księżniczki - powiedział lord Templeston, wracając na swoje miejsce.

- Tak, sir. Przybywam w jej imieniu.

- Księżniczka Giana twierdzi, że jest wnuczką mojego nieżyjącego ojca? - To było raczej stwierdzenie niż pytanie.

-Tak

- Przypuszczam, że ma pan dowód?

Adam sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął z niej złoty medalion, dokument, który dał mu Max, oraz list napisany przez George i opatrzony pieczęcią Saxe-Wallerstein-Karolya.

- Jej wysokość przysłała to panu wraz z liścikiem adresowanym do matki chrzestnej.

Markiz złamał pieczęć i zaczął czytać.

„Milordzie, powierzyłam swoje najcenniejsze skarby i własne życie człowiekowi, który teraz przed panem stoi. Pan McKendrick ma ze sobą medalion, który na pewno pan rozpozna. Moja babka podarowała go mojej matce, księżnej May Saxe-Wallerstein-Karolya, a ona z kolei mnie wraz z radą, żeby w razie konieczności pokazać go obecnemu markizowi Templeston lub jego pełnomocnikowi.

Wysyłam go przez pana Adama McKendricka, bo znajduję się w rozpaczliwej sytuacji i potrzebuję pomocy w odzyskaniu tronu. Być może pan słyszał, że moja matka urodziła się jako lady Caroline Frances Alexandra May, córka markiza i markizy Barracksforda. Może pan natomiast nie wiedzieć, że moja babka była kiedyś paryską aktorką..."

Lord Templeston zamknął oczy, wspominając dzień, kiedy stał w gabinecie swojej londyńskiej rezydencji i słuchał, jak prawnik jego ojca, Martin Bell, mówi o kodycyłu do testamentu markiza. Działo się to wiele lat temu - więcej niż liczył sobie stojący przed nim młody człowiek - ale obraz był tak żywy, jakby rozmowa odbyła się poprzedniego dnia.

„W testamencie twojego ojca jest pewien kodycył. Było ich więcej niż jedna.

- Kogo?

Martin odchrząknął. Określenie »kochanka« nie chciało mu przejść przez gardło.

- Przyjaciółek.

- Na jachcie?

Ojciec i jego ostatnia kochanka zginęli w wypadku na morzu.

- Nie, na łodzi.

Andrew odetchnął z ulgą. Już się przeraził, że nie wystarczy miejsca na rodzinnym cmentarzu. -Ile?

- Pięc. Oprócz śpiewaczki operowej modystka z Brighton, aktorka z Paryża, krawcowa z Edynburga i pewną młodą kobietą, która mieszka w Northamptonshire".

Młodą kobietą z Northamptonshire okazała się Kathryn Markinson Stafford, obecna żona szesnastego markiza i miłość jego życia. Aktorka z Paryża wyszła za innego angielskiego lorda i urodziła dziewczynkę, która z kolei poślubiła księcia i sama też powiła córkę, księżniczkę Georgiana Saxe-Wallerstein-Karolya.

Georgiana. Żeńska forma imienia jego ojca. Córka jego przyrodniej siostry. Andrew otworzył oczy i wrócił do listu od księżniczki.

„Moja babcia, mama i ja byłyśmy dumne, że nigdy nie musiałyśmy prosić o pomoc naszej rodziny z Anglii. Gdyby nie śmierć rodziców i sytuacja, w jakiej się znalazłam, na pewno nie zwróciłabym się do pana i zabrałabym sekret do grobu. Ale teraz błagam o nadzwyczajną przysługę. Karolyańskie prawo wymaga, żeby księżniczka z królewskiego rodu otrzymała pozwolenie na ślub od najbliższego krewnego.

Jako wuj jest pan moim najbliższym żyjącym krewnym, dlatego proszę pana o zgodę, bo pragnę pójść za głosem serca i poślubić mężczyznę, którego wybrałam na księcia małżonka. Małżeństwo z Adamem McKendrickiem, spełniające warunki Karolyańskiej Karty, pozwoli mi zasiąść na tronie i podjąć obowiązki wobec kraju.

Jaśnie oświecona księżniczka Georgiana Regina Saxe-Wallerstein-Karolya".

Pod podpisem znajdował się woskowy odcisk pieczęci księstwa Karolyi.

Lord Templeston starannie złożył list i sięgnął po drugi, leżący obok adresowanego do królowej, też opatrzony państwową pieczęcią, ale podpisany przez nieżyjącego księcia i księżnej. Papier był poplamiony krwią.

Templeston uniósł brew.

- Lord Gudrun twierdzi, że to jego krew - powiedział Adam. - Schował dokument do kieszeni kamizelki po tym, jak został ranny. W czasie podróży z Christianbergu do Laken przeniósł go do wydrążonego obcasa i tam przechowywał do chwili, kiedy dał go mnie.

Pismo z prywatnego archiwum księcia Christiana potwierdzało słowa księżniczki Georgiany. Ostatecznym dowodem miał być medalion. Templeston wziął go z biurka i otworzył. Zobaczył miniatury Barracksfordów oraz księcia Christiana, księżnej May i ich małej córeczki. Nie zaskoczyło go uderzające podobieństwo markizy do jego matki. Wszystkie kochanki George'a Ramseya do złudzenia przypominały jego zmarłą żonę. Andrew ostrożnie odsunął portret Barracksfordów i ujrzał przystojną twarz ojca, piętnastego markiza Templeston. Patrzył na niego przez chwilę, po czym zamknął wieczko.

- Od dawna żadnego nie widziałem, ale ten jest autentyczny - stwierdził Templeston, oddając medalion gościowi.

Następnie wziął jakiś dokument ze stosu papierów leżących na biurku i też wręczył go McKendrickowi.

- To kodycył do testamentu mojego ojca. Proszę przekazać go mojej siostrzenicy.

- Mogę? - zapytał Adam. Markiz skinął głową.

- Proszę.

McKendrick przeczytał kodycył i spojrział na gospodarza.

- Pański ojciec musiał być wyjątkowym człowiekiem.

- Tak. Jak pan widzi, księżniczka Giana ma prawo do sporej sumy i...

- Nie interesują jej pieniądze, tylko pozwolenie na ślub - przerwał mu Adam.

- Udzielam go. Zrobię to pisemnie na wypadek, gdyby po jej powrocie do Karolyi wysuwano jakieś wątpliwości. Powodzenia, chłopcze. Cieszę się, że moja zgoda uchroni księżniczkę Gianę przed takimi osobnikami jak Victor. Dobrze, że jest pan w Szkocji. Możecie pobrać się od razu. Jeszcze dzisiaj miejscowy pastor udzieli wam ślubu.

- Dziękuję, sir.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Witaj w rodzinie, chłopcze.

Templeston wstał, obszedł biurko i poklepał Adama po ramieniu.

- Jeśli coś mogę zrobić... - zaczął McKendrick. Markiz się uśmiechnął.

- Zanim pan odejdzie... Jest tu ktoś, kto chciałby z panem porozmawiać.

Przeszedł przez pokój, otworzył drzwi i usunął się na bok, wpuszczając niską, okrągłą kobietę ubraną całą na czarno z wyjątkiem kołnierza z białej koronki i wdowiego czepka.

Za nią wszedł wysoki, potężny Szkot i zatrzymał się trzy kroki z tyłu, żeby jej strzec.

Lord Templeston zamknął drzwi, uklonił się królowej i dokonał prezentacji.

- Wasza wysokość, czy mogę przedstawić pana Adama McKendricka?

Monarchini wyciągnęła dłoń.

- Panie McKendrick.

Adam uklonił się i lekko dotknął jej palców, tak jak wcześniej zrobił to jego gospodarz.

- Pani.

Władczyni podeszła do krzesła i usiadła, a następnie gestem ręki pokazała obecnym, żeby zrobili to samo. Gdy wszyscy zajęli, miejsca, spytała, nie tracąc czasu:

- Jest pan Amerykaninem?

- Tak, pani.

- Z Teksasu?

- Z Nevady.

- Słyszeliśmy, że wszedł pan w posiadanie domu myśliwskiego w naszej ukochanej Szkocji.

- Tak, pani. Larchmont Lodge znajduje się w pobliżu wioski Kinlochen.

- Rozumiem. - Królowa przyglądała mu się przez chwilę. - Powiedziano nam, że księżniczka Giana znalazła schronienie w pańskim domu, zanim pan tam zamieszkał.

- Tak, wasza wysokość.

- Jako Amerykanin nie miał pan pojęcia, że ona jest księżniczką?

- Nie, pani. Była przebrana za pokojówkę. Wiktoria się roześmiała. Kiedyś, wiele lat temu, nim została królową, sama lubiła się przebierać i zjawiać na kolacji w różnych kostiumach.

- Więc przybył pan do Balmoral jako jej pełnomocnik?

- Tak, pani. Poprosiła mnie, żebym wręczył pani list. Zerknął na lorda Templestona. Markiz wziął z biurka list i podał go władczyni.

Królowa nie otworzyła koperty, tylko położyła ją na kolanach i spojrzała na McKendricka.

- Jak naszą córką chrzestna?

- Jest niezwykłą kobietą - odparł Adam. Wiktoria się uśmiechnęła.

- W to nie wątpię. Ale jak się miewa, panie McKendrick? Jak radzi sobie ze smutkiem?

Adam przyjrzał się kobiecie we wdowiej szacie i białym czepku, nadal pogrążonej w żałobie po śmierci męża, i zrozumiał, że jej zainteresowanie jest szczere.

- Całkiem dobrze jak na tak potworną stratę. Ubiera się na czarno i oplakuje rodziców, ale łzy przelewa w samotności.

Monarchini skinęła głową, a następnie przełamała woskową pieczęć i rozłożyła list. Po chwili podniosła oczy i przeszła Adama spojrzeniem.

- Proszę mi powiedzieć, panie McKendrick, czy pan wie, co jest w tym liście? - Postukała nim w poręcz fotela.

- Nie, pani.

- Skąd mamy wiedzieć, że jest od księżniczki Giany? Skąd mamy wiedzieć, że to nie pan go napisał i opatrzył skradzioną pieczęcią? Skąd mamy wiedzieć, że nie jest pan w zмовie z jej porywaczami?

Adam odpowiedział jej spokojnym wzrokiem.

- Ma pani tylko moje słowo, wasza wysokość, i słowo księżniczki Giany.

Królowa pokiwała głową, spojrzała na list i w końcu się roześmiała.

- Księżniczka Giana równie dobrze wybrała formę wiadomości, jak posłańca. Wiedziała, że tylko ja ją zrozumie.

Wiktoria odwróciła kartkę w stronę McKendricka i lorda Templestona.

Ku swojemu zaskoczeniu Adam zobaczył wykonany piórem i atramentem rysunek wilczura śpiącego pośrodku łóża, z głową na poduszce i łapami w górze. W chmurce nad jego łbem widniał nakryty stół, a na nim ciastka i cały łosoś oraz napis: „Sny Wagnera, 1874. Dla ukochanej nauczycielki W. R. od wdzięcznej uczennicy G. R”

- Nauczyliśmy ją rysować i malować, kiedy miała cztery albo pięć lat - wyjaśniła królowa. - Od tamtego dnia wymieniamy się rysunkami. Głównie koni i psów. Księżniczka Giana celuje w podobiznach tych ostatnich. Kiedy nas odwiedza, pakujemy kosze piknikowe, zawsze z łososiem jako głównym daniem i ciastkami na deser. Jedziemy na wrzosowiska i siedzimy razem w przyjaznym milczeniu. My szkicujemy, a zaufany pan Brown nas pilnuje. - Wskazała głową na wysokiego Szkota.

Starannie złożony list, królowa Wiktorja wstała z fotela, podeszła do Browna i coś do niego cicho powiedziała. Mężczyzna skinął głową i pociągnął za sznurek dzwonka. Kiedy zjawiła się pokojówka, powtórzył prośbę władczyni. Potem czekał przy drzwiach, aż służąca wróciła ze szkicownikiem, pudełkiem ołówków oraz małą fotografią w srebrnej oprawce, przedstawiającą księcia małżonka.

Skot podał szkicownik i ołówki swojej pani, a z fotografią stanął na swoim dawnym miejscu.

- Proszę usiąść, panie McKendrick, a my przygotowujemy odpowiedź.

Po tych słowach królowa zaczęła rysować.

Kiedy skończyła, pokazała mu Wagnera w cylindrze i fraku w towarzystwie bardzo eleganckiej wilczurzycy w welonie i wianku z kwiatów pomarańczy. Nad psią parą widniało gotyckie łukowate okno z karolyańskim herbem, a otaczał ją krąg buldogów noszących emblematy królewskiej gwardii. Napis głosił: „Życzenia długiego życia i szczęścia od JKM W. R. dla JKW G. R.”

Adam, zdumiony talentem monarchini, oderwał wzrok od kartki i spojrzął w jej błyszczące oczy.

- Traktujemy te rysunki jako nasz tajny kod - wyjaśniła królowa.
- Wymieniamy się nimi w sekrecie, jak matka chrzestna i chrześnica upominkami.

Podawała McKendrickowi drugą kartkę. Widniał na niej jego portret z podpisem władczyni. Gdy Wiktoria się do niego uśmiechnęła, dostrzegł w niej młodą kobietę, którą kiedyś była.

- Chcę panu podziękować - powiedziała - za opiekę nad naszą córką chrzestną.

- To był dla mnie zaszczyt - odparł Adam. Królowa zwróciła się do lorda Templestona.

- Chcielibyśmy wysłać oddział naszych gwardzistów do Larchmont Lodge, żeby przywieźli jej wysokość i pana McKendricka do Balmoral. - Przeniosła wzrok na Adama. - Chcielibyśmy wyprawić wam ślub. Ceremonię zorganizujemy tutaj za dwa dni. Miesiąc miodowy spędzicie jako moi goście...

- Ale, wasza wysokość... - przerwał jej markiz. - Lady Templeston i ja mieliśmy nadzieję, że księżniczka Giana i pan McKendrick przyjadą do nas do Swanslea Park.

Władczyni zmierzyła doradcę spojrzeniem.

- Oboje możecie tutaj do nas dołączyć. Już dawno nie widzieliśmy naszej drogiej księżniczki, a bardzo lubimy wspólne lekcje sztuki.

Templeston skinął głową.

- Za dwa dni, wasza wysokość? - W tonie Adama wyraźnie dało się usłyszeć nutę niepewności. - A co z księciem Victorem?

Królowa zmarszczyła brwi.

- Zajmiemy się nim. Chętnie dopilnujemy tego, żeby uzurpator został rozdeptany jak robak. - Skinęła na służbę. - I z wielką przyjemnością przygotowujemy ślub księżniczki, czekając na jej przybycie. Proszę przekazać to naszej chrześnicy z wyrazami miłości i powiedzieć jej, że bardzo się ucieszymy, jeśli będzie nosić kameę, którą dał nam drogi Albert.

Odpięła z koronkowego kołnierza broszę z czarnego onyksu i macicy perłowej, podała ją Szkotowi, a ten z kolei przekazał ozdobę oraz fotografię w srebrnej ramce McKendrickowi.

- Dziękuję, wasza wysokość - powiedział Adam.

- Proszę. - Królowa wstała z fotela. McKendrick i lord Templeston uklonili się, kiedy ich

mijała. Chwilę później monarchini razem z wiernym służką zniknęła za masywnymi drzwiami.

Adam gapił się za nią, póki gospodarz nie klepnął go po ramieniu.

- Gratulacje, chłopcze! Królowa nie wszystkim rozdaje fotografie księcia Alberta. Jej gest oznacza, że pochwała wasze małżeństwo.

- Nie zależy mi na aprobachie władczyni, tylko na pańskiej.

- Jej poparcie o wiele łatwiej przekona księcia Victora, żeby zrezygnował z dalszego ścigania księżniczki.

McKendrick wzruszył ramionami.

- Najważniejsze, żeby była bezpieczna.

- Teraz już będzie. Księżę Victor musiałby być szaleńcem, żeby wystąpić przeciwko Brytyjskiemu Imperium.

- Człowiek zdrowy na umyśle nie popełnia królobójstwa - zauważył Adam.

- Racja - przyznał Templeston. - Ale teraz regent ma więcej do stracenia.

- O ile więcej?

- Życie, jeśli postanowi pan je zakończyć - odparł markiz rzeczowym tonem.

- Pozwala pan księżniczce wyjść za mnie, a mnie zabić królewskiego kuzyna?

- Jeśli to okaże się konieczne, - Lord Templeston wytrzymał jego wzrok. - Po prostu przypominam panu, że jest pan Amerykaninem. Rząd jej królewskiej mości nie byłby zadowolony, gdyby jego żołnierze albo obywatele podnieśli rękę na członka rodziny królewskiej, który odwiedza ich kraj, ale wykazałby zrozumienie, gdyby pan, obywatel amerykański mieszkający w Szkocji, uznał za konieczne bronić siebie i swojej żony, córki chrzestnej jej królewskiej mości, przed morderczymi zamiarami księcia Victora.

- Rozumiem - powiedział Adam.

- Tak myślałem.

- Nie wolno wam go tknąć. Nawet żeby ratować księżniczkę.

- Gwardia będzie ją chronić, ale nie może zabić księcia Victora, podczas gdy pan...

- Stając w obronie jej wysokości, mogę zrobić wszystko, co okaże się konieczne.

Lord Templeston pokiwał głową..

- Właśnie.

- Myśl, że musimy czekać na ślub dwa dni, przyprawia mnie o niepokój.

- Więc proszę nie czekać.

- Ale królowa powiedziała...

- Prawo nie zabrania kilku ceremonii ślubnych. Po powrocie do Larchmont Lodge może pan ożenić się z księżniczką, a potem jeszcze raz w Balmoral, za dwa dni.

- Nie wiem, jak panu dziękować... Markiz mu przerwał:

- Będziemy gotowi, kiedy zjawi się pan na drugi ślub. -

Uśmiechnął się szeroko. - Tymczasem zatelegrafuję do pastora w Kinlochen i każę mu czekać w Larchmont Lodge na pańskie przybycie.

Podróż przebiegła bez zakłóceń, ale w domu panował chaos. Lord i lady Marshfeld wraz ze świtą przybyli z niespodziewaną wizytą cztery dni przed planowanym otwarciem klubu, wprawiając służbę w popłoch.

Adam zorientował się, że coś jest nie w porządku, kiedy Henri ubrany w strój kamerdynera otworzył frontowe drzwi. - - Dobry wieczór, sir, miło, że pan wrócił.

McKendrick wytrzeszczył oczy.

- Gdzie Albert?

- Wyjechał. Wszyscy wyjechali.

- Co to znaczy wyjechali? Dokąd? Kucharz wzruszył ramionami.

- Wyjechali. Wszyscy. Razem z panem O'Brienem, który był bardzo rozczarowany, że nie zagra w golfa. Mówił, że szczególnie podoba mu się osiemnasty dołek.

Adam zmierzył Francuza wzrokiem. Murphy nie grał w golfa, ale znał budynek klubu i wiedział, że są w nim piwnice na wina. -A Ma...

Henri potrząsnął głową, przytknął palec do ust i wyszeptał po francusku:

- Lord i lady Marshfeld przyjechali z pewnym dżentelmenem z Londynu i księciem regentem Karolyi.

- Cholera jasna! - zaklął McKendrick.

- Adamie!

Przez hol sunęła w jego stronę Kirstin.

- Co tu robisz?

- Dostaliśmy zaproszenie do Balmoral i postanowiliśmy sprawić ci niespodziankę! - Siostra niemal podskakiwała z radości.

-My?

- Marshfeld, twój ojciec, książę Victor i ja. Każde jej słowo było niczym cios w serce.

- Marshfeld, książę Victor i mój ojciec?

- Tak. Czy to nie ekscytujące? Znalazłam twój ojca!

- A kto cię prosił, do diabła, żebyś mieszała się w moje sprawy?
- wybuchnął Adam. - Kto cię prosił, żebyś szukała mojego ojca?

-Ja.

Adam się odwrócił.

- Lord Bascombe! Co pan tutaj robi? Hrabia się uśmiechnął.

- Przyjechałem zagrać w golfa z moim synem. Świat nagle zawirował. McKendrick usiadł na najbliższym krześle,, żeby nie upaść.

- Pan?

Bascombe pokiwał głową.

- To była szansa, żebym poznał syna.

- Ty draniu! - Adam zerwał się na równe nogi, przeczesał włosy rękami, po czym zacisnął pięść i zdzielił nią gościa w nos. - Miał pan dwadzieścia osiem lat, żeby mnie poznać! Gdzie, do diabła, pan był, kiedy dorastałem? Gdzie pan był, kiedy nazywano mnie bękartem, a ja musiałem się bić, żeby bronić godności matki? Wtedy cię potrzebowalem! Teraz już nie!

Bascombe dźwignął się z podłogi i wytarł chustką krew z nosa. Sprawdził ostrożnie, czy nie jest złamany.

- Ty może nie, ale twoja siostra tak.

- Co? - Adam przeniósł wzrok na Kirstin.

- Księżę Victor. Ostrzegałeś mnie przed nim, ale jaja... - Łady Marshfeld zaczęła szlochać.

- Co się stało, Kirstin? Co on ci zrobił?

- Jego królewska wysokość książę Victor Saxe-Wallerstein-Karolya ma pewne plany wobec lady Marshfeld - odezwał się Bascombe. - Przyszła do mnie, bo bała się, że ty posądzisz ją o fałszywy alarm, a własny mąż zachęcał ją do kontynuowania... hm, przyjaźni z księciem.

- M-M-Marshfeld chce, żebym pojechała do Karolyi z księciem Victorem i udawała zaginioną księżniczkę -wykrztusiła Kirstin. - Ale obawiam się, że jeśli to zrobię, mnie również spotka coś złego...

Adam zbladł jak płótno i spojrzał na ojca.

- Gdzie jest Victor?

- Kiedy przyjechaliśmy, twój wilczur biegał po ogrodzie. Książę Victor stwierdził, że pies przypomina mu dom. Potem oznajmił, że chętnie zwiedziłby okolicę. Wziął konia z twojej stajni i pojechał. Marshfeld wybrał się razem z nim na przejażdżkę.

- Gdzie Wagner?

- Poprowadził Victora na pole golfowe.

- Jezu! - Adam omal nie wpadł w panikę. - Jeśli coś stanie się psu, George mnie zabije. Muszę jechać!

- Kto to jest George? - zapytała siostra.

Adam nic nie odpowiedział, tylko ruszył przed siebie długim krokiem. Bascombe i Kirstin wymienili spojrzenia i popędzili za nim.

McKendrick biegł przez całą drogę, ale kiedy dotarł do osiemnastego dołka, stwierdził, że nikogo tam nie ma. Popatrzył na budynek klubu i dostrzegł błysk światła w oknie.

Murphy O'Brien wpuścił go do środka, ale zamknął drzwi przed nosem lady Marshfeld i Bascombe'a.

Kirstin zaczęła się dobijać i głośno wyrażać niezadowolenie, aż w końcu Adam niechętnie dał znak Murphy'emu, żeby otworzył.

- Dopiełściście swego, ale teraz trzymajcie się ode mnie z daleka - warknął i spytał przyjaciela: - Co się stało?

O'Brien spiorunował wzrokiem Kirstin.

- Lady Marshfeld i jej goście wzięli nas przez zaskoczenie. Na szczęście Josef rozpoznał księcia Victora, kiedy ten przyszedł do stajni z żądaniem, żeby osiodłać mu konia. Josef przybiegł do domu i nas ostrzegł. Gordon udał się po pomoc.

Isobel, Albert, Brenna, Josef i Max stali obok Murphy'ego, lord Gudrun w pełnej gali, z szablą u boku, ale nigdzie nie było widać Giany.

- Gdzie George? - zapytał Adam.

- Wszystko w porządku - uspokoił go Murphy. - Wypatrywaliśmy ciebie. Co cię tak długo zatrzymało?

- Miałem audiencję u królowej. Gdzie George?

- Nic jej nie jest - zapewnił O'Brien. - Masz broń? McKendrick potrząsnął głową.

Przyjaciel rozpiął marynarkę. Na biodrach miał pas z rewolwerem. Z kieszeni wyjął drugi i podał go Adamowi.

- Przeprowadziłem Georgianę i pozostałych tutaj, żeby na ciebie zaczekać. Jak, do diabła, Victor ją znalazł?

- Nie znalazł. Został zaproszony do Balmoral. Niestety Kirstin wpadła na pomysł, że skoro jadą do Szkocji, mogą złożyć niezapowiedzianą wizytę w Larchmont Lodge.

O'Brien zmarszczył brwi.

- Przecież mówiłeś jej, że to klub tylko dla dżentelmenów - zażartował.

- Znasz Kirstin. Ona nigdy mnie nie słucha. Gdzie George? Nikt się nie odezwał.

W tym momencie podbiegł do niego Wagner i trącił go nosem w rękę.

Adam ze zdziwieniem popatrzył na Murphy'ego.

- A co on tutaj robi?

- Chodzi wszędzie tam, gdzie ja.

Słyszając drogi głos, McKendrick odwrócił się i zobaczył, że Giana wychodzi z piwnicy win, cała ubrana na czarno, w wianku z kwiatów pomarańczy na głowie. Zapomniał o siostrze i ojcu.

Zapomniał o księciu Victorze. Zapomniał o całym świecie.

- Kocham cię - wyszeptał. George rzuciła mu się w ramiona.

- Ja też cię kocham.

- Gdzie byłaś?

- Na dole z pastorem.

McKendrick odetchnął z ulgą.

- Och, Adamie, Victor tu jest! - krzyknęła Giana.

- Nie martw się, księżniczko - powiedział, tuląc ją do serca. -

Wszystko będzie dobrze. Jesteś bezpieczna.

Tymczasem po schodach wszedł pastor.

- Sądziłem, że zaproszono mnie tutaj, żebym udzielił ślubu.

Adam spojrzał na narzeczoną.

- Jesteś gotowa? Giana skinęła głową. McKendrick zwrócił się do pastora:

- Jesteśmy gotowi.

- Czy ty... - zaczął duchowny.

- Adam McKendrick - podpowiedział pan młody.

- Czy ty, Adamie McKendrick, bierzesz sobie tę kobietę za żonę?

- Tak.

- A ty... - Pastor przeniósł wzrok na Gianę.

- Georgiana Victoria Elizabeth May.

- Georgiano Victorio Elizabeth May, bierzesz sobie tego mężczyznę na męża?

-Tak.

- Macie obrączki?

Adam z przerażeniem obejrzał się na O'Briena. -Jezusie, Józefie, Maryjo! Zapomniałem o obrączkach!

- Ja je mam - powiedziała Giana.

Gdy odwróciła się plecami do księdza, narzeczony zrozumiał jej zamiar i stanął tak, żeby zasłonić ją przed spojrzzeniami. George sięgnęła pod stanik sukni i wydobyła czarny pierścień z perłą oraz karolyańska pieczęć, którą nosiła w gorsecie od nocy, kiedy Adam przeciął łańcuszek, żeby mogła użyć sygnetu do pieczętowania listów.

- Twoja bielizna już nie jest najbezpieczniejszym miejscem do ukrywania klejnotów, księżniczko, skoro mam do niej dostęp - szepnął jej do ucha. - Ale w bibliotece jest sejf. Możesz w nim schować biżuterię... albo cały gorset.

- Kosztowności mi się przydadzą, jeśli będę musiała zapłacić za szkody wyrządzone przez Wagnera - odparła Giana.

- Więc zdecydowanie powinnaś oddać bieliznę do sejfu, bo już nie będzie ci potrzebna.

Giana zapięła z powrotem stanik i odwróciła się do pastora. Kiedy dokonali wymiany obrączek, duchowny rzekł:

- Ogłaszam was mężem i żoną.

Gdy czekali w piwnicy na przybycie pana młodego, Giana uprzedziła Maxa, że zamierza dać Adamowi królewską pieczęć na przechowanie. Mimo to Gudrun zbladł, kiedy włożyła ją mężowi na palec. Księżniczka z niepokojem zerknęła na swojego marszałka dworu.

- Wszystko w porządku, Max - uspokoił go McKendrick - Oddam sygnet, gdy tylko żona mnie o to poprosi. Prędzej umrę, niż pozwolę, żeby królewska pieczęć dostała się w ręce Victora. - Uśmiechnął się szeroko i dodał: - A jeśli zginę, Karolya uwolni się od amerykańskiego uzurpatora.

- Może się to stać wcześniej, niż pan myśli - powiedział Gudrun.

W tym momencie Wagner zawarczał głucho i podbiegł do swojej pani.

W drzwiach stał lord Marshfeld, a obok niego jakiś obcy mężczyzna. Obaj trzymali w dłoniach pistolety.

- Książę Victor, jak sądzę - rzucił Adam wyzywającym tonem.

- We własnej osobie - odparł regent. - Domyślam się, że mam przyjemność z Adamem McKendrickiem. - Skierował zimny wzrok na księżniczkę. - Gratulacje, kuzynko, omal mnie nie przechytryłaś.

- Przechytryłam! Adam i ja właśnie się pobraliśmy.

- Niezupełnie.

Giana gwałtownie zaczerpnęła oddechu, kiedy kuzyn wycelował w nią broń.

Adam chciał ją zasłonić własnym ciałem, ale Victor go powstrzymał.

- Zabiję ją - ostrzegł z całkowitą powagą

- Nie może pan jej zabić. Jest panu potrzebna.

- Była - poprawił go regent. - Zanim poznałem pańską siostrę.

Teraz brakuje mi tylko pieczęci. Proszę mi ją dać.

- Co moja siostra ma z tym wszystkim wspólnego? - zapytał McKendrick.

- Jest bardzo podobna do księżniczki, nieprawdaż? Dostatecznie, żeby zmylić Karolyan z pewnej odległości. A na szczęście dla mnie ołtarz w christianberskiej katedrze znajduje się daleko od pierwszych ławek. Gdy panna młoda włoży welon, nikt nie zauważy różnicy.

- Ja zauważę - warknęła Giana.

- Ja też! - krzyknęła Kirstin. Po jej twarzy płynęły łzy.

- Nie sędę - rzekł Victor i spojrział -na kuzynkę: -Ty będziesz martwa, a ona... - wskazał głową na lady Marshfeld - ... zdana całkowicie na moją łaskę.

Adam przyjrzał się uzurpatorowi. Victor był niższy od George o cal albo dwa i, choć istniało między nimi rodzinne podobieństwo, nie miał jej królewskiego wyglądu. Ubrany w galowy mundur, nosił przy boku szablę, a jego pospolitej twarzy dodawała wyrazu jedynie blizna przecinająca policzek.

Gdy odwiódł kurek pistoletu, McKendrick napiął wszystkie mięśnie, gotowy do ataku.

Wagner zareagował szybciej, skacząc intruzowi do nadgarstka. Adam też rzucił się na Victora.

W tym momencie książę wypalił. Pies zaskowyczał z bólu, gdy pierwsza kula drasnęła jego bok. Druga przeleciała o włos od ręki McKendricka.

- Adamie! - krzyknęła Giana, biegnąc w jego stronę. -Wagner! Victor odepchnął ją i dobył szabli.

- Chodź, McKendrick! Potnę cię na kawałki!

- Jestem bezbronny. To są dla pana równe szanse? Książę odwrócił się do Gudruna.

- Daj mu szablę.

Max popatrzył na Adama. Gdy ten skinął głową, wręczył mu swoją broń.

- Cokolwiek się wydarzy, pamiętaj o obietnicy- powiedział Adam do O'Briena, a następnie spojrział na regenta. - Zaczynamy?

W Anglii pojedynkowanie się było zabronione, natomiast szkockie prawo je dopuszczało.

- Jeśli jest pan gotowy na śmierć - odparł Victor.

- Uważaj na nią - rzucił Adam do przyjaciela, idąc do drzwi.

- Nie! - krzyknęła Giana i chciała pobiec za nim, ale Murphy ją zatrzymał..

- Proszę ze mną, pani. On musi wiedzieć, że jesteś bezpieczna, bo nie będzie mógł walczyć.

Otoczył ją ramieniem w talii i mimo oporu zaprowadził do piwnicy win. Następnie wrócił po psa. Reszta obecnych, z wyjątkiem Maxa, ruszyła za nim. Gdy zniósł wilczura po schodach i położył go na kamiennej posadzce, wsuwając mu pod głowę własny surdut, Giana z niepokojem pochyliła się nad ulubieńcem.

- Wagner? - szepnęła. Isobel zbadła ranę.

- Nic mu nie będzie - zapewniła. - Kula tylko drasnęła zebra.

Uspokojona księżniczka podbiegła do małego okienka.

- Oddaj mi pieczęć, McKendrick, to szybko zabiję ciebie i moją kuzynkę - mówił akurat Victor.

- Nie zabijesz - odparł Adam.

- Owszem. Jestem doskonałym szermierzem.

- Za to marnym strzelcem - McKendrick wiedział, że ryzykuje, drażniąc księcia. Domyślał się, co oznacza blizna na jego policzku, ale sam też nie był nowicjuszem, jeśli chodzi o fechtunek Ćwiczył tę sztukę w czasie podróży po Europie. Tyle że teraz mieli walczyć

szablami, nie floretami, oraz na śmierć i życie, a nie do pierwszej krwi
Nie łudził się, że Victor potraktuje go ulgowo. - Wybierz sekundanta.

- Marshfeld.

Mąż Kirstin wystąpił do przodu, przyjmując rolę wyznaczoną przez regenta.

- Uważaj, z kim się zadajesz, Marshfeld - ostrzegł go Adam. -
Kto mieczem wojuje, od miecza ginie.

- Ja będę sekundantem McKendricka. - Hrabia Bascombe stanął u boku Adama.

- En garde! - krzyknął Victor i zaatakował. Adam próbował odparować cios, ale ostrze przecięło surdut i omal nie trafiło go w bok. Po kilku minutach krwawił z kilku draśnień. Chryste! Pistolet byłby lepszy. Jako dobry strzelec miałyby większe szanse. Zresztą wolałby zginąć od kuli niż zostać posiekany na kawałki.

- Adamie! - krzyknął lord Bascombe. - Nie próbuj go pokonać!
Tańcz z nim. Słuchaj mnie. Wypad! Pchnięcie! Unik!

Wykrzykiwał polecenia, starając się ratować życie jedyne go syna.

- O'Brien, zrób coś! Victor go zabije!

Giana wyczuła, że Murphy się waha. Z jednej strony chciał dotrzymać obietnicy, z drugiej bał się o przyjaciela. Lecz ona nie mogła dłużej stać bezczynnie i patrzeć, jak jej mąż ginie. Nim O'Brien zdążył zareagować, chwyciła jego rewolwer i zaczęła strzelać przez okno.

- Cholera! - wrzasnął Adam, gdy pocisk otarł się o jego udo.

Victor ryknął z bólu i złapał się za ramię.

Giana przeraziła się, kiedy zobaczyła, że niechcący zraniła męża, ale wydała triumfalny okrzyk, gdy następna kula trafiła kuzyna.

Skierowała broń na Murphy'ego.

-Wypuść mnie.

- Nie mogę. Adam mnie zabije.

-Ja cię zastrzełę, jeśli Victor zabije Adama.

Leżąc na ziemi, Adam wypuścił broń z dłoni śliskiej od krwi. Walka była skończona. Przegrał ją i teraz miał zapłacić za porażkę własnym życiem. Dzięki Bogu, że O'Brien zaopiekuje się Gianą.

Ale jego żona nie była bezpieczna. McKendrick zobaczył, że biegnie przez trawnik ze srebrnym koltem w ręce.

- Uciekaj! - krzyknął Bascombe, podnosząc z ziemi szablę.

Odparował dwa szybkie ataki przeciwnika, jeden po drugim, podczas gdy Adam odtoczył się na bok. Ale regent znowu zrobił błyskawiczny wypad i ciał hrabiego w ramię.

- Uważaj!

Tym razem to Adam ostrzegł ojca, wyciągnął z kieszeni rewolwer i strzelił w chwili, gdy Victor uniósł szablę do ostatniego ciosu. Giana w tym samym momencie nacisnęła spust.

Nigdy się nie dowiedzieli, które z nich zabiło regenta.

Adam dźwignął się z ziemi i ruszył chwiejnie w stronę klubu, podtrzymywany przez ojca. Giana podbiegła do niego z drugiej strony.

-Jesteś ranny!

- Tak. - McKendrick skrzywił się z bólu. - Postrzeliłaś mnie.

- Jeszcze nigdy nie miałam w ręce takiej broni, ale musiałam cię ratować.

Adam zaśmiał się z wysiłkiem.

- Cóż, okazałaś się niezłym strzelcem. - Opadł na kolana, ujął dłoń żony i wsunął jej na palec sygnet. - Kocham cię, księżniczko. Będę kochał i bronił aż do śmierci

- Czyli niedługo, jeśli natychmiast się tobą nie zajmiemy - stwierdził lord Bascombe.

Pomógł synowi wstać i razem z Gianą zaprowadzili go do budynku klubowego.

- Jak bestia? - zapytał McKendrick, leżąc w łóżku po opatrzeniu ran przez Isobel.

- W porządku - odparła Giana.

- Od tej pory może spać tutaj - oznajmił Adam. -Nie.

- Przecież uratował nam życie. Książę Victor chciał nas zabić i wykorzystać Kirstiri jako twojego sobowtóra. Królewską pieczęć już zdążył podrobić. - Spojrzał na O'Briena, Bascombe'a i siostrę, którzy stali w nogach łoża. - Dzięki, Murph, że chroniłeś moją żonę.

O'Brien wzruszył ramionami,

- Chroniłem ją, póki mi nie uciekła, żeby cię ratować.

Adam uśmiechnął się do przyjaciela, a następnie zapytał siostry:

- Jak się czujesz?

- Chcę rozwodu z Marshfeldem. Najszybciej jak to możliwe.

- Na pewno da się to załatwić, prawda, sir? - Adam spojrzał na hrabiego.

- Oczywiście.

-Dziękuję, że służył mi pan jako sekundant, a potem uratował mi życie.

- Chociaż tyle mogłem zrobić dla syna... i słynnego Szlachetnego Barona - odparł Bascombe.

Adam jęknął.

- O rany, pan też zna te idiotyczne historie? -Oczywiście, że tak. To one przywiodły mnie do Nevady. Gdy usłyszałem o pierwszej przygodzie Szlachetnego Barona, postanowiłem cię odszukać, ponieważ jako mój syn masz prawo do tytułu wicehrabiego

Kennisbrooke. Szkoda, że Szlachetny Wicehrabia nie brzmi tak dobrze.

- A co na to wszystko pańska rodzina? - spytał Adam wyzywająco. - Bo jeśli jest pan tym, za kogo się podaje, to ja jestem bękartem, owocem unieważnionego małżeństwa z moją matką, a zatem nie mam żadnego prawa do pańskich tytułów.

- Moja żona zmarła sześć lat temu, natomiast dwie córki... tak, zgadza się, masz jeszcze dwie siostry, a obie mają synów, same mnie namówiły, żebym cię odnalazł i spróbował wszystko naprawić. Po śmierci żony przygotowałem stosowne dokumenty, uznające ciebie za mojego prawowitego dziedzica. Podoba ci się to czy nie, jesteś wicehrabią Kennisbrooke.

O'Brien się roześmiał.

-Wiedziałem, że jesteś cholernym angielskim lordem, gdy tylko cię zobaczyłem - powiedział do przyjaciela. - Jedynym, jakiego polubiłem. Na razie.

- Nazywam się Adam McKendrick, a moim ojcem był Benjamin McKendrick.

- Ja jestem Benjamin McKendrick - oznajmił Anglik. -To nasze nazwisko rodowe. Zostałem wicehrabią Kennisbrooke, kiedy mój ojciec odziedziczył tytuł hrabiego, a lordem Bascombe, gdy zmarł przed jedenastu laty.

- Kiedy pana poznałem, nikt jeszcze nie słyszał o Szlachetnym Baronie.

- Ja słyszałem. - Hrabia się uśmiechnął. - Bo te tanie powieści publikuje jedno z moich amerykańskich wydawnictw.

- Pan jest Johnem J. Bookmanem?

- Nie, to *nom de plume* jednego z moich korespondentów. - Bascombe mrugnął do Kirstin. - Płacę im, żeby tworzyli legendy. Jedną z nich okazał się mój syn. Zapytaj siostry, a ona ci powie, kim jestem. Mam szczerą nadzieję, że pozwolisz mi lepiej się poznać. Adam się zawahał. Uprzedziła go Giana.

- To może oczywiście trochę potrwać, ale mój mąż nauczy się wybaczać. Jest bardzo wielkoduszny, a nasze dzieci będą potrzebowały kochającego dziadka. -Podbiegła do lorda Bascombe i uściskała go serdecznie.

- Wybaczysz mi? - zapytał hrabia, patrząc na syna.

- To nie będzie łatwe, ale spróbuję - odparł Adam.

- Dziękuję.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić dla człowieka, który uczynił ze mnie Szlachetnego Barona i pomógł zdobyć rękę księżniczki.

Wyciągnął dłoń, a kiedy Bascombe ją uścisnął, w oczach obu mężczyzn pojawiły się łzy.

- Dość tego! - powiedziała Giana kilka minut później, wyganiając wszystkich z pokoju. - Mój mąż musi odpocząć, a poza tym zaczął się nasz miesiąc miodowy.

- Który nie ma nic wspólnego w odpoczynkiem - dorzucił Adam.

- Przecież jesteś ranny.

- Tak. - Ujął jej ręce i przyciągnął ją do siebie. - Jeśli będziesz grzeczną księżniczką i dobrze się mną zaopiekujesz, pozwolę ci się całować, aż wyzdrowieję.

Adam i Giana mieli jeszcze dwie ceremonie ślubne i dwa miesiące miodowe, nim zamieszkali w pałacu w Christianbergu.

Drugi ślub odbył się w kaplicy w Balmoral dwa dni po pojedynku na polu golfowym i był skromną uroczystością z udziałem królowej Anglii, markiza i markizy Templeston, hrabiego i hrabiny Ramsey, markiza i markizy Everleigh, hrabiego Bascombe, lady Marshfeld oraz całej służby z Larchmont Lodge i kilku członków gwardii królewskiej, którzy wcześniej eskortowali państwa młodych do szkockiego zamku monarchini.

Drugi miesiąc miodowy nowożeńcy spędzili w Balmoral, ale na szczęście goście nie oczekiwali, że będą często ich widywać.

Tego samego nie można powiedzieć o trzecim ślubie, którego udzielono im w katedrze św. Wincenta w Christianbergu, cztery miesiące po pierwszym. Ślub stanowił ceremonię państwową i obowiązywały podczas niego wszystkie zasady protokołu i etykiety, dlatego stanowił prawdziwe widowisko przygotowane z wielką pompą i trwające całe dwie godziny.

Uczestniczyły w nim tysiące Karolyńczyków, królowie i królowe, księżęta i księżniczki, diukowie, głowy sześćdziesięciu państw, matka pana młodego, jego ojciec i sześć sióstr z rodzinami.

Murphy O'Brien pełnił obowiązki drużby na wszystkich trzech uroczystościach, a Brenna Mueller drużny. Dwóch ślubów udzielił arcybiskup, jednego miejscowy pastor. Pospólstwo przepychało się łokciami z arystokracją, żeby wejść do katedry i zobaczyć wymianę przysięg między jaśnie oświeconą księżniczką Georgiana Victoria Elizabeth May i Adamem McKendrickiem, wicehrabią Kennisbrooke i Szlachetnym Baronem.

Po ceremonii królewska para pojechała do pałacu w Laken, gdzie większą część miesiąca miodowego spędziła na dochodzeniu do siebie.

Odoczynek bardzo był im potrzebny, bo wkrótce po zaślubinach rozpoczęły się przygotowania do koronacji księżniczki Giany.

Adam sprzedał swój bar i hotel Murphy'emu O'Brienowi, ale zatrzymał Larchmont Lodge. Ostatecznie dom myśliwski w Szkocji od wieków należał do rodziny jego ojca. Wkrótce stał się znanym w

świecie klubem golfowym dla dżentelmenów, z wyjątkiem sierpnia, kiedy to co roku zjeżdżali do niego na wakacje Adam i Giana oraz ich rodziny i przyjaciele.

Scandalous

Epilog

„Księżniczka królewskiego rodu Saxe-Wallerstein-Karolya zasługuje na szczęśliwe życie. Ma prawo do miłości, szacunku i opieki ze strony swojej rodziny i poddanych, bo jest ich największym skarbem i przyszłością”.

- Zasada 1 protokołu i etykiety dworskiej dla Księżąt z rodu Saxe-Wallerstein-Karolya, zatwierdzonych przez Adama I, księcia małżonka jaśnie oświeconej księżnej Giany, 1875.

Pałac w Christianbergu, Karolya Rok później

Adam skończył zapisywać propozycje poprawek do Kobiecej Klauzuli Karty Karolyańskiej, dokumentu, który mógł się podobać wyłącznie tyranowi, i sięgnął po gruby tom oprawiony w niebieską skórę. Przewrócił kilka stron o złoconych brzegach.

- Co to jest, do diabła? -Co?

Giana siedziała oparta o wezłowie masywnego łoża i trzymała przy piersi ich córeczkę Caroline Alexandrine Margaret.

Adam pokazał jej księgę.

- „Protokół i etykieta dworska obowiązujące księżniczki z królewskiego rodu Saxe-Wallerstein-Karolya”. Są tam spisane wszystkie zasady, których muszą przestrzegać.

- Chryste, a ja myślałem, że Kobieca Klauzula to koszmar. - Przeczytał kilka fragmentów i odłożył. -Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Bo bardzo się zdenerwowałam, kiedy ci napomknęłam o Kobiecej Klauzuli.

Rzeczywiście zareagował dość gwałtownie, gdy się dowiedział, że małżeństwo ograniczyło prawa Giany do rządzenia krajem.

- A gdzie są zasady dla książąt z królewskiego rodu?

- Nie ma ich w ogóle. Książęta z królewskiego rodu są nienaganni z racji samego urodzenia.

- Do diabła! - wybuchnął Adam na wspomnienie nieżyjącego księcia Victora.

Jeśli on był produktem takiego wychowania, czekało ich wiele pracy nad wprowadzeniem zmian.

- Adamie!

Książę małżonek wstał od biurka, podszedł do łóżka i usiadł na jego brzegu. Nachylił się, pocałował żonę, dotknął policzka córki.

- Skoro księżniczki muszą przestrzegać pewnych zasad, książęta również powinni. Nie możemy pozwolić, żeby jedna płęć dominowała nad drugą, skoro obie mają takie same wady i zalety. - Uśmiechnął się, patrząc na niemowlę. - Jeśli Alex okaże się naszym jedynym dzieckiem albo najstarszą z gromady dziewczynek, co jest bardzo prawdopodobne w tej rodzinie, odziedziczy tron. Ale jeśli urodzi się nam syn, to zgodnie z Kartą Karolyańską on zostanie władcą. - Przełknął ślinę ze wzruszenia, gdy małe księżniczka chwyciła go za palec. - To nie w porządku wobec mojej córki. Giana zastanawiała się przez chwilę.

- Myślę, że Alex powinna mieć prawo wyboru. Nie prosiła o brzemie obowiązków, które na nią spadną. Nie od niej też zależy, czy urodzą się jej siostry i bracia, więc jako pierworodna zasłużyła na to,

by samej zdecydować, czy chce rządzić krajem. Niestety nie możemy zmienić zasad sukcesji. Może to zrobić tylko parlament.

- Racja, ale jako władczyni masz prawo wnieść poprawki do Kobiecej Klauzuli.

Giana się roześmiała.

- Nie ja, lecz ty. Adam strzelił palcami.

- I właśnie to chcę zmienić. Jesteś dziedziczną księżną, więc ty powinnaś rządzić krajem, a nie ja tylko dlatego, że jestem mężczyzną. Musimy zaprowadzić nowe porządki, George.

Żona pokiwała palcem.

- Ostrzegam, że sam sobie będziesz winien, jeśli ograniczysz władzę, którą masz nade mną.

- Nie zamierzam wyrzec się całej władzy, którą mam nad tobą - powiedział Adam głębokim głosem, od którego po plecach Giany przebiegł dreszcz. - Tylko konstytucyjną. A swoje prawa wyegzekwuję po raz, jak mi pozwolisz.

Żona zachichotała, gdy znacząco poruszył brwiami i spojrzał na nią wygłodniałym wzrokiem.

- Pragnę dokonać zmian, by Alex nigdy nie musiała martwić się o to, że straci swoje dziedzictwo, kiedy postanowi wyjść za mąż.

Chcę, żeby była bezpieczna.

- Ja też, kochanie.

Giana przywarła ustami do jego ust. Czasami nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. I choć nienawidziła samej myśli o Victorze i zbrodniach, które popełnił, żeby zdobyć koronę, czasami

przychodziło jej do głowy, że gdyby nie on i jego żądza władzy, nigdy nie poznałaby Adama McKendricka, nie zakochała się w nim, nie wyszła za niego za mąż. I nigdy nie urodziłaby takiego skarbu jak Alex. Miała nadzieję, że kiedyś zdoła wybaczyć kuzynowi, ale na razie odmawiała modlitwy za jego duszę. Dziękowała również za Adama i za miłość, którą ją obdarzył.

Nachodziła ją też refleksja, że wprawdzie Victor zabrał życie dwóch osób, które kochała najbardziej na świecie, ale jednocześnie dzięki niemu zyskała dwie inne, równie uwielbiane.

- George? -Hm?

- Słuchaj mnie, bo to ważne.

Giana uśmiechnęła się na widok surowej miny męża.

- Myślałam o czymś bardzo istotnym.

- Tak? - Adam uniósł brew charakterystycznym gestem.

- Myślałam o tobie i Alex, że bardzo was Kocham i powinnam być wdzięczna losowi.

- Wiem. I dlatego zmienimy obecną wersję Karty Karolyańskiej, a w szczególności Kobiecej Klauzuli, albo stworzymy zbiór zasad dla książąt.

- A czy musi być albo, albo? - zapytała Giana. Mąż uśmiechnął się szeroko.

- Ty jesteś dziedziczną władczynią kraju, więc ty odpowiedz.

- Zróbmy jedno i drugie.

Cztery dni później w czasie ceremonii koronacji Jaśnie Oświeconej księżnej Georgiany Victorii Elizabeth May Saxe

Wallerstein-Karolya oraz chrzcin następczyni tronu, jej wysokości księżniczki Caroline Alexandrine Margaret Karolya-Kennisbrooke-McKendrick, jego wysokość Adam, księżę małżonek, oznajmił mieszkańcom Karolyi, że w Karcie zostaną wprowadzone zmiany, których celem będzie ograniczenie władzy męża nad monarchinią.

Koronowana księżna,, oświadczył, powinna mieć prawo do samodzielnego rządzenia krajem i poddanymi, mądrze, z odwagą i miłością.

Księżniczka Georgiana jest następczynią tronu bałtyckiego księstwa Saxe-Wallerstein-Karolya. Po zamachu stanu i śmierci rodziców, zabitych przez dążącego do przejęcia władzy kuzyna zdrajcę, ucieka do Szkocji. Z garstką wiernych sług ukrywa się jako pokojówka w położonym na odludziu domku myśliwskim, który nieoczekiwanym zrzędzeniem losu wygrywa w pokera bogaty Amerykanin. Nowy właściciel, Adam McKendrick, przybywa do swej szkockiej posiadłości, gdzie czeka już na niego służba. Adam jest zaskoczony zwyczajami panującymi w domu, a zwłaszcza zachowaniem pokojówki Gianny, dziewczyny niezwykle pięknej, ale nad wyraz niezręcznej...